



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

342

T W I N K O

<http://rcin.org.pl>

R O J

<http://rcin.org.pl>

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

T W I N K O

POWIEŚĆ

WARSZAWA 1936

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

<http://rcin.org.pl>



№ 002252 *

Zakł Druk. F. Wszyński i S-ka, Warszawa

<http://www.3359.org.pl>

CZEŚĆ I

15)

Opowieść nasza wiąże się z faktem historycznym. Jednym z członków komisji karnej Nowosilcowa w Wilnie na początku XIX w. był niejaki Hieronim Botwinko, którego synowie — jak zapewnia J. Morawski w swym pamiętniku (*Kilka lat młodości mojej*, s. 224) — postanowili nie żenić się i nie mieć dzieci, ażeby nie utrwałać hańby ojca w jego nazwisku. Odznaczyli się przytem cnotami obywatelskimi.

I

Wieśniacy, jak dzieci, jak wszyscy ludzie prości i nieoświeceni, są bardzo ciekawi. — Jeśli nie mogą kogoś między sobą poznać, to go otoczą zmyśleniami, plotkami, legendą. Niewiadomości około siebie nie znoszą. W Krobinach jednak zdarzył się bardzo rzadki wypadek. Pomimo, że Hieronim Twinko był od pięciu lat właścicielem stuwłókowego, dobrze zagospodarowanego majątku, nieumiejąc o bogatym dziedzicu nic dokładnego powiedzieć, nawet nie osnuto go fantastyczną legendą, bo domyślności i wyobraźni nie dostarczył porządnego materiału. We dworze, oprócz starej milczącej gospodyni, nikogo przy sobie nie miał; z czterech synów, zajmujących własne stanowiska i trzech córek żadne dziecko go nie odwiedzało; ani on do sąsiadów, ani sąsiedzi do niego nie przyjeżdżali, mieszkał samotny w jednym najmniejszym pokoju, nigdy nieuprzątanym i nazewnątrz nieotwieranym. Ze służbą folwarczną komunikował się przez ekonoma, wysłużonego żandarmskiego żołnierza. Z domu wychodził przeważnie wieczorami: wtedy do późnej nocy snuł się po podwórzu i zaglądał do budynków gospodarczych. Spotkania z parobkami unikał, jak gdyby się ich bał, a oni również stronili od niego, jak gdyby ich trwożył. Wiedziano o nim napewno tylko to, że był oszczędny

i że posiadał szczególny węch do tropienia winowajców. Gdy popełniono jakieś przestępstwo, nie używał policji, tylko po kilku dniach kazał ekonomowi zgłosić nazwisko sprawcy. Rano, zanim parobcy wyszli do roboty, stawał między nimi ekonom i mówił uroczystym głosem: „postronki ukradł Błażej”. Na to złodziej nic nie odpowiadał i zwykle rzecz skradzioną podrzucał. Dodać trzeba, że nie było wypadku, ażeby oskarżony próbował dowodzić swej niewinności. Ta tajemnicza zdolność dziedzica w wykrywaniu przestępstw służby rzucała na nią zaboronny postrach i odbierała jej odwagę do nadużyć, które też zdarzały się bardzo rzadko.

Ponieważ Twinko do miejscowego kościoła nie chodził i żadnych obowiązków religijnych nie spełniał, przeto nie wiadomo było, do jakiego wyznania należał. Dopiero po śmierci okazało się, że był prawosławnym. Umarł, jak umierają zwierzęta: bez skargi, bez lekarza, bez rodziny i przyjaciół. Gdy rano wszedł do jego sypialni ekonom, zastał go martwym. Nie mówiąc o tem nikomu, zamknął pokój na klucz, poszedł do swego mieszkania, wyjął ze stolika kartkę, którą mu pan przygotował na wypadek swej śmierci i pojechał z nią do telegrafu. Była to depesza do najstarszego syna, Jana, dzierżawcy majątku pod Wilnem, który przyjechał nazajutrz. Następnie przyjechali dwaj jego bracia, trzeci bowiem przed tygodniem, zelżony publicznie, skutkiem odmowy poddyndku, odebrał sobie życie, oraz dwie siostry, żony oficerów rosyjskich; najmłodsza zaś przebywała w szpitalu dla obłąkanych. Synowie nie weszli wcale

do pokoju, gdzie leżał ojciec, którym zajęty się córki.

— Jaką trumnę? — zapytał Jana brat Mikołaj, odjeżdżając do miasta.

— Drewnianą. Ziemia wchłania ciało prędzej, niż w metalowej.

Po załatwieniu formalności, włożono trumnę ze zmarłym na wóz wysłany słomą, na którym obok furmana usiadł ekonom, rodzina umieściła się na bryczkach i wyruszono do odległego o dwie mile cmentarza prawosławnego, gdzie oczekiwał pop, który odprawił nad grobem krótkie modły.

Powróciwszy do domu, rodzina odbyła dłuższą naradę, na której odczytano testament, przybity w kopercie gwoździem do ściany przy łóżku. Brzmiał on krótko: „Nie zobowiązuję moich spadkobierców do niczego i nie wyrażam żadnego życzenia, gdyż wiem, że ich nie spełnili. Proszę tylko moich synów, aby najprędzej zapomnieli o swym ojcu, i nie opluli na niego po śmierci, gdyż dostatecznie opluli go za życia. Ostateczną karę niech pozostawia Bogu, który mnie sądzić będzie”.

Wobec tego postanowiono się, że cały majątek ziemski będzie sprzedany, a osiągnięta z niego suma rozdzielona na pięć części z obowiązkiem utrzymania w szpitalu obłąkanej siostry. Pełnomocnictwa udzielono Janowi i tymczasowy zarząd gospodarczy powierzono Małczakinowi, który przez cały czas rodziny Twinki na wszystkie pytania i prośby nie odpowiedział ani słowa. Nie wiadomo było, czy się zgodził pozostać na swym stano-

wisku. Wszyscy rozjechali się w dniu pogrzebu: Jan do swoich Leniszek, Mikołaj i Leon do Wilna, gdzie prowadzili wspólnie fabrykę nożów, siostry do mężów.

Bezwzględne zaufanie rodzeństwa do najstarszego brata nie zrodziło się nagle, lecz istniało oddawna i utrwaliło się mocno. Mózgi większości kobiet są podobne do bryłek mydła, które wszelką swoją formę pierwotną zmieniają w użyciu na bezkształtne i gładkie kawałki, a ostatecznie na płaskie listki. Córki Twinki, chociaż szkolnie ukształcone, miały mózgi mydlane, które łatwo się starły w rękach mężów, pustogłowych oficerów. Nie były to istoty głupie, ani mądre, ani uczciwe, ani niemoralne, ani Polki, ani Rosjanki — porostu zwyczajne, mówiące, ubierające się, pospolite samice. Najlepsza z nich, melancholiczka, dostała pomieszania zmysłów na punkcie wykradania ojca z piekła. Dwie zdrowe pomimo małej wrażliwości i odsunięcia się od braci przez swe związki, zachowały dla najstarszego szczerzy szacunek i automatyczną uległość. Panował nad rodzeństwem charakterem, bezskażnej czystości i niezłomnej siły. Z półkrwi litewskiej otrzymał upartą stanowczość, z polskiej ofiarną szlachetność. Gdy raz coś uznał za swój obowiązek lub przedmiot czci, nic nie zdołało go odciągnąć w przeciwną stronę. Obrawszy sobie jakiś cel, nie badał już potem jego wartości, tylko strzegł stałości swojego dążenia. Posiadał twardość, sztywność i ostrość miecza, nieugiętego i nierdzewiejącego. Przymioty ludzkie, jak olejki pachnące, w mocnem stężeniu nabierają woni

drażniącej. Ponieważ w ludziach pospolitych jest więcej djabła, niż anioła, przeto uczuwają oni trudność obcowania z jednostkami, w których stosunek tych pierwiastków jest odwrotny. Jan żył w pustce, szedł przez życie bez tłumnego orszaku życzliwych i przyjaciół, ale ci nieliczni, których do siebie magnetyczną siłą przyciągnął, przywierali do niego nieodłącznie.

Przyjechał nazajutrz ze swym młodym ogrodnikiem Pawłem Podlaskim, któremu pomógł do wykształcenia się i który u niego pracował od roku i czekał sposobności, kiedy mógłby dla niego skoczyć w jakąś wodę lub ogień. Oba zabrali się do spisu inwentarza domowego. W sypialni zmarłego oprócz łóżka, stołu i dwu krzeseł było kilka kufrów. Znalaziono w nich najrozmaitsze rzeczy: mundury, spodnie z lampasami, czapki, kapelusze, szpady, ordery, portrety, zwój papierów urzędowych, związanych szarfą, a nadto dwie szkatułki: w jednej było 5.000 starannie ułożonych dukatów, a drugą wypełniały drogiemi kamieniami wysadzone pierścionki, broszki, spinki, zegarki, złote łańcuchy i t. d. Jan patrzył na te przedmioty ze wstrętem, nie dotknął żadnego i polecił Pawłowi spisać wszystkie szczegółowo. Klejnoty sprawiały mu widocznie szczególną odrazę, bo wyszedł z pokoju i przechadzał się przed domem. Gdy Paweł skończył wykaz, zarejestrował inwentarz gospodarczy żywy i martwy, poczem skopiował spisy w czterech egzemplarzach, które wysłał pocztą do braci i sióstr. Wieczorem oba wrócili do Leniszek, zabrawszy z sobą szkatułki, które Jan

nazajutrz odwiózł do Wilna i oddał jubilerowi do sprzedaży. Po paru dniach otrzymał od obu siostr listy z żądaniem, ażeby dla nich zachował cztery pierścionki i dwie broszki wymienione w spisie. Odpowiedział im, że się na to nie zgadza nie z powodu trudności sprawiedliwego podziału w naturze, ale dlatego, że na każdym z klenotów widzi plamę haniebnego ich zdobycia, że wszystkie muszą być sprzedane, a osiągnięta za nie suma rozdzielona między biednych za pośrednictwem Towarzystwa Dobroczyńności. To postanowienie poparł ostrzegawczy wypadek. Gdy po mieście rozeszła się wiadomość o wystawieniu na sprzedaż klejnotów po zmarłym Twince, zgłosiła się do jubilera staruszka, która między nimi poznała swoją broszkę, zabraną jej, przed 20 laty podczas rewizji policyjnej u jej syna, oskarżonego i wysłanego na Syberję za udział w zakazanem stowarzyszeniu. Twierdzenie swoje udowodniła wiarogodnymi świadkami i broszkę jej wydano. Wkrótce zjawiły się inne osoby, z których trzy również uzasadniły swoje żądania i którym zwrócono kilka pierścionków i zegarków. Reszta została szybko rozsprzedana po niskich cenach. Większość nabywców składała się z osób, które mianowały się posiadaczami odzyskanych przedmiotów.

Ponieważ Krobiny stanowiły przedtem część wielkich dóbr, należących do możnowładczej rodziny Niebojów, skonfiskowaną przez rząd po 1831 r., krewni dawnych właścicieli odkupili je chętnie, a ponieważ w stuwłókowym obszarze było 30 włók starodrzewnego lasu, zapłacili bez targu pół miliona

rubli. Jan usiłował przekonać siostry, że powinny rzec się spadku i wraz z legatami braci utworzyć fundusz publiczny, ale zdołał zaledwie uzyskać od nich małe ustępstwa. Sprzeciwiały się temu jeszcze bardziej one same, niż ich mężowie.

Opuszczając ostatniego dnia Krobiny, Jan wezwał ekonoma Mołczakina i zapytał, jakiego żąda wynagrodzenia. Ten długo nie odpowiadał, wreszcie rzekł z posępnym wyrazem twarzy, po której rozlał się martwy smutek. Były to jedyne zrozumiałe wyrazy, jakie z siebie wydobył.

— Ja wam już niepotrzebny?

— Nam nie.

— To i sprawa skończona.

— Mołczakin może tu zostać.

— Mnie gdzieindziej, gdzie zasłużył i powinien być razem z nieboszczykiem. Duszy już nie zbawię.

Wyszedł. Jan nie odgadł znaczenia tych słów. Gdy zamierzał po kilku godzinach wznowić rozmowę z tajemniczym oficjalistą, usłyszał z ogrodu krzyk:

— Mołczakin się powiesił!

Odcięto go z drzewa, ale już nie żył.

II

Chociaż dopiero początek kwietnia, wiosna już przygotowywała się do swych godów. Codzień wczesniej zapalała słońce na niebie i budziła ptaki do porannego chóru. Zawieszony w górze dzwonek-skowronek nie przestawał ogłaszać zmartwychwstania natury i wzywać ludzi na to największe i najradośniejsze jej święto. Drzewa pryskały gęstymi pączkami, w powietrzu płynęły łagodne prądy woni rozkosznej i pobudzającej, a potężny instynkt płodności wstrząsał rośliny i zwierzęta dreszczami namiętych pożądań.

Jan nosił w swej duszy bardzo dokładny zegar i całe gospodarstwo urządził zegarowo. Miał on zamiłowanie ładu i rozumiał wydajność działania systematycznego. Gospodarstwo w Leniszkach nie odznaczało się ani nowemi metodami uprawy, ani używaniem udoskonalonych narzędzi, ale zdumiewało znakomitą organizacją, rozumną planowością i niezakłóconym porządkiem. Nie było w niem dorywczości, improwizacji, lenistwa, buntów i szkodnictwa dobrze wynagradzanej i zadowolonej służby. Umiejętnie nastawiona i starannie dozorowana maszyna działała sprawnie i korzystnie. Podczas gdy prawie każdy dzierzawca jest rabusiem i wyzyskiwaczem Jan podnosił tak niezmordowanie i sumiennie war-

tość i wydajność folwarku, że jego właściciel, zbytkujący i marnotrawny hrabia, każdą podwyżkę czynszu usprawiedliwiał pokornie wzrostem swych koniecznych potrzeb, a każde swoje żądania cofał natychmiast, gdy zauważył, że ono mogłoby zniechęcić dzierżawcę.

Dość było spojrzeć na smukłą postać Jana, na jego kształtną głowę, ukoronowaną bujnym, jasnym, nieco falistym włosiem, na jego twarz wyrazistą, w której duże niebieskie oczy to otwierały się głęboko, to pokrywały mgłą zamarzenia, ażeby dostrzec, że nie był stworzony na samotnika, że otoczył się pustką nie z naturalnego pragnienia, ale z przymusu. Na jego wąskich ustach, pod gęstym wąsem rzadko zjawiał się uśmiech przelotny, nigdy długi i głośny, a jednak widać było, że te usta pragnęły słodyczy, wesela i upojenia.

Co święto przyjeżdżali do niego bracia z Wilna, którzy go kochali i szanowali, dla których, pomimo małej różnicy wieku, był czułym ojcem, rozumnym doradcą i serdecznym przyjacielem. Właśnie dziś w niedzielę, oczekiwał ich, chodząc po brzeżnej alei starannie utrzymanego ogrodu i spoglądając często na drogę, którą przybywali. Za grupą krzewów usłyszał jakieś głosy. Okrążywszy je, ujrzał na trawniku Pawła bawiącego się z małym dzieckiem, które potykając się, goniło go lub uciekało, a on umykał lub ścigał je roześmiany. Wreszcie pochwyił malca na ręce i ucałowawszy, oddał stojącej opodał kobiecie. Jan przypatrywał się tej scenie z widocznym zadowoleniem. Spozstrzegł go Paweł i zbliżył się.

— Rozkoszny chłopaczek i bardzo rozumny. I to syn niegodziwego ojca...

— Niegodziwego?

— Naturalnie. Nie znam go, ale nie mogę inaczej nazwać, jeśli uwiódł pocziwą dziewczynę i porzucił ją wraz ze ślicznem dzieckiem.

— Tym niegodziwym ojcem — odrzekł spokojnie Jan — jestem ja, który ich wcale nie porzuciłem.

— Pan? — wymówił zdumiony tem odkryciem i wyznaniem Paweł.

— Tak, ja.

— Przepraszam, nie przypuszczałem. Powiedziano mi tylko, że Sabina jest panną, a Tadzio jej nieprawem dzieckiem. Tak mi było żal ich obojga, że chciałem nawet zaproponować jej, iż w metryce zapiszę się jako jego nieślubny ojciec.

— Szlachetna, ale niepotrzebna twoja ofiara, bo metryka Tadzia jest już spisana, a ja w niej oświadczyłem, że jestem jego ojcem. Pozostało to tajemnicą między mną, Sabina i moimi braćmi, bo nikogo ona nie powinna obchodzić i niktby jej nie uszanował.

To zwierzenie było dla Pawła tak wielką niespodzianką, że stał osłupiały i przez chwilę niepewny, czy nie usłyszał żartu. Ale powaga mowy Jana usuwała mu wątpliwość. Wyszeptał wzruszony:

— Jeszcze bardziej pana czczę i miłuję.

Jan objął go, uścisnął i usłyszawszy turkot rzekł:

— Zdaje mi się, że moi bracia jada.

— Tak, oni — powiedział Paweł, spojrzawszy między drzewa.

Gdy Jan spieszył ku domowi, bryczka stanęła przed gankiem.

Bracia powitali się serdecznie i weszli do dworu, gdzie im podano śniadanie.

— Co nowego? — spytał Jan.

Nic. Gnijemy w dalszym ciągu — odrzekł Mikołaj. Podłość wzrosła o kilka stopni, a uczciwość spadła. Barometr naszego życia posuwa się stale w tym kierunku. Nikt za cnotę nie da dziś jednego tuzina naszych nożów. Zresztą już prawie zniknęła.

— Czy nie przesadzasz? — zauważył Jan.

— Bynajmniej. Co się dzieje między myszami żyjącymi pod podłogą domu — nie wiadomo; ale co się dzieje między ludźmi mieszkającymi w domu — dobrze wiadomo. Może nasze warsztaty społeczne, ukryte przed naszym wzrokiem, są moralnie zdrowe, ale wyższe zarażone. Znasz generałgubernatora: beczka cuchnącego tłuszczu, którego nie jęłyby się głodne wilki w zimie. Tymczasem rozmiłowały się w nim dwie najurodziwsze kobiety. Co je rzuciło w jego plugawe ramiona? Brzydki, głupi, brutalny, pokrywający swoje niezliczone długi kradzieżą i zdzierstwami. A one? Piękne, wytworne, bogate, uwielbiane. Nie popchnęła ich nawet rachuba wpływu na to dzikie zwierzę, bo on, lekceważony przez cara i jego otoczenie, nie posiada rozległej władzy i trzymany jest na łańcuchu z Petersburga. Obie te panie mają mężów młodych, zdrowych i wysoko ustosunkowanych, mogących zaspokajać ich namiętności, upodobania i ambicje. Przecie lepszy tytuł żony szambelana lub hrabiego i pana na wielu tysiącach

morgów, niż kochanki generała, który już z woli rozgniewanego cara może być zamieniony na prostego żołdaka. A jednak nie tylko oddały się potworowi, ale nawet z zazdrości kłóca się i biją o niego. Nie mówię już o wszetecznicy, która przeszła przez kilkanaście brudnych rąk i którą dwaj dygnitarze rosyjscy wywiesili raz przez okno, ażeby wiatr podrywał jej spódnice, a przechodnie oglądali półnagą i urągali bezwstydnicy, ale w błocie nurzają się wielkie damy. Opętała je furja rozpusty. Bez niej niepodobna byłoby zrozumieć również samicy, gromadą otaczających pokracznego biskupa, na którym, здаwałoby się, wrona nie zechce usiąść. Dla uzupełnienia tej dziwnej zagadki dodać trzeba, że mężowie nie okazują żadnej pretensji do swych wiarołomnych żon i pocieszają się cudzemi. Patrząc na tę ohydę, trudno nie uwierzyć, że znikczemnienie jest przysmakiem życia dla pewnych ludzi, jak ścierwo dla psów.

— Niestety, tak jest — potwierdził Leon. — Ale ja zepsucie wśród tutejszego społeczeństwa przypisuję temu, że ono stanowi cieniutką warstewkę na obcym podkładzie. Polacy są tu tylko martwym forniorem na żywej dębini litewskiej, z którą on jest sklejonny, ale nie wrośnięty. Robactwo w nim się lęże, próchnieje.

— Toż samo robactwo i to samo próchno występuje wśród czystych Litwinów — wtrącił Mikołaj.

— Gdzie są czyści Litwini? — ciągnął Leon. Lud? Jest zdrow, zresztą nie o nim w tej chwili mówimy, tylko o inteligencji szlacheckiej i urzędniczej. Co to

za gatunek? Ani ja nie wiem, ani wy nie wiecie, kim my właściwie jesteśmy, czy ciałami polskimi z duszą litewską, czy ciałami litewskimi z duszą polską. Moi kochani, słowa nasze stąd nie wylecą i nikogo nie zgorszą, więc możemy sobie powiedzieć szczerze, że unja Polski z Litwą nie była pomysłem rozumnym i szczęśliwym. Nie tyle zresztą sama jej idea, jako zamiar zbratania dwóch narodów, ale jej urzeczywistnienie. Bo co ona im dała? Potworny i pochłonny wzrost kilkunastu rodzin magnackich, królewiat litewsko-ruskich, które myślały tylko o własnem tuczeniu się, o własnem panowaniu i zbytku. Wogóle żaden naród nie powinien ujarzmić drugiego, ale jeśli na to pozwala polityka, która uważa się za uprawnioną do regulowania życia ludzkiego, to niechże wykonywują jej nakazy ci, którzy umieją to czynić sprawnie, nie partacko. Zdobywać i przywłaszczać sobie obce ludy bez złych skutków mogą tylko te państwa, które umieją je kolonizować, przekształcać i organizować. Polacy nie są zaborcami — to stanowi nie tylko ich właściwość, ale chwałę. POCO ONI TĘ SWOJĘ SŁAWĘ ZAMIENILI NA NIESŁAWĘ?

— Jeśli odtrącimy olbrzymie korzyści zuchwałych i samolubnych magnatów oraz płytkie, powierzchowne wpływy kultury, co więcej zdziałali i zyskali Polacy na ziemiach litewsko-ruskich? Trochę własnych, szybko zanurzających się w cudzem morzu wysepek kolonizacyjnych i ustawiczne, niszczące burze tego morza. A ile stracili? — Prąc się na wschód, osłabili zachodnią ścianę swego państwa. Runęła ona i otworzyła szeroki wyłom najgroźniej-

szym falom zalewu niemieckiego, którego dotąd nie zatamowano i który może nigdy zatamowany nie będzie, bo jego potęga nie spotka dość silnego oporu.

— Może masz zupełną słuszość — odezwał się milczący dotąd Jan, którego twarz stężała w powadze — może istotnie tak było, ale — jak mówi poetka — „czynów z progu przeszłości sam Bóg nie odwoła“. Gdybyśmy dopiero stwarzali wypadki, które zaszły przed trzystu laty, moglibyśmy je zmieniać i błędy poprawiać, ale my odziedziczyliśmy ich skutki, które stanowią utrwaloną już rzeczywistość i które nie dają nam swobody działania, lecz przymus i obowiązek zastosowania się do nich. Nie możemy liczyć się z tem, co być powinno i czego byśmy pragnęli, ale z tem, co jest. Jest zaś pień polski z wszczepioną w niego gałęzią litewską. Ten zrost został przez wrogów na trzy części rozdarty i gnieje, trzeba go ratować, trzeba pracować od zewnątrz i wewnątrz, ażeby się znowu spoił i uzdrowił. Zresztą nie zapominajmy, że na najgorszych bagnach wyrastają niekiedy najpiękniejsze kwiaty, że w narodach żywotnych, a zatrutych powstają leczące odtrutki, że u nich występki wywołują jako przeciwagę wielkie cnoty, bohaterskie czyny, wspaniałe ofiary, które już są i będą. Do nas, do obecnie żywych i czynnych pokoleń należy przyczyniać się, ażeby odradzająca moc narodu objawiała się z największem napięciem. Jego części dotknięte gangreną, odpadną, pozostaną tylko zdrowe lub trochę osłabione, ale uleczalne. Zresztą o tem pomówimy dziś jeszcze szczegółowo.

Po śniadaniu bracia wyszli w pole i oglądali oziminy, które rozesały się bujnym, zielonym kobiercem, uśmiechnięte kolorem nadziei.

— Zapowiadają się bardzo dobrze — powiedział Mikołaj.

— Pragnąłbym — odrzekł Jan — mieć w tym roku lepsze zbiory, niż kiedykolwiek, bo mi potrzeba dużo pieniędzy. Doprowadzam moje osobiste wydatki do skąpstwa. Słyszę, że mój dziedzic pograżył się głębiej w długi. Będzie prawdopodobnie żądał podwyżki czynszu, ale tym razem nie dostanie ani grosza więcej.

— Nie wymówi ci dzierżawy?

— Mam zapewnioną jeszcze na dwa lata. Po tym czasie sam opuszczę Leniszki, bo trzeba będzie zmienić pole pracy.

III

Do obiadu usługiwała Sabina, młoda, przystojna dziewczyna wiejska, w której jednak było więcej zdrowia i wdzięku, niż urody. Wchodzącą obaj bracia powitali podaniem ręki, które na jej policzkach wywołało lekki rumieniec. Pozdrowiła ich milczącym, ale widocznie dziękczynnym ukłonem. Po obiedzie sprzątnęła nakrycie szybko i zniknęła. Bracia zamknęli się w pokoju na poufną rozmowę, którą prowadzili przyciszonym głosem. Udzielili sobie wzajemnie wiadomości o nowych gwałtach i okrucieństwach rządu rosyjskiego, który swej zemsty za powstanie listopadowe jeszcze po piętnastu latach nie przestał zaostriąć coraz twardszym uciskiem. Jan malował ten obraz niewoli najczarniejszymi barwami. Starał się w duszach braci zgasić najdrobniejsze iskierki nadziei, ażeby straszna noc niewoli zakończyła się wschodem słońca. Dowodził, że naród nie może żyć w nieprzerwanej ciemności, ośmielającej złoczyńców, że gdy świt jej nie rozrzedza, trzeba zapalać pochodnie i ogniska, któreby ludziom oświetlały pole pracy i drogi dążeń. Zwykle mało-mówny i spokojny, tym razem rzucał słowa jak strzały.

— Zapewniają, że car jest osobiście fanatykiem prawa. Despota może mieć dobrą wolę, ale nie mo-

że mieć dobrych wykonawców. Ludzie uczciwi nie najmują się na katów. Zwykle też podlejsze od głowy tyranji są jej ręce. Kto stracił własną wolę, ten stracił sumienie. Wierzę, że car nie chciał, ażeby Nowosilcowy i Bajkowy wymyślali niepopołnione występki i napychali więzienia niewinnymi ludźmi, ażeby wymuszali okupy, kradli, grabili, nurzali się we wszystkich kałużach łajdactwa, ale ich nie odwoływał, nie karał, owszem, nagradzał orderami, bo wiedział, że dla swej urzędniczej psiarni czystszych łap i większych pazurów nie znajdzie. Zresztą dziś te spuszczone z łańcuchów kundle, wyżyły i jamniki w kosztownych obrożach stanowią jego straż ochronną, bez której onby zginął, zamordowany przez mścicieli krzywd narodu. Ona mu ubezpiecza życie i panowanie. Jeżeli nie chcemy pogodzić się z wynaturzeniem i wyniszczeniem narodu, musimy budzić go ze snu, ożywiać w omdleniu i bronić. Bunt ma wartość sam przez się, nietylko przez swe pożądane skutki. Pełne życie narodu może rozwijać się jedynie w wolności, ale samo pragnienie jej ratuje go od śmierci. Bardzo łatwo dowieść, że wyprawy zbrojne garstek emigrantów, wysyłanych z Francji i nieposiadających nawet środków na opłacenie kosztów swej podróży, którzy chcieli rozgromić trzy wielkie mocarstwa, musiały zakończyć się w więzieniach i na szubienicach, bardzo łatwo nawet ośmieszyć te szalone porywy. A jednakże gdyby nie one, gdyby nie mocne wstrząśnięcia śpiącego, zmęczonego i zemdlonego społeczeństwa, byłoby ono dziś bez pulsu. Ugodowcy podli są niewolnikami,



ułodowcy uczciwi są lekarzami, zastrzykującymi narodowi środki znieczulające; realiści polityczni są budowniczymi dobrych schronisk i dostawcami pożywej paszy dla stada ludzkiego; przewodnikami i ratownikami narodu mogą być tylko idealisci, którzy z marzeń tworzą rzeczywistość, ze smutków radość, z nieszczęść szczęście. Sama wytrwałość nas nie ocali, trzeba ją wesprzeć buntem. Oto dlatego musimy wziąć w nim udział. Doniesiono mi z Petersburga, że wkrótce ma być ogłoszony ukaz carski, wyzwalający zupełnie chłopów z pod władzy panów i zabezpieczający ich w posiadaniu ziemi. Znowu nas ubiegnie obcy rząd w poprawie położenia ludu, który stanie poza granicami wpływu górnej warstwy społeczeństwa i zwróci się przeciwko niej. Onegdaj był u mnie tajemny wysłannik emigracji paryskiej z doniesieniem, że w Galicji kręcą się już agenci przygotowujący powstanie, które będzie przeniesione do Królestwa, a może i do zaboru pruskiego. Na to trzeba wielkich środków. Umówiliśmy się, że nasze części spadku po ojcu ofiarujemy całkowiec narodowi: czy zgadzacie się, ażeby te pieniądze oddać na użytek rewolucji? Ślubowaliśmy sobie przeciąć shańbiony ród Twinków, powinniśmy do tego ślubu dołączyć jeszcze pieniądze, ofiarę ostatniego ich pokolenia.

Bracia przez dłuższą chwilę milczeli, wreszcie rzekli razem.

— Zgadzamy się.

— Teraz chodzi tylko o to, kto z nas, gdzie i komu wręczy pieniądze z zatarciem śladu. Otoczeni

jesteśmy gromadą jawnych i ukrytych, najętych i dobrowolnych szpiegów, rozpostarło się w społeczeństwie amatorstwo podłości, złożonej z tchórzostwa i chęci zdobycia drobnej korzyści; trzeba się strzedz nie tylko mściwych gniewów, ale judaszowych pocałunków. Bezpośrednie, chociażby najbardziej osłonięte stosunki z emigracją i jej delegatami grożą odkryciem.

— Sądzę — odezwał się Mikołaj — że najbezpieczniejsza będzie taka droga. Wspominałeś Janie kiedyś, że w Sztokholmie istnieje agentura komitetu paryskiego. Ja albo Leon pojedzie tam po zakup stali szwedzkiej dla naszej fabryki nożów, stal tę rzeczywiście nabędziemy i sprowadzimy przez komorę w porcie rosyjskim, a przy tej sposobności złożymy pieniądze.

— Dobry pomysł — odrzekł Jan. — W Sztokholmie jest człowiek pewny, doświadczony i ostrożny. Wyrób sobie coperędzej paszport Mikołaju i wyjedź. Pozbędziemy się wreszcie tego złota, wytopionego z ludzkiej krzywdy, chociaż nie uwolnimy się od mniemania ogólnej opinii, że sromotny spadek zużyliśmy dla siebie. Trudno, musimy znosić dalej tę niesławę, która może kiedyś będzie z nas zdjęta.

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Otworzył je Jan — za progiem stał Mosiek Goldkopf.

— Czego?

§ — Przepraszam — odrzekł żyd z głębokim ukłonem — nie wiedziałem, że pan dziedzic ma gości. Może przyjdę później.

— Czego chcecie?

— Przyszedłem względem mojej karczmy.

— Czy ja nie wyraźnie powiedziałem, że kontraktu nie przedłużę, że od lipca Mosiek musi opuścić karczmę, którą zupełnie zamknę.

— Pan dziedzic powiedział mi to wyraźnie i ja zapamiętałem, ale co ja mam zrobić z hrabią?

— Dopóki ja dzierżawię Leniszki, karczma należy do mnie. Umowa hrabięgo z Mośkiem kończy się. Wprawdzie dochód z niej policzony jest w warunkach dzierżawy, ta strata jednak będzie tylko moją i nie obchodzi właściciela, który swoją należność odbierze.

— Ja i o tem wiem i nie po to przyszedłem. Ale pan hrabia przysłał do mnie swojego rządcę, ażeby mu pożyczył 500 rubli.

— Niech Mosiek zrobi, jak mu się podoba.

— Mnie by się podobało mieć pewność, a pewności nie mogę mieć bez karczmy. Bo na czem ja mój dług zabezpieczę?

— Na kwicie. Zresztą to nie mój kłopot.

— Czy to ostatnie pańskie słowo?

— Ostatnie.

— W takim razie hrabia pieniędzy nie dostanie.

— Poszuka gdzieindziej.

— Nie poszuka, bo nie znajdzie. Jego kredyt już dawno uciekł. Niech pan o tem pomyśli.

— Już pomyślałem. Żegnam.

Jan zamknął drzwi.

— Słyszeliście — rzekł do braci. — Ręczę, że on sam nastęrczył się hrabiemu z tą pożyczką, ażeby utrzymać się przy karczmie.

— Dlaczego chcesz koniecznie go się pozbyć? — zapytał Leon.

— Rozpija i demoralizuje mi służbę, jest patronem wszystkich złodziejów w okolicy, a nadto — dodał ciszej — podejrzanym szpiegiem.

Przerwał, nasłuchując.

— On nie odszedł.

Pośpieszył i otworzył drzwi, za którymi stał Mosiek.

— Na co czekacie?

— Zapomniałem powiedzieć — odrzekł żyd zmieszany — że krowa Rysiaka pasie się na pańskiej łące.

— Jeśli jej smakuje ta trawa, niech się pasie.

Jan zamknął drzwi, ale nie zdążył oddalić się, gdy usłyszał pukanie. Otworzył z gniewem.

— Czy ja się Mośka nie pozbędę!

— Przepraszam, bardzo przepraszam. Ja tylko chciałem dowiedzieć się, czy pan przyjął tego nieznanego, co onegdaj wstąpił do mnie, pytał, czy pan jest w domu, mówił, że chce się zgodzić na ekonoma.

— Co Mośkowi do tego?

— Mnie nic do tego, ale chciałem ostrzedz, że pan dziedzic nie miałby z niego żadnej pociechy. On wcale nie zna się na gospodarstwie. Pytał mnie, czy pszenica już zasiana, na wiosnę, czy dużo się uprawia tytoniu, czy starzy parobcy mają emeryturę — i inne rzeczy, z których moje dzieci bardzo się śmiały.

— Wy śmieliście się z niego, a on z was. Przyjąłbym go, gdybym ekonoma potrzebował, bo on

jeszcze lepiej zna się na gospodarstwie, niż Mosiek na przyprawianiu wódki. Żegnam i proszę mi więcej nie zabierać czasu próżną gadaniną.

Zatrzasnął drzwi.

— Nie odgadliście może jego troskliwości. Łotr chciał mnie nastraszyć, dając do zrozumienia, że ów nieznajomy nie przyjeżdżał wcale jako kandydat na ekonoma. Rzeczywiście nie wiem, po co on wstępował do żyda, zamiast wprost do mnie, zwłaszcza, że byłem w domu.

— Tak, to było bardzo nieopatrne — zauważył Mikołaj.

[— Agenci emigracji — mówił podrażniony Jan — nie mogą się oduczyć myszkowania po okolicy, które ma im wyjaśnić położenie, a tylko ich zdradza. Chociaż ich przekonywujecie, nie wierzą, że tu ludzie przeważnie albo ze strachu milczą, albo zdradzają.]

Obmyślili szczegółowo plan podróży Mikołaja do Sztokholmu, zabezpieczywszy ją rozmaitemi ostrożnościami.

Nadszedł czas powrotu młodszych braci do Wilna, zajechała bryczka. Gdy wyszli na ganek, zobaczyli paroletniego, ślicznego, jasnowłosego, w kędziorkach chłopaczka, który uwijał się koło koni z bacikiem i potrząsając nim, szczebiotał: „Wio, wio, prrr, prr”. Spostrzegłszy Jana zawołał: „pan, pan, ja pojedę”.

Wtej chwili z za węgła wybiegła kobieta i chciała porwać dziecko.

— Niech Sabina go pozostawi, pojedzie z nami.

Bracia wsiedli do bryczki, Jan obok furmana z malcem na kolanach, który poganiał konie baci-kiem i ukłoniwszy się jego rozradowanej matce, odjechali. Ona patrzyła za nimi uszczęśliwiona.

W odległości kilometra od domu, Jan, pożegnawszy braci, wysiadł z chłopaczkiem, który w powrocie biegł koło niego i ciągle szczebiotał. W połowie drogi, która zaczęła być błotnista, wziął go na ręce i niósł, odpowiadając wesoło na nieprzerwane pytania słowami i pocałunkami.

— Pan się zmęczył — rzekła Sabina, oczekująca przy bramie ogrodu. — Mógł sam iść.

— Wygodniej nam było rozmawiać — odparł Jan. — Prawda Tadzium?

— Wio, wio! — wołał malec, wywijając bacikiem.

— Ktoś do nas jedzie — odezwał się Paweł, zdala, oskrobując nożem z młodego dębu gniazdo szkodliwej ćmy.

Wszyscy zwrócili oczy w kierunku drogi, którą posuwała się wolno duża bryka z siedzącym na niej mężczyzną. Zachodzące słońce rozlewało mdły blask, na który narzucały się już cienie, osłabiając wyrazistość przedmiotów.

Sabina chwyciła synka za rękę i zniknęła w kuchennych drzwiach dworu.

— Nie rozpoznaję — mówił zapatrzony Jan.

Spostrzegł go zdala jadący, który zerwał czapkę i zaczął nią potrząsać i krzyczeć jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Dopiero przy ogrodzie usłyszano.

— Kobrycz! Włóczęga Kobrycz! Jak się masz Ja-

siu! — wołał, gdy bryczka wsunęła się na dziedziniec.

— Rzeczywiście nie poznałem cię — rzekł Jan, pomagając wysiąść przybyłemu, który opieczętował mu głósnymi pocałunkami oba policzki.

— Natrętnego gościa poznaje się dopiero wtedy, kiedy przed nim już nie można uciec. Klnij Jasiu, ale ugość, jak chcesz, po polsku lub po litewsku.

Był to szlachcic średniego wzrostu, dobrze wypasiony, niedbale ubrany, z głową kulistą, na której rzadkie, już siwiejące, ciemne włosy tak były na czubie rozrzedzone, że z gęstego zarostu przy skroniach, pożyczwał i zaczesywał pasma dla pokrycia łysiny. Twarz miał pełną z rozlanym uśmiechem, który żywiej połyskiwał mu w blado-niebieskich oczach, otoczonych pęczkami zmarszczek i drgał na ustach pod grubym wąsem.

— Masz tu pół rubla — mówił do furmana, wyjmując małą walizkę. — Kup sobie wódki, wypij, zakąś tym kawałkiem kielbasy i chleba, wjedź po drodze w cudzą koniczynę, a gdy konie będą jadły, prześpij się na bryce. Dziedzicowi podziękuj, że wyprawiwszy mnie głodnymi końmi z głodnym furmanem, pokazał mi, jak mnie będą wieźli po śmierci. Bądź zdrow, jeśli cię nie zamorzą.

— Czy mnie spodziewałeś się — prawił Kobrycz, zdejmując palto w sieni — nie wiem, ale żeś kochany Jasiu do mnie nie tęsknił, to wiem. Mimo to przyjechałem. Ale przezornie wybrałem porę przedwieczorną, ażeby ci żal było wypędzić mnie na noc.

— Nie wątpię — odrzekł Jan — że tylko w żarcie tak obmawiasz mnie i siebie.

— Ciebie — może, ale siebie — nie. Wiem, com wart. Nie należę do ludzi, którzy przed innymi tak pozują, jak wierszorób przed fotografem. Kobrycz jest wędrownym szczurem. Nic nie umie, więc zarabia na życie natręctwem, no i nieraz bezwstydem.

Weszli do pokoju.

— Nie poniewieraj się — wtrącił Jan zyczliwie.

— Nie ja sobą, ale los mną poniewiera. Jest to najwyższy władca ludzi. W stosunku do ciebie mam jednak ulgę w sumieniu. Przyznaj, że rozkładem mojego kwaterunku nie obciążam cię zbyt często, skoro nie byłem w Leniszkach już trzy miesiące. Cztery razy na rok wytrzymasz moje odwiedziny.

— Gość dla samotnika jest pożądanym, a ty jesteś gościem przyjemnym.

— Jak szczerze mówisz, to daj jeszcze raz pocziwej gęby.

Ucałowali się.

— Jesteś głodny? — zapytał Jan.

— Czy mogę być syty, przyjeżdżając od Prota Krystynowicza, który przez cały rok obchodzi wielki post, a przynajmniej gościom pościć każe? Wstałem do niego wczoraj. Zobaczywszy mnie, złapał się za brzuch i zaczął jęczeć, narzekając, że zjadł surowy ogórek z miodem, zapomniawszy, że o tej porze świeżych ogórków nie ma. Uspokoilem go, że ja gorzej cierpię z niestrawności, bo połknąłem koszyk niedojrzałych ulegałek, które przecie dopiero

pączkują. Obawiałem się, że da mi na kolację rumianku, ale uczęstował wspaniałomyślnie kleikiem z jęczmiennej kaszy, okraszonym starą słoniną. Na noc do przykrycia się dostałem brudny żagiel, prawdopodobnie kupiony od złodzieja. Rano nie znalazłem wody do umycia się. Na śniadanie wypiliśmy z gospodarzem po kubku zbieranego mleka z kromką razowego chleba. W wieprzu poznałbym, jak go karmią, ale w długim jak drąg, owiniętym w wytartą, łataną kurtę Krystynowiczu nie mogłem odgadnąć, czy on sam tak się żywi. Chociaż mi głód dokuczał, postanowiłem przecierpieć cały dzień i trochę skąpcowi dokuczyć. Gdy wyszliśmy do ogrodu, powiedziałem, że według ostatnich badań najzdrowszym i najposilniejszym pokarmem są baški wierzbowe. Wziąłem do ust jedną, on oberwał z gałęzi i łyknął ze dwadzieścia.

— Zaraz każę ci dać coś zjeść, bo przecie po jednej baśce... — mówił Jan.

— No, nie. Pan Prot był gościnniejszy: dodał mi obiad — zupkę kartoflaną na pietruszce i buraczki. Za to przy odjeździe obdarzył mnie po królewsku. — Pół łokcia spleśniałej kiełbasy i pół bochenka chleba czerstwego. Przyjmując ten dar, powiedziałem: „Bóg ci zapłać, drogi przyjacielu. Gdybym przewidział, że tak szczerze mnie opatrzysz, byłbym sobie od jakiego dziada torby pożyczył”. Może bym zabrał się do tego przysmaku, ale przypuszczając, że kiełbasa jest zrobiona ze świni chorej na czerwone i dorżniętej, karmiłem nią po drodze psy wiejskie, ażeby napastując wolno jadącą brykę, nie

wpadły do niej, kawałek zostawiłem dla furmana bez wyrzutu sumienia, bo jego żołądek lepiej strawi zdechlinę, niż mój.

Jan chciał wyjść.

— Nie spiesz się, nie ma tragedji. Mnie krótki głód potrzebny, bo na lato będę miał za duży zapas tłuszczu. Łatwo się męczę i duszę. Dla takiej kuli bilardowej, jak ja, którą los gna i która ciągle musi być w ruchu, jest to ładunek bardzo niepożądany.

— Nie masz nadziei odzyskania majątku?

— Mam taką samą, jak pasterz, któremu wilk pożarł cielaka. Staralem się oto nawet przez pewną wpływową damę rosyjską, żonę dygnitarza wileńskiego, która ma względem mnie obowiązki wdzięczności, bo przed powstaniem listopadowem, kiedy ja mogłem, a ona chciała, uprzyjemniałem jej bezsenne noce; ale przywiozła mi z Petersburga wiadomość, która w wolnym przekładzie na język polski brzmi mniej więcej: rząd nie ma nic przeciwko mojemu korzystaniu z serwitutu na cncie tej matrony rosyjskiej, ale ze skonfiskowanego mi Żebrowca, za wyrażną moją sympatję dla powstania, nie odda nawet tyle ziemi, ile potrzeba na wykopanie mi grobu. Zostałem wprowadzicie za to wynagrodzony chwałą ofiary cierpiącej za obronę ojczyzny, ale nie zapieram się, że wolałbym Żebrowiec, niż cierniową koronę patriotyzmu.

— Przypuszczam, że jesteś lepszym, niż się malujesz.

— Nie, mój drogi, nie jestem, a nawet nie mogę

być lepszym. Nabrałem wstrętu do pewnych frazesów, które dawniej uważałem za przykazania. Od czasu, jak moi rodacy płodzą prawe i nieprawe dzieci dla ojczyzny, ażeby miała więcej obrońców, hodują bydło, ażeby ojczyzna miała co jeść, pożyczają na lichwę, ażeby ojczyzna była bogata, płaszczą się Moskałom, ażeby łagodniej ją deptali, gdy upadają się, piją, jedzą, kochają — wszystko dla ojczyzny, obmierzył mi ten frazes. Krystynowicz ozdabia nim swoje skąpstwo, a damy z towarzystwa swoje łajdaczenie się z czynownikami rosyjskimi. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym patryotyzmem kieszeni, brzucha i podbrzusza. Wolę być wyrodkiem, cynikiem, mieć swoje własne uczucia narodowe i swoje własne ich nazwy.

— Dlaczego zapatrujesz się na znikczemniałe wyjątki?

— Naprzód te wyjątki są tak liczne, że mają prawo do reguły, a powtóre te wyjątki krzyczą, popisują się, używają szacunku, a ogół milczy, kryje się i cierpliwie znosi swoje upokorzenie. Że naród, czy jak tam nazwać tę jego część, która uważa się za całość i nią komenderuje, że więc tak zwany naród, który zaledwie o kilkanaście lat oddalił się od pogromu w powstaniu, jest zgńębiony, wyczerpany z energii, niezdolny do wielkich czynów — to rozumiem i jego słabość szanuję; ale dlaczego on sam wsuwa karki w jarzmo niewoli? Dlaczego brata się z wrogiem i usiłuje go zjednać dla siebie podłością? Wiesz, jaką czeredą cisną się byli buntownicy do urzędów i z jaką wdzięcznością przyjmują łaski ty-

rana, jak skwapliwie były patrijotki narzucają swe ciała mocnym wrogom? Ale nie słyszałeś może, że pewien nasz znajomy czyni wyteżone zabiegi w Petersburgu, ażeby go urzędownie uznano za złodzieja. Z powodu bowiem zaślubin następcy tronu wydany został manifest z amnestją dla przestępców kryminalnych, a ów pan jest przestępcą politycznym, więc pragnie tą zamianą winy uwolnić się od kary.

— Niestety, jest to prawda.

— Podobnych prawd jest wiele, a ta nienajgorsza. Ale nie myśl, mój Janie, ażebym ja Polsko-Litwę uważał za Sodomę, a siebie za Lotę, któryby z niej wyprowadził zaledwie mały orszak cnotliwych. Kto tak mało wart, jak ja, nie może być surowym sędzią innych. Zresztą z natury należę do najpobłażliwszych ludzi, bo jestem przekonany, że droga życia najuczciwszego człowieka nie może być zupełnie prosta i musi niekiedy się zginać lub łamać. Cuchnie tylko i razi zbyt ostry odór padliny moralnej, która tak zatruwa powietrze, jak padlina zwieżęca i którą również trzebaby uprzętnąć.

— Widzę, że stałeś się filozofem, ale ponieważ największy mędrzec musi jeść, więc odejdę na chwilę, ażeby ci coś przygotowano.

— Pozwól mi obstalować sobie kolację: dzieżkę mleka zsiadłego z kartoflami, a gdyby tego nie było — jajecznicę z pięciu jaj. Nic więcej. Nie chcę tyć.

Jan oddalił się.

— Nasi ojcowie — mówił Kobrycz, jedząc drugi talerz mleka — dawali nam nieraz zasłużone baty, ale one należały się również naszym ojcom, którzy

wychowywali synów na panów, próżniaków i niedo-
łęgów. Mój rodzic — przebac mu Boże — był prze-
konany, że gdy mi zostawi Żebrowiec, uzdolni mnie
do życia i zabezpieczy od wszelkich złych wypadków.
Nie przyszło mu na myśl, że ta edukacja i asekuracja
może mi być odebrana, o czym pod rządem moskiew-
skim powinien być pamiętać. To też gdy mi Żebrowiec
skonfiskowano, spostrzegłem, że mniej umiem zara-
biać na życie, niż mój fornal, koń, wół, dziki ptak, niż
najędźniejszy robak. Okazało się, że potrafię być
tylko pasorzytem — i nim jestem. Mam do wyboru
jedynie albo powiesić się, albo zebrać u przyjaciół.
Dotąd trzymam się jeszcze drugiego sposobu. Ale
najżycielsza jałmużna jest bardzo gorzka, to też
każdą słodzę sobie humorem, który uważam za naj-
lepszą przyprawę życia.

— Jest to rzeczywiście tak cenny dar, że nieraz ci
go zazdroszczę.

— To jest nie tylko mój pocieszyciel, ale i mści-
ciel. Żebrowiec nadany został prawem dożywotniego
posiadania generałowi Sukinowi, który tem się od-
znaczył w uśmierzeniu powstania listopadowego, że
spalił sześć wsi, z których jeden drobny szlachcic
wziął udział w wojnie. Do tego Sukina podałem proś-
bę, ażeby mi pozwolił raz na rok odwiedzić moje
miejsce rodzinne, gdzie pozostało wiele drogich mi
pamiątek, a między niemi groby moich dziadów i ro-
dziców, pochowanych na cmentarzu przy kościółku.
Pozwolił. Wtedy pojechałem do Żebrowca i przez ca-
ły dzień obchodziłem wszystkie pola, ogrody i zabu-
dowania. Za mną ciągnęła gromada starców, kobiet

i dzieci, złorzecząc, płacząc i wyrażając mi współczucie, którego od nich wcale nie oczekiwałem. Byłem szczerze wzruszony widokiem mojego rodzinnego gniazda, ale zarazem rozweselony złością jego rabusiów. Doniesiono mi poufnie ze dworu, że generał milczy chmurny, jego żona, była Polka, obrzuca go wymysłami za pozwolenie mi na te odwiedziny, a jedna z córek domaga się natarczywie od rodziców wyjaśnienia mojego związku z Żebrowcem. Gdy burza zaczęła wylewać się krzykami z okien domu, przysłało mi przez furmana, niegdyś mojego chłopca stajennego, polecenie, ażebym zakończył procesję z dodatkiem, że mogę otrzymać natychmiast konie do odjazdu. Odpowiedziałem listem pod adresem pani, że w imieniu własnem i moich przodków, którzy przez dwieście lat żyli w Żebrowcu i których duchy pewnością go nawiedzają, dziękuję za okazaną mi gościnność, oddałę się pieszo znajomą mi drogą a w sąsiedniej wsi wynajmę sobie furmankę u dawnych moich przyjaciół włościan. Jak baba przełknęła tę pigułkę, nie wiem. przypuszczam, że nią otruła się na długo.

— Drugi raz do Żebrowca cię nie wpuszczą.

— Nie myślę wcale tego żądać. Ta jedna wizyta, która niewątpliwie, rozrośnie się w legendę, dla mojego celu wystarczy. Zresztą pomimo zadowolenia z zemsty, wyniosłem tyle bólu wspomnień, że nie miałbym już siły go wznawiać. Jechałem do Żebrowca jak na wesele, a wracałem jak z pogrzebu.

Po dłuższem milczeniu Kobrycz odezwał się:

— Wiesz a może nie wiesz, że dyskrecja jest moim nałogiem. Mam ją z natury, ale umacniam w sobie

z potrzeby. Kto, jak ja, jest wędrownym lokatorem i pensjonarzem dworów wiejskich, ten nie powinien ani zaglądać parzez dziurkę od klucza cudzych drzwi, a nawet przyznawać się, że coś przypadkiem zobaczył. Więc możesz mi nie odpowiedzieć na pytanie, które ci zadaję nie dla zadowolenia mojej ciekawości, lecz przyjaźni: czy był u ciebie przed paroma dniami młody człowiek, przybyły z zagranicy?

— Był — odrzekł Jan. — Dlaczego o to pytasz?

— Bo jest aresztowany i podejrzany o agitację rewolucyjną. Jest to nawet jeden z powodów mojego przyjazdu do ciebie.

— Skąd wiesz o nim?

— Od Płutowa. Starając się o odzyskanie Żebrowca, wszedłem w stosunki z całą zgrają żandarmską, która nawet darzy mnie pewną sympatią i zaufaniem w mniemaniu, że jestem trochę odpolszczonym wesołym hulaką na cudzy koszt i że można mi przy kieliszku dać na zakąskę ogonek szpiegowskiej tajemnicy. Wyświadcza mi tę przyjemność szczególnie Płutow, nienajgorszy człowiek, trochę pijak, trochę łapownik i nienasycony rozpustnik, który mi to wypłał.

— Czy mnie posądzają o jakiś związek z tym przybyszem?

— Nie. Płutow powiedział mi nawet: „Ten agent miał zły adres. Twinko, syn zasłużonego ojca, do roboty przeciw rządowi rosyjskiemu się nie najmie”.

Jan pobladł, twarz skrzyła mu się kurczem gniewu, ale wkrótce wygładziła się surowym spokojem. Pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Czy nie mógłbyś się od Płutowa dowiedzieć czegoś więcej o aresztowanym?

— Owszem, wynalazłem sposób, ale musiałbym przedtem znać jego rzeczywiste lub przybrane nazwisko.

— Ma paszport austriacki pod nazwiskiem Cyprjana Wokalskiego.

— Jestem przekonany, że mój plan się uda, ale dla wykonania go potrzeba mi tyle pieniędzy, ile kosztuje bilet obnibusu stąd do Grodna, dwa bilety z Grodna do Wilna, jeden bilet z Wilna do Grodna i parę rubli na drobne wydatki. Jeśli chcesz i możesz je dać — jutro na parę dni wyjadę, a po powrocie zdam ci sprawę, jaki zrobiłem użytek z tych pieniędzy.

Jan otworzył biurko, wyjął dwa banknoty 25-rublowe i wręczył Kobryczowi. Za ledwie noc zapuściła zasłonę gęstych mroków i zapaliła gwiazdy, rozeszli się. Jan, odprowadziwszy gościa do pokoju na górze domu, zszedł do swojej sypialni, w której łóżko już było rozebrane. Za nim wsunęła się cicho Sabina z chłopczykiem.

— Czy pan czego nie potrzebuje? — zapytała.

— Tylko snu, kochana Sabinko. Jestem trochę zmęczony.

— Pan... pan... — szczebiotał malec, wyciągając ręce ku górze. — Dobła noc.

Jan uniósł go i roześmianą, już nieco senną buzią ucałował. Uścisnął i również pocałował Sabinę.

— Dobranoc, dobranoc.

Gdy został sam, usiadł na krześle i głęboko się zamyslił. Na jego poważnej twarzy odbijały się wyrazy

wewnętrznej rozmowy, z której raz tylko wydobyły się szeptem słowa.

— Syn zasłużonego ojca.

Położył się do łóżka, ale zasnął dopiero wtedy, kiedy brzask zaczął budzić najwcześniejsze ptaki. Po paru godzinach wstał, poszedł do stajni i kuchni, a wkrótce potem zajechała bryczka i podano śniadanie, po którym Kobrycz wyjechał przy wschodzącym słońcu. Żegnając się z Janem żartował:

— Jako zabezpieczenie powrotu pozostawiam ci walizkę, w której mieści się cały mój inwentarz martwy. Jeśli która z ciekawych kobiet zajrzy do niego, za karę każ jej go uprać a ja już na niej mścić się nie będę.

IV

Sabina Rysiak była córką sławnego kłusownika, tępicielela zwierzyny w lasach rządowych, który pomimo wielokrotnych kar pieniężnych i więziennych nie zniechęcał się do tajemnych polowań i zaniechał ich dopiero wtedy, gdy gajowy przetrącił mu nogę nabojem grubych siekańców. Jakób pozostał kulawym, uganiać się za zwierzyną nie mógł, a ponieważ nie posiadał ani kawałka ziemi i ciężko pracować nie lubił, zagrzął w nędzę, z której ratował się przygodnym, lekkim zarobkiem. W tym czasie dorosła mu jedyna córka, którą oddał w służbę do dworu, licząc na to, że ona mu oprócz zasiłków z pensji dostarczać będzie wielu rzeczy pożądaných. Rachuba go nie zawiodła i obdarzyła daleko hojniej, niż oczekiwał. Sabina podobała się Janowi, który wszedł z nią w najbliższy stosunek, a gdy mu urodziła syna, kupił dla niego w tejże wsi trzy włóki ziemi, wybudował ładny domek i pomieszczenia gospodarcze, wstawił kilka krów, trzy konie, nabył potrzebne narzędzia i tę osadę oddał w użytkowanie Jakóbowi. Kulawy kłusownik nie mógł i nie umiał podołać zadaniom rolnika, dla których musiał przyjąć parobka, ale się zmienił gruntownie; odżyło w nim nad wszystkiemi dawnymi uczuciami górujące w chłopie polskim umiłowanie ziemi, został zabiegliwym, czynnym, chociaż skutkiem

kalectwa więcej dozorcą, niż pomocnikiem. Na związek córki z panem patrzył bez najmniejszej urazy, owszem, ze szczerą radością, bo wogóle z własnego życia nauczył się pobłażliwości dla czynów nieprawnych, przeszedł z ubóstwa do dostatku, wreszcie Jan nie ukrywał swego stosunku z Sabina i ojcostwa jej dziecka. Może nawet uszczęśliwiony Rysiak piastował w duszy tajemną nadzieję, że kiedyś zostanie teściem dziedzica...

Sabina była dziewczyną prostą, ale hojnie obdarzoną przez naturę przymiotami, które stanowią główną wartość kobiety. Ładna świeża, zdrową urodą, szarooka blondynka, ponętnie kształtna w budowie, miała w łagodnej twarzy, nie nadawała się do ram salonu, ale wyglądała wdzięcznie na tle wsi. Jana kochała silnie, wiernie i ulegle, ani nie wstydziła się, ani nie pyszniła bliskim z nim związkiem; synka kochała zapamiętale nie tylko dlatego, że był dzieckiem rozkosznym, ale i dlatego, że był dzieckiem człowieka uwielbianego, drogą jego częścią, do której miała bezwzględne prawo, której nikt jej odebrać nie mógł, nawet wtedy, kiedy jej odbierze jego ojca. Ponieważ nie dawała nikomu odczuć swego uprzywilejowanego stanowiska i utrzymywała się na jednakim poziomie z domownikami, więc ją lubili, chociaż towarzyszki we dworze i po za dworem do sympatji dla dobrej i skromnej Sabinki domieszczywały nieco zazdrości.

Słońce jej jasnego życia przesłaniała tylko jedna chmura — pani Łucja, młoda, piękna, wdowa, dziedziczka odległego o milę Wielopola, do której Jan często jeździł i od której wracał coraz bardziej oczar-

rowany. Zwyczajem istot dobrych i łagodnych, Sabina nie czuła do niej nienawiści, nie stawiała się z nią na równi, uświadamiała sobie, że prędzej czy później musi się dla niej wyrzec ukochanego pana. Tą rezygnacją wszakże nie mogła usunąć ze swej duszy spokojnego, ale głębokiego smutku i nieprzerwanej obawy, że bolesny wyrok rozstania może spaść na nią każdego dnia. Pod tą groźbą była mniej wesołą i częściej milczącą, niż tego wymagała jej szczerą natura.

Po odjeździe Kobrycza przyprowadziła do ojca, jak zwykle, małego Tadzia, który ucałowany przez Jana, wyszczebiotawszy codzienne pozdrowienie, rozpoczął dziecinny szturm pytań, często nie czekając odpowiedzi. Jedno wszakże wydało mu się ważniejszym.

— Pan, pan — mówił trzymając Jana za połę surduta — ciemu z tamtym panem nie pojechałeś i nie wziąłeś Tadzia? Tamten pan nie pozwolił?

— Owszem, chciał z tobą się przejechać, ale spałeś.

— A ciemu mnie mamusia nie obudziła?

— Bo dla ciebie było jeszcze za rano.

— Tadzio samby się ublał. Ja umiem już buciki obuwać. O!...

Zdjął trzewiczek z nogi i znowu wciągnął.

— Nie wiedziałem, że to umiesz — mówił Jan z uśmiechem.

— I z długiej nogi umiem. Pan dziś pojedzie?

— Pojadę.

— I weźmie Tadzia?

— A ktoby dopilnował pojenia koni?

— Tadzio dopilnuje pojenia koni — powtórzył chłopczyk poważnie, chociaż może nigdy tej czynności nie widział, a w każdym razie nie rozumiał, na czem ma polegać jego rola.

Sabina, która z sąsiedniego pokoju słyszała tę rozmowę, posmutniała. Domyśliła się bowiem łatwo, dokąd Jan pojedzie i dlaczego Tadzia z sobą nie weźmie.

[Rzeczywiście zaraz po obiedzie wyjechał do Wielopola. Właścicielką tego doskonale zagospodarowanego majątku ziemskiego była Łucja Wyszogorska, młoda, piękna wdowa po przedwcześnie zestarzałym, już przed śmiercią nieżywym, wielkim panu a jeszcze większym rozpustniku, któremu pozostało zaledwie tyle sił, ile potrzeba było na wytrzymanie ceremonji ślubu, odwiezienie żony z kościoła do swego pałacyku i położenie się do łóżka, do którego ona nigdy nie weszła a on z niego nie powstał. Uraczywszy się tytułem męża przez trzy miesiące, złożył swą przedwcześnie osiwiąłą i ołysiałą głowę na łonie ziemi, która była jedyną, odpowiednią dla niego kochanką. Małżeństwo Łucji z tym pół-nieboszczykiem było tworem jej matki w młodych latach swawolnej, w dojrzałych próżnej, a przez całe życie bezmyślnej, która w ten sposób postanowiła wynagrodzić swego, byłego a dla niej nieużytecznego kochanka a zarazem uszczęśliwić swoją córkę. Uważała to za najwyższy dowód swej wspaniałomyślności i rozumu, że jemu dała śliczną elektryzującą żonę, którą on zachował w dziewictwie dla swego następcy a jej tytuł baronowej, rozległe stosunki w górnych sferach i wystarczający na zbytki

majątek. Ojciec Łucji, rozdeptany i pozbawiony głosu przez jej matkę, nawykły do posłuszeństwa dymisjonowany urzędnik i właściciel folwarku, był przy tym akcie tylko niemym świadkiem.

Gdy weźmiemy pod uwagę nie wyjątki, lecz regułę, okaże się, że zwykła kobieta nie jest głębokiem i nieprzeniknionem w swem wnętrzu morzem, ale płytką sadzawką, której czyste dno dostrzec łatwo i tylko zamulone lub zamacone sprawia złudzenie głębi. Mimo to jest ona rzeczywiście istotą tajemniczą, bo jest nienaturalna, sztuczna. Wszystkie czynniki wychowawcze — tradycja, atmosfera rodzinna, religja, prawo, zwyczaj, — składają się na to, ażeby ją wynaturzyć, stłumić jedne zdolności i popędy, a nadmiernie rozwinąć drugie. Jak z formy jej ubrania nie można odgadnąć jej kształtów, tak z mowy trudno odgadnąć jej duszę. Najdespotyczniej władająca nią siła, najbardziej czczona przez nią bogini, moda, nie pozwala ujawnić się i ustalić jej naturze, którą ciągle przetwarza. Dla kobiety normalnej wiedzą jest moda, moralnością moda, estetyką moda, religją moda, prawem moda, higieną moda, a ponieważ moda jest przeważnie głupia i ciągle się zmienia, przeto kobieta jest przeważnie bezmyślna i ciągle inna.

Łucja zanadto była z natury żądna panowania, zanadto wielka uroda i wielki majątek dawały jej władzę nad ludźmi, zanadto pragnęła wyzyskać swe wyzwoleń samodzielnnością, ażeby mogła poddać się wpływowi Jana bezwzględnie. Ale najbardziej niepodległą i najdumniejszą istotę ukorzy miłość, która w sercu Łucji zakiełkowała i rozrastała się szybko.

Umysł mężczyzny zapala się sam, umysł kobiety musi być zapalony przez mężczyznę. Łucja jednak nie miała w swej naturze materiału łatwopalnego, bo go nie wytworzyło w niej ani niedbałe wychowanie, ani błyszczący pył życia w pustce, ani wielka uroda, która oziębia charaktery samolubstwem. Pani Wyszogorska była tak piękna, że moda, która umie z Wenery zrobić Meduzę, nie zdołała jej oszpecić. Ale jak skąpiec nigdy nie jest nasycony swym skarbem i nie przestaje go pomnażać, podobnie kobieta nigdy nie jest zadowolona ze swych wdzięków i ciągle stara się je powiększyć. Zwierciadło, matka, ojciec, znajomi, służący wszyscy powtarzali Łucji, że jest piękna i że może być jeszcze piękniejsza, nic też dziwnego, że ona w tym kierunku zwróciła wszystkie swoje pragnienia i usiłowania, zaniedbawszy inne szlachetne uczucia, które rodziły się w jej duszy. Twinko pobudził w niej rozwój tych uczuć, wyjął ją z ram, w których była mocno osadzona od dzieciństwa. Od pierwszego spotkania jeszcze za życia męża oddziaływał na nią magnetycznie swym męskim dorodnym wyglądem, głębokością i czystością spojrzenia, mową prostą, szczerą i stanowczą. Ujrzała w nim człowieka, który miał duszę czystą i jasną, nie było w niej ciemnych i brudnych zakątków, zasłoniętych obłudą, kłamstwem i blichtrzem; była tylko skrytka dla tajemnic, ujawniających się przyjaciółom, którzy umieją je uszanować.]

Gdy Jan zajechał, Łucja stała pod modrzewiem i głaskała świeże, miękie igiełki w zwieszanej gałązce. Zobaczywszy go, zarumieniła się różem pączków rozwijających po za nią ozdobnej jabłoni.

— Dlaczego tak długo nie widziałam pana? — rzekła podając mu rękę, którą on ucałował. — Nie mógł pan, czy nie chciał?

— Czyż pani jeszcze nie wie, że ja nie mogę tego nie chcieć?

— Troszkę wiem, ale pragnęłabym nigdy nie wątpić.

— Doprawdy matematyka nie ma lepszych pewników. Miałem trochę przykrości, których nie lubię wywozić po za dom, a zwłaszcza do pani.

— A mnie się zdaje, że wszelkie przykrości najskuteczniej złagodzi serdeczna przyjaciółka.

— Jestem już wielkim a byłbym niewypłacalnym dłużnikiem dobroci pani, gdybym z tej rady korzystał.

— Przesada. Te długi może pan łatwo skwitować moimi u pana i jeszcze pozostanie panu duża reszta.

— Mój rachunek wykazuje przeciwną różnicę.

— Mniejsza o to, jak tam wyglądają te nasze rachunki, dość że w moim jest wyraźnie zapisane pragnienie widzenia pana.

— Ja tę pozycję nazwę mojem szczęściem.

— Niechże pan z tego szczęścia korzysta jak najczęściej. A jak się postępuje z przyjaciółmi w kłopotach, dam panu przykład, zwierając się z moim.

— Któż śmiał go pani sprawić?

— Ktoś bardzo zacny i życzliwy, nieoceniony gospodarz mojego majątku i żywiciel mój.

— Grudek?

— Tak... podał się do dymisji.

— Dlaczego?

— Z dość dziwnego powodu, którego nigdy nie domyśliłabym się. Wczoraj oświadczył mi, że oddawna zrodziło się w nim pewne uczucie, którego spełnić nie może, które nie pozostaje w żadnym związku z jego rolą rządcy a nawet nie pozwala mu jej spełniać należycie. Doszedł do przekonania, że źle gospodaruje i prosi o uwolnienie.

— Rozumiem go.

— A ja nie. Przecież jeżeli ma dla mnie jakąś szczególną sympatję, powinna ona go zachęcić do pozostania.

— Tak, gdyby to była tylko sympatja. Pani czarować będzie wszystkich mężczyzn, którzy nie stracili wrażliwości na urok pięknej kobiety. Żaden wysiłek woli przeciw temu ich nie zabezpieczy. Grudek jako człowiek rozumny, szlachetny i dumny wsłuchał się w głos swego serca bez złudzeń i woli smutek w oddaleniu, niż mękę w bliskości przedmiotu swego uwielbienia. Ma nadzieję, że czas i odległość go uleczy.

— Może i pan — rzekła kokieteryjnie — zaczął się leczyć ode mnie długą przerwą w odwiedzinach.

— Jeszcze nie, ale...

— Doprawdy, to „ale” jest wcale niepotrzebne.

Weszli do domu, rozmawiając o rozmaitych przedmiotach i przyczepiając do najobojętniejszych słowa czułe, które ze strony Łucji brzmiały ponętą a ze strony Jana powściągliwością, miłością. Te dwa tony odzywały się ciągle w ich wszystkich rozmowach i gdy się zdawało, że co chwila przekroczą wąską tamę, która ich dzieli i nie pozwala na szczere wyznania, nagle zatrzymywali się przed nią jak gdyby unieru-

chomieni tajemnym zakazem. Zawsze Jan był pierwszym w tej wstrzemięźliwości, która nieraz wywoływała na twarzy Łucji widoczne zdziwienie.

— Czy nie zechciałby pan towarzyszyć mi w wycieczce na pole? Podobno zboża wyglądają pięknie i obiecująco. Nie widziałam ich, bo sama jeździć nie lubię i czekałam na pana.

— Wdzięczny jestem za tę wielką przyjemność.

— Czy mojej przyjemności wcale pan nie liczy? Niech pan przestanie ciągle patrzeć w siebie i czasem spojrzysz we mnie. Chociażby dla ciekawości.

— Boję się.

— Powinien pan jako mężczyzna mieć więcej odwagi, niż ja — rzekła, śmiejąc się i wyszła.

Wkrótce powróciła ubrana do konnej jazdy a przed domem stanęły dwa kształtne, osiodłane wierzchowce.

Rzeczywiście łąny zbóż ozimych okryte były puszystymi kobiercami bujnej zieleni, która lekko falowała pod muśnięciami łagodnego powiewu.

— Istotnie piękne oziminy — zaczął Jan. — Nawet one starają się zasłużyć na pochwałę pani.

— Chyba pana Grudka, bo o mnie nic nie wiedzą. Po chwili milczenia rzekła:

— Jaka to szkoda, że pan uwięził się w dzierzawie Leniszek. Gdyby one przynajmniej leżały w sąsiedztwie Wielopola.

— Mila odległości to drobiazg.

— Dla przejazdu blisko, ale dla mojego korzystania z życzliwości pańskiej za daleko.

— Niechże się pani tym drobiazgiem nie krępuje,

bo on nie może mieć żadnego wpływu na moją gotowość do wyświadczenia pani wszelkiej usługi.

Łucja zamyśliła się, potem utkwiała badawczy wzrok w Jana i rzekła:

— Nawet gdybym prosiła o objęcie zarządu Wielopola po odejściu Grudka?

Jan drgnął i ze skurczoną boleśnie twarzą odpowiedział:

— Tego zrobićbym nie mógł.

— Dlaczego?

— Z tej samej przyczyny, która usuwa stąd Grudka.

— Ta przyczyna — odparła Łucja żywo — nie istnieje dla pana. Różnica mojego stosunku do obu panów jest zbyt widoczna, żeby można jej nie dostrzec.

— Pomimo to wyznaję, że nie miałbym siły.

— Po raz drugi muszę zaznaczyć dziwny w panu brak odwagi.

— Nie byłaby moja nieśmiałość dla pani tak dziwną — odrzekł Jan poważnie — gdyby pani знаła rzeczywiste jej źródła, które pragnąłbym odsłonić jaknajpóźniej.

— Pozostaje mi więc tylko czekać cierpliwie tej chwili, kiedy pan uzna za stosowne to źródło mi odsłonić. Tymczasem poprzestanę na domyśle, który mi się wydaje najbliższym prawdy.

Dalsza rozmowa snuła się z przerwami, między którymi Łucja rzucała uwagi pozornie luźne, w jej myślach jednak powiązane.

— Byłabym wdzięczna mędrcom, któryby mi wyjaśnił, czy nie ma tak wielkiej i ważnej potrzeby, któ-

raby usprawiedliwiała sprzedanie dwom kupcom tego samego zboża?... Czy hipoteka serca ludzkiego może mieć kilka numerów miłości, czy tylko jeden?

Jan odczuł ironję tych słów i ich ukryte znaczenie. Nie mógł mówić szczerze, więc milczał.

Powrócili do domu jak gdyby odsunięci od siebie do granic chłodnej przyjaźni. To odsunięcie Łucję zmroziło a w duszy wywołało burzę, którą on daremnie usiłował pokryć udanym spokojem i zmęczony wewnętrznem pasowaniem się z sobą odjechał.

Pytającej go Sabinie odpowiedział opryskliwie a przymilającemu się Tadziewi nie odpowiedział wcale. Wieczorem kazał sprzątnąć podaną kolację, zamknął się w swojej sypialni, w której już nie odbyło się zwykłe pożegnanie nocne z Sabiną i synem.

V

Mechanizm zajęć gospodarczych przywrócił jego myślom równowagę i nadał im ruch spokojniejszy. Przemykały między niemi wspomnienia rozmowy z Łucją, ale już słabiej targały jego nerwami. Najuparciej napastowało go pytanie: czy jednak nie mógłby zarządzać Wielopolem bez niebezpieczeństwa dla tego zamiaru, który mu nakazał odmowę? Były chwile, kiedy mocno się wahał a nawet przechylał się na stronę życzenia kobiety, którą kochał i względem której opór był dla niego grzechem i męką. W jego duszy nic nie leżało ani na wierzchu, ani w ukryciu płytkiem, a zwłaszcza wspomnienia bolesne zakopywał w niej tak głęboko, że tylko sam o nich wiedział. Toteż już nazajutrz nie można było dostrzec w nim żadnej zmiany a po kilku dniach powitał przybywającego Kobrycza ze zwykłym spokojem.

— Daj mi jeść — rzekł gość — bo na to zasłużyłem. Jestem zmęczony i głodny, jak parowóz, któremu zbrakło węgla. Język mi zdrętwiał, opowiem ci dokładnie moją podróż, gdy będę mógł nim ruszać.

— Zaraz go odżywimy — powiedział wesoło Jan. Podano przyśpieszony obiad. Kobrycz pochłaniał go, żartując.

— Spotkałem Prota na ulicy, przed pocztą. Przywitałem go i zaprosiłem do bufetu. Wzdragał się.

„Zrób mi pan tę łaskę — mówiłem — bo jestem głodny, w podróży nic nie dostanę a sam jeść nie lubię”. Zgodził się. Wypił kieliszek starki, połknął kilka bułek z kawiozem i łososiem, a ja tylko sucharek. Gdy się najadł, zawołałem sięgnąwszy do kieszeni: „Fatalność! Widocznie złodziej wyciągnął mi portmonetkę przy kasie. Zapłać pan, przy sposobności zwrócę”. „Kiedy nie mam ani kopiejki” — wybełkotał przerażony. „Ale masz pan zegarek, zastaw go pan w bufecie, ja wykupię”. „Nie mogę, nie mogę” — powtarzał, trzęsąc się ze strachu i gniewu i obszukując kieszenie. — „Ach, na szczęście, pozostał mi jeszcze rubel. Pożyczę go panu na parę dni”. Ale do rachunku brakło jeszcze 20 kopiejek, które ja znalazłem w mojej kamizelce i dołożyłem. Odprowadził mnie do omnibusu i przy pożegnaniu wyskomlił błagalnie: „Nie zapomnij, drogi panie, odesłać mi tego rubla prędko. Widziałeś sam, że to ostatni mój pieniądz”. „Nie skarż się pan — odpowiedziałem — przecież ja straciłem więcej, pan za swego rubla przynajmniej zjadłeś coś smacznego, a ja za moje 20 kopiejek tylko marny sucharek”. „A dużo panu skradziono?” — zapytał, jak gdyby chciał się upewnić, że nie padł ofiarą żartu. „Portmonetka była pusta, a nawet nie jestem pewien, czy ją miałem w kieszeni czy w torbie” — odrzekłem i spiesznie wskoczyłem do wagonu. Przypuszczam, że zaklął.

5) — Zbyt ostry żart — zauważył Jan. Trzeba mu odesłać rubla.

— Odeślę albo nawet sam odwiozę, ale oprawię go w ramki.

Poco ta szykana?

— Poto, ażeby Krystynowicz widział, że nim gardzę, że wart jest, ażeby go walić po gębie a z litości tylko się z niego drwi. Powiedział o nim Płutow: „On pochodzi od polskiej świni zmieszanej z rosyjskim lisem: dziękował mi, że wyłapujemy agentów emigracji waszej a małe złe oczki wbił we mnie jak gwoździe”.

— Powiedzże mi, jak ci się udała tajemnicza wyprawa?

— Udało mi się zupełnie. W Grodnie mieszka niejaka Zuzia Garczyk, prześliczna dziewczyna z wulkanicznym temperamentem, której ja byłem drugim kochankiem — pierwszy, który ją uwiódł, wyjechał zagranicę — a która teraz służy wszystkim mogącym opłacać bardzo kapryśne jej wymagania. Obecnie ministrem jej spraw wewnętrznych i skarbu jest książe Niedźwiedź Rudy. Dla mnie zachowała przyjaźń nieproporcjonalną do mojej golizny, gdyż zaledwie stać mnie na kupienie jej czasem kilku brzoskwiń, które lubi namiętnie. Zaciekle nienawidzi moskali, którzy za nią szaleją. Pojechałem do niej z propozycją, ażeby wydobyła z Płutowa wiadomość o aresztowanym młodzieńcu. Projekt mój zachwyił ją. Natychmiast udała się ze mną do Wilna i pospieszyła do żandarma z prośbą o wiadomość, czy prawdą jest, że aresztowany został jej kuzyn z Galicji Cyprjan Wokalski. Przy jej urodzie, sztuce podobania się i lubieżności moskala łatwo go rozmiękczyła i wycisnęła z niego tajemnicę. Wyznał jej, że po porozumieniu się telegraficznym z policją krakowską stwierdzono, że Cy-

prjan Wokalski nie wyjechał, że uwięziony nazywa się inaczej, że posiadany przez niego paszport jest albo pożyczony, albo skradziony, albo sfałszowany. Wtedy wymogła na nim, że sprowadził więźnia do siebie niby dla dalszego badania a jej pozwolił obejrzeć go przez szparę w portjerze sąsiedniego pokoju. „Siedem lat nie widziałam mojego kuzyna — odpowiedziała Płutowowi — przez maleńki otwór nie mogłam rozpoznać go dokładnie”. Do mnie zaś przybiegła blada, drżąca, ze łzami w oczach i krzykiem. „To jest on, Zdziś Zieliński, mój pierwszy kochanek, który odszedł ode mnie, ale pozostał dotąd w moim sercu. Co ja mam zrobić, ażeby go uwolnić? Płutow mi go nie odda, chociażbym ja mu się oddała. Panie, radź mi, na wszystko się zdobędę”. Próbowałem uspokoić ją zapewnieniem, że go wypuszczą, gdy mu niczego nie dowiodą. Odrzekła smutnie: „Dowiodą. Na moją podobną uwagę Płutow odpowiedział: „Żyd karczmarz lepiej przegląda człowieka, niż najprzenikliwszy żandarm. Przez ciało widzi jego duszę”. „Nie wiem, o jakim karczmarzu on mówił”. Ja wiedziałem, ale ją zapewniłem, że to jest zwykłe kłamstwo żandarmskie. Odjechała zgnębiona do Grodna a ja do ciebie.

Jan wysłuchawszy tej opowieści, zamyślił się długo, wreszcie rzekł:

— [Zieliński się nie wyratuje i mnie za sobą pociągnie. Ale to lepiej.]

Po chwili dodał:

— Może ta twoja Zuzia więcej warta od innych podobnych, ale ja wolałbym się obyć bez jej pośredni-

ctwa, przynajmniej w zdobywaniu informacji o mnie i dla mnie.

— Ale gdyby tę usługę wyświadczyła ci marszałkowa Cybińska, która nie przestrzega patriotyzmu w łóżku i nietylko od swoich młodych dobroczyńców nie bierze pieniędzy, ale im jeszcze płaci, czy także byś nią pogardził?

— Tak.

— Pozwól wątpić takiemu znawcy, jak ja, który nietylko z wielu rozmaitych pieców chleb jadał, ale piekarzom dobrze się przyjrzał. Ty kochany Janie jesteś od innych odmienny, bardzo szczerzy, bardzo czysty, bardzo zacny, ale z twojej skóry nie wylazła jeszcze wszystka szerść starych przesądów, jeszcze działają na ciebie pewne nałogi myśli. Marszałkowa, chociaż jest ladaczną, pozostaje ciągle marszałkową a prostytutka, chociaż jest w gruncie dobrą dziewczyną, pozostaje ciągle prostytutką. Gdyby tu przyjechała pani Cybińska, przyjąłbyś ją w salonie, rozmawiał z nią długo i grzecznie, ale gdyby przyjechała Garczykówna, przyjąłbyś w przedpokoju, rozmawiał krótko i opryskliwie. Czy nie tak?

— Masz słuszość, ale to nie zmienia mojej niechęci do jakiegokolwiek zetknięcia się z istotami moralnie zbrukanemi. Nie przeczę, że w pewnych szczególnych wypadkach zachodzi konieczność posługiwania się nimi, nie usuwa ona jednak odrazy. Szpieg jest wstrętny, mimo to używamy go.

— Mój drogi, jeżeli wywozisz na pole gnój, to nie pamiętasz o jego woni, ale o jego pożytku. Ogół ocenia zwykle ludzi jak zwierzęta dzikie — według futer,

a nie jak domowe — według ich korzyści. Dla niego więcej wart niebieski lis, niż czarny wieprz. Ja już nie popełniam tej omyłki.

— Zazdrościłem ci humoru, a teraz zazdroszczę filozofji.

— Dobrym filozofem może być tylko człowiek, który niczego nie posiada — ani rodziny, ani majątku, ani urzędu, ani władzy, bo z tych wszystkich dobrodziejstw rodzą się przesady i zakuwają duszę w kajdany. Każdy żebrak jest daleko mądrzejszy, niż bogacz, tuczący się dobrobytem. Z wędrującym po wsiach dziadem warto zawsze pomówić a z dającym mu jałmużnę zamożnym gospodarzem — nie. Najrozumniejszym gatunkiem ludzi są biedni i nieszczęśliwi, bo nędza i smutek zmuszają ich do ciągłego rozmyślenia, do którego nikt dobrowolnie się nie kwapi. Nie zapieram się, że wolałbym być właścicielem Żebrowca, żyć w dostatku, wygodzie i wszelkich rozkoszach obywatela ziemskiego na 30 włókach bez długu, zajętego tylko doborem przyjemności, niż być wędrownym szpakiem, nieposiadającym własnej dziupli i żerującym na cudzych polach. Ale gdy los w postaci moskala odarł mnie do naga i rzucił w głębokie i burzliwe morze życia, nie chcę tonąć, usiłuję pływać i zbadać do dna głębokość toni, nad którą się unoszę. Wspomniałem ci już, że nie przywiązuję żadnej wagi do wyrazów i nie poczuwam się do żadnego względem nich obowiązku, bo one są zawsze nieme a jeśli coś mówią, to zwykle kłamią. Patrjotyzm, uczciwość, szlachetność i inne uroczyście słowa, przypięte do ozdobionych niemi osobników, tak mnie nie ucza,

jak rzeczowniki Prot Krystynowicz nie objaśniają mnie, kim jest jegomość używający tego nazwiska. Nie zawstydza mnie też wyrazik, który nieraz rzucają przyzwoitki i obłudnicy, nazywając mnie cynikiem. Jednej z takich moralistek, która uważa, że niedość skromnym jest nawet żółw, wysuwający gołe nogi ze swej skorupy, odpowiedziałem: „Czy pani nie jest cyniczką, rozbierając się do badania lekarskiego i doktor, który opukuje gołe ciało pani?” „To co innego” — pisnęła jak przekłuty balonik. „Lew to także, co innego niż kot, ale oba są kotami”. Coś tam jeszcze zasyczała głupia gęś i odeszła. Kochany Jasiu, przyznaj, że ty również najwięcej mądrości zawdzięczasz nieszczęściom i że również w przekonaniu ogółu jesteś cynikiem.

Jan wysłał wzrok z ciężkimi myślami w przestrzeń i milczał.

— Czy cię uraziłem? — zapytał Kobrycz.

— Bynajmniej. Zastanowiłem się tylko nad twoją ostatnią uwagą. Masz słuszność: jestem uczniem nieszczęść.

— Pomimo korzyści, jaką one dają, nie życzę ci, ażebyś otrzymał od nich nową naukę, którą przewioduję.

— Jaką?

— Z półsłówek Płutowa do Garczykówny wnoszę, że albo dawniej kłamał wiarę w twoją lojalność, albo zmienił przekonanie i zwiąże cię z uwięzionym.

— Ja mu do tego pomogę.

— A to co znowu?

— Konieczność, którą kiedyś zrozumiesz.

Kobrycz znając twardą stanowczość Jana we wszelkich postanowieniach, zląkł się, zwłaszcza że uważał siebie za winowojcę, który go pobudził do jakiegoś niebezpiecznego zamiaru. Zaczął więc przekonywać o potrzebie ostrożności, nienarażania się, obwarowywania swego bezpieczeństwa i zużywania swych sił na działalność obywatelską. Zakończył uwagą.

— Lepiej wyciosać z drzewa podwalinę dla społecznego domu, niż szubienicę dla siebie.

— Nie zawsze lepiej — odrzekł Jan. — Chrystus stworzył potęgę ze swojej krzyżowej szubienicy a nie dokonałby niczego podwaliną domu społecznego.

Rozmowę w tym przedmiocie przerwali i nawiązali ją o sprawach pospolitych.

Kobrycz, który przez kilka lat dzieciństwa zdumuchiwał — o ile same nie zgasły — światła zapalane w jego głowie przez domowego nauczyciela, który nie uczęszczał do żadnej szkoły i czerpał swą wiedzę wyłącznie z życia, który młodość spędził na rozpasanem używaniu i próżniactwie, który nie był uzdolniony do żadnej pracy i po utracie majątku skazany na ciągłą wędrowkę gościa po dworach, nie mógł tym, których nawiedzał, dać niczego z mądrości, zawartych w książkach. Był zupełnym nieukiem, niewiedzącym napewno, czy średniowiecze było po starożytności, czy przed nią, czy w kwadracie wszystkie boki są równe, lub czy Kolumb jechał do Ameryki żaglowcem czy parostatkiem. Ale życie jest także szkołą, może najznakomitszą a w każdym razie dla niektórych umysłów jedyną i pouczającą. Z tej szkoły Ko-

brycz wyniósł wielką sumę bystrych spostrzeżeń, przenikliwych wejrzeń i oryginalnych wniosków. Był on z natury wesół, ale tę wesołość podniecał w sobie sztucznie, bo ona stanowiła środek, znieczulający go na dolegliwości bezdomnego i bezradnego ubóstwa. Z temi właściwościami był wogóle towarzyszem przyjemnym a dla Jana Twinki szczególnie pożądanym. Rozpraszał mu bowiem melancholję, która ciągle osiadała na jego duszy. Nietylko z usposobienia, ale też z potrzeby nieurazania ludzi, z których uprzejmości i łaski musiał korzystać, był dyskretnym, szczerza jednak życzliwością, połączona nawet z najwstrzemięźliwszą ciekawością, pobudza i ośmiela w dłuższem obcowaniu do uchylania, jeśli nie wielkich, to małych zasłonek życia przyjaciół.

— Czy nie zamierzasz się żenić? — zagadnął Jana po kilku dniach pobytu w jednej z poufnych rozmów.

— Nie.

— A wiesz, że panie okoliczne już dawno cię ożeniły?

— Ach, to jest jedno z ich głównych zajęć. One ciągle wiążą pary, jeśli nie w kościołach, to w schadzkach.

— Chociaż ten produkt jest mi dziś mniej potrzebny, ciągle jednak kobiety wysoko cenię. Nie można zaprzeczyć, że jest to najpiękniejszy z utworów boskich i najrozkoszniejsza z używek. Ale zarazem jest ta przyjemna ślicznotka chyba najprzemysłniejszą wśród istot żywych. Samice zwierząt są mądrzejsze i poważniejsze. Po za instynktem płciowym nie rozumie ona dobrze żadnego innego pragnienia i celu.

Jest tak niezdolna, że nie umie nawet porządnie zrobić żadnej innej plotki. Rzucałem rozmaite prawdziwe i zmyślane wiadomości między najruchliwsze plotkarki, przyjmowały je chłodno i puszczały w obieg leniwie. Ale daj im kawałek szarej nitki miłosnej, za parę dni utkają z niej wielką i wzorzystą tkaninę. Mimo to ja je bardzo lubię i każdy musi je lubić, kto nie wymaga od nich niczego więcej, prócz przyjemności. Pieczona pularda lub kuropatwa jest jeszcze głupsza a jednak smakuje. Czy nie?

— Nie mam w tym przedmiocie żadnego zdania, bo dobrze znam tylko jedną kobietę — Sabinę. Matkę straciłem w dzieciństwie, z siostrami obcowałem mało a panią Wyszogorską tylko uwielbiam, nie badam.

— Właśnie z nią ożeniono cię przedwcześnie.

— Gorzej, bo daremnie.

— W każdym razie przepraszam cię, jeżeli mojami uwagami o kobietach jej ubliżyłem. Rzeczywiście znajdują się między niemi nadzwyczajnie rzadkie wyjątki. Najsprawiedliwszy sąd o kobietach krzywdzi może jedną w milionie, chociaż wszystkie obraża. Przypuszczam, że pani Wyszogorska jest tą jedną.

— Jest mi zupełnie obojętnem, jaką ona posiada wartość i jak się przedstawia innym ludziom. Dla mnie jest najpiękniejszą z kobiet i uwielbiam tylko jej piękność. Innych przymiotów w niej nie szukam, a nawet odnaleść ich bym nie chciał, bo one wciągnęłyby mnie w miłość, której pragnę się ustrzec.

— Po raz drugi już spostrzegam, mój Janie, że twoje serce jest skarbonką zagadek.

— Jeśli ona kiedyś się otworzy, zobaczysz, że w niej zamknięta jest tajemnica, którą wszyscy znają.

Po chwili dodał:

— Pani Wyszogorska potrzebuje rządcy. Może chciałbyś przyjąć ten obowiązek?

— Kochany Janie, czy kpisz, czy o drogę pytasz? Ja umiałbym gospodarować tylko we własnym majątku, w którym za moją nieumiejętność byłbym odpowiedzialnym jedynie przed sobą. Chyba że pani Wyszogorska chce zmarnować Wielopole — w takim razie jej służę, chociaż nie ręczę, czy z moim nałogiem cygana potrafiłbym pomagać jej do tego długo. Dlaczego Grudek odchodzi?

— Zakochał się w dziedzicze.

— I ty mnie chcesz wystawić na taką pokusę? Grzać się zdała przy dużym ogniu lubię, ale parzyć się — nie. Kobrycz zakochany — bez wzajemności! Czy wyobrażasz go sobie w głębszej roli? Nie jestem egoistą, ale tak okrutnym wrogiem dla siebie być nie mogę. Natomiast sędzę, że ty powinienbyś odstąpić dzierzawę Leniszek i objąć zarząd majątkiem kobiety, którą uwielbiasz i dla której, jak słyhać, nie jesteś obojętny.

— Nigdy.

Mimo tej stanowczości Jan nie przestawał rozmyślać nad możliwością zajęcia stanowiska rządcy w Wielopolu. Wyobraźnia malowała mu urocze obrazy ciągłego przebywania z kobietą, która go oczarowała, którą on — jak twierdził — tylko uwielbiał a w rzeczywistości lekliwie kochał. Wszystkie sprężyny w jego charakterze były mocne a ta po miłości ojczy-

zny była najsilniejszą. Dla niego życie nie było ani hazardową grą, swawolną zabawą lub rozpustą, ani bezmyślną gonitwą za doraźnymi przyjemnościami, ani chwytnością i szpilkowaniem barwnych motyli lub zrywaniem wonnych kwiatów, lecz pracą i walką nie tylko ze złem po za sobą, ale i w sobie. Przerąbował się i przedzierał przez życie jak przez dziką, gęstą i zdradną puszcę, przebijał tunel przez jego skałę, nie męczył się najcięższym trudem i baczył uważnie, ażeby nie zmylić prostego kierunku. Więc chociaż upajał się myślą o ciągłym obcowaniu z Łucją aż do rozmiękczenia swej twardej natury, zaraz trzeźwił się i tężał w chłodzie postanowienia, które nakazywało mu spłonąć dobrowolnie na stosie ofiarnym. Stosunek z Sabiną nie był wcale mętem jego uczucia dla Łucji: były dwa odmienne rachunki jego serca, niemające z sobą związku i nieprzeczące sobie wcale: z pierwszą łączyła go potrzeba posiadania kobiety i dziecka, z drugą uwielbienie, nieprzekraczające swej idealnej granicy i nieprzechodzące w sferę żądz.

Kobrycz nie znał właściwej przyczyny mroków duszy Jana, ale je wyraźnie widział i pragnął rozproszyc swoją wesołością, do której nastrojał się łatwo. Przygód miał wiele, anegdota zebrał duży zapas, a gdy jednych i drugich zabrakło, zmyślał niebyswałe.

— W podróży z Grodna — opowiadał przy obiedzie — miałem przepyszną uciechę. Zuzia jeszcze się nie maluje, ma twarz świeżą, jest urodzoną komejdiantką, umie zachowywać się przyzwoicie a przytem ubrała się skromnie. Ponieważ odzywałem się do niej po imieniu a ona do mnie w formie nieokreślonej, prze-

to młody ziemianin kowieński, który jechał z ładną, ale chudą i drzemiącą żoną, mógł nas wziąć za małżeństwo. Ponieważ zaś szlachcic zawsze poluje i kobiety zalicza do zwierzyny, więc mój panek zaczął miotać czułe spojrzenia na Zuzię, która natychmiast odgadła jego zamiary i udawała, że te strzały utwiły w niej głęboko. Nie znam świata po za rogatkami Polsko-Litwy, ale zdaje mi się, że nigdzie — może tylko we Francji — nie jest tak, jak u nas: każdy mężczyzna gotów do uwiedzenia i znieprawienia młodej dziewczyny, córki swego dobroczyńcy, żony lub siostry przyjaciela, wogóle każdej ponętnej kobiety bez względu na jej wiek, nastrój moralny i położenie. Nie mam prawa potępiać za to moich lubieżnych rodaków, bo sam nie doznawałem żadnego skrupułu w tej niecnocie i zacząłem odczuwać do niej odrazę dopiero wtedy, kiedy we mnie osłabła chęć a raczej zdolność do popełnienia grzechu. Byłem samcem, jak inni mężczyźni i dlatego pragnienia samców odgaduję łatwo. Mój towarzysz podróży posuwał się w swych zalotach szybko. Podczas przepręgu koni na stacji pocztowej wprowadził Zuzię z omnibusu do poczekalni i tam — jak mi potem opowiadała — zaczął ją namiętnie całować. Nagle wszedłem do nich. Miał wystraszoną minę, winowajcy schwytanego na gorącym uczynku, ale przybrał niewymownie głupią, gdy ujawszy go pod rękę i odciągnąwszy na stronę, szepnąłem: „Mogę panu służyć jej adresem i cennikiem“. „Ja, ja — bakał z wymuszonym uśmiechem — właściwie... Dziękuję, bardzo dziękuję...“ I umknął do żony. Ze zmieniają-

cej się jego twarzy, którą daremnie usiłował uspokoić, widać było, jak mu dokuczają moje ironiczne spojrzenia. W Wilnie wyskoczył z omnibusu jak wystrzelony i wpadł w dom pocztowy, nie oglądając się na żonę, której pomogłem wysiąść.

Jan słuchał tej opowieści i innych z nieuwagą, chwytając jedynie oderwane zdania, które nie zawsze umiał powiązać. Wogóle nie smakował w tłustych anegdotach, które mi mężczyźni chętnie się raczą, a obecnie codziennie częściej napastowały go tajemne myśli, które pochłaniały całą jego uwagę.

— Gdyby Wielopole było bliżej—rzekł, jak gdyby rozmawiając z sobą — mógłbym ostatecznie objąć nad niem dozór gospodarczy. Ale z tej odległości niepodobna, a przenieść się tam i porzucić Leniszki — to byłoby zbyt ryzykowne.

— Z tak mocnym pancerzem charakteru, jak twój, można bez obawy wystawić się na strzały Kupidyna.

— Tu chodzi nie tyle o Kupidyna, ile o Płutowa.

— Ten pijany rozpustnik nie wydaje mi się groźnym. Gdy z powodu tego więźnia zaczniesz dobierać się do ciebie, dasz mu kobietę i butelkę, zaraz się cofnie,

— Naprzód ja mu nie dam ani kobiety, ani butelki, a powtóre nicby to nie pomogło. Najbardziej zdemoralizowany i przekupny żandarm rosyjski nie przestaje nigdy być żandarmem. Jeśli weźmie łapówkę to wywdzieczy się za nią tylko o tyle, że w protokóle do twoich zeznań nie dołączy swoich kłamstw i może da ci w więzieniu suchszą i widniejszą celę.

Przesuwały się tygodnie w spokoju, Twince w pra-

cy, Kobryczowi w próżniactwie. Starał się on wyświadczać przyjacielowi drobne usługi: pomagał w rachunkach gospodarczych, kontrolował niektóre roboty, załatwiał sprawunki, ale najwięcej czasu zużywał na spanie, odpoczynki i błahe zajęcia, któremi każdy leniwiec umie zapełnić pustkę swego życia. Pewnego dnia rzekł poważnie:

— Kochany Janie, mam do ciebie gorącą prośbę: powiedz mi szczerze, bez żadnych osłonek, gdy okażę się dla ciebie uciążliwym. Jest mi u ciebie zbyt dobrze, ażebym sam poczuł chęć odjazdu a jednocześnie napastuje mnie obawa, że nadużywam twojej gościnności.

— Jeśli ci u mnie dobrze, siedź, bo i mnie lżej żyć z tobą.

Mówił prawdę, samotność gryzła go mocniej. Kobrycz nie uwalniał go zupełnie od dręczących myśli, ale je przerzedzał. Kilkakrotnie Twinko postanawiał jechać do Wielopola i cofał się, jak gdyby tam widział ciemną chmurę, z której miał spaść na niego piorun. W miarę jednak jak wydłużała się przerwa jego odwiedzin, czuł w sobie coraz większy rozstrój. W silniejszych napadach smutku wybiegał w pole i błąkał się bez celu. Podczas jednej z wycieczek zauważył syna karczmarza, Dawida Goldkopfa, który zwykle chodził po miedzach i rowach. Pewnego dnia Twinko spotkał siedzącego przy drodze i wpatzonego w ziemię. Był to chłopiec osiemnastoletni, wąły, blade, jak gdyby chory lub zagłodzony. Daremnie ojciec zapędzał go do handlu, daremnie przez jakiś czas trzymał w Wilnie, ażeby ćwiczył się w Talmudzie

i kształcił na „duchownego”. Dawid albo w izbie czytał pożyczone książki, albo wałęsał się po polach. Na łajania ojca odpowiadał, że rozmawia z Bogiem, ale ponieważ nie okrywał się przy tem rytualną płachtą i nie przywiązywał do czoła przykazań, stary Goldkopf uznał go naprzód za bezbożnika i próżniaka a wreszcie za uszkodzonego w rozumie.

— Co ty tu robisz? — zapytał Jan surowo.

— Przypatruję się stwarzaniu — odrzekł chłopiec spokojnie.

— Nie wiesz, że świat został dawno stworzony?

— Tak mówi Biblia, ale to nieprawda. Przecie Bóg nie stworzył odrazu wszystkiego, co istnieje, on tworzy ciągle, bez przerwy i od początku.

— A człowiek nic nie robi?

— W człowieku przebywa i działa Bóg.

— Któż to ci powiedział?

— Ja sam sobie powiedziałem, bo inaczej być nie może. Pan jest mądry a Dawida nawet rodzony ojciec uważa za głupiego, więc na co panu usłyszeć, skąd to wie marny żydek?

— Owszem jestem ciekaw.

— Nie spodziewałem się tego. Wytłomaczę—a pan może się śmiać, to mnie nie zawstydzi, bo ja wierzę. Otóż sprawa świata ma się tak. Biblia opowiada, że Bóg w sześć dni stworzył świat a siódmego odpoczął i odpoczywa dotąd. Czasem poprawia swoje omyłki, ludziom radzi lub dopomaga, dobrych nagradza, a złych karze. Ma on być tylko sędzią i to nie bardzo sprawiedliwym, bo karze ludzi za swoje własne winy. Przecież mógł wszystkich uczynić dobrymi, skoro są

jego dziełem. Więc za coby się mścił? Ale on takim nie jest, nie jest żadną osobą, lecz duchem, przenikającym wszystko, co istnieje. Od początku bez początku powstał jako dusza świata, który jest jej ciałem i która go przekształca. Proszę pana, czy w żółędziu jest dąb z konarami i liśćmi? Czy w nasieniu-mojego ojca był Symcha, który handluje szczecią. Ruchla, która jedyna między jego dziećmi ma żółte włosy i piegi, Dawid, który nie umie namówić chłopa na wypicie kieliszka wódki? Przecie jego nasienie było zawsze to samo. Skąd się bierze ta różnorodność? Stwarza ją Bóg.

— Stwarza dobre i złe, piękne i brzydkie, pożyteczne i szkodliwe? — wtrącił ironicznie Twinko.

— Bóg nie rozróżnia dobrego od złego, pięknego od brzydkiego, pożytecznego od szkodliwego, on stara się jedynie o stworzenie nowości. Że zaś ludziom pewne jego twory podobają się a inne nie podobają, to go wcale nie obchodzi, jak nie obchodzi go to, że woda nie lubi ognia a owca nie lubi mięsa. Bóg, duch świata nie ma ani oczu, ani uszu, ani węchu, ani dotyku, niczego nie czuje, przeto wszystkie twory posiadają dla niego równą wartość. One same się rozróżniają i oceniają. Dla Boga tyle wart kruk, lub jastrząb, ile słowik lub skowronek.

— Czemu ty właściwie się przyglądasz?

— Chcę zobaczyć chociaż jedną chwilkę stwarzania świata. Pan wie, że nieraz kwiat ma rano zamknięty pączek a w kilkanaście godzin jego płatki są zupełnie otwarte. Otóż ja pragnę widzieć, jak on się rozwija. Dotąd nie udało mi się dostrzedz jego ruchu,

pracy Boga. Jeden student z Wilna radził mi, ażebym przypatrywał się powojowi, który rośnie szybko i właśnie znajduje się w tej miedzy. Siedzę przy nim od pięciu godzin i nie zauważyłem najmniejszego przyrostu.

— Ja ci dam inną radę: przestań śledzić swego boga i jeżeli nie chcesz, szynkować i znieprawiać ludzi jak twój ojciec, zajmij się jakąś pożyteczną robotą. Oto nadchodzi czas pielenia, płacę 15 kopiejek dziennie.

— Przepraszam, czy pan nie ma książki Borucha Spinozy?

— A ona tobie na co potrzebna?

— Ten student mówił mi, że Spinoza myślał trochę podobnie do mnie.

— Książki takiej nie mam, ale tybyś jej wcale nie zrozumiał. Najmij się lepiej do pielenia.

Odszedł. Twinko powiedział to bez przekonania, bo chociaż o Spinozie słyszał, jego filozofji nie znał. W niewiedomości rozgniewał się na prośbę żydka, który wydał mu się mędrkującym głuptasem. Zamiast uspokojenia powrócił do domu rozdrażniony. Gdy opowiedział spotkanie Kobryczowi, ten rzekł:

— Mylisz się, mój przyjacielu. Żyd może nie mieć ani jednego przymiotu aryjczyka, ale rozum zawsze ma. Żydów stworzył djabeł, z którym nawet wszechmocny Bóg nie daje sobie rady, skoro go dotąd nie zgładził.

— Tak, to mocna rasa, zwłaszcza w oszustwie.

— Są jednak lepsi mistrze w tym kunszcie. Raz pi-

jany Płutow w przystępie szczerości powiedział do mnie: „Podziwiacie zręczność i pomysłowość waszych żydów w fałszerstwach. Tymczasem są oni partaczami wobec mistrzów wielkoruskich. Pewien muzyk, utrapiony przez żonę, przyszedł do popa z prośbą, ażeby go rozwiódł.

— „Człowieku — zawołał pop — czego ty żądasz! Rozwodu w prawosławiu udziela tylko car”. — A ja bym dał wam za to sto rubli srebrem”. Sto rubli tak olśniło biednego popa, obarczonego gromadą dzieci, że oświadczył: „Przyjdź jutro, będę rozmyślał przez całą noc, może wynajdę jakiś sposób”. Nazajutrz muzyk przychodzi a pop mówi uradowany: — „Będziesz miał rozwód”. Co on zrobił? W akcie ślubu wykrobał nazwisko Iwana Pamfiła i jakie natomiast wpisał? Wasz żyd wpisałby inne a on — to samo. Nasuwał się prosty wniosek, że przedtem było inne i że akt został sfałszowany”.

— Prawda, że pomysł dowcipny — rzekł Jan, podchodząc do otwartego okna, przez które dolatywał turkot zbliżającej się bryczki.

Wysiadł z niej Mikołaj Twinko. Kobrycz, przywitawszy go, wyszedł.

Załatwiłeś pomyślnie? — spytał Jan brata.

— Pieniądze wręczyłem Barkowskiemu, który je zaraz przesłał za pośrednictwem konsulatu francuskiego do Paryża dla komitetu powstańczego w Towarzystwie Demokratycznym. Patrzy on jednak na całe przedsięwzięcie z zupełną niewiarą i smutkiem. Według niego emigracja nasza przez kilkanaście lat odcięta od kraju widzi go przez szkła swoich złudzeń,

swojej rozpaczy i tęsknoty. Jej nieokreślone zamiary są raczej grą hazardową, niż trzeźwo obmyślanym planem. Nie wie ona, czy ma wywołać powstanie tylko w jednym zaborze, czy kolejno lub odrazu w trzech. W stosunku do potęgi wrogów posiada siły i środki tak nikłe, że one nie zaważyłyby wcale na szalach walki. Liczy na to, że wywoła powstanie na całym obszarze Polski i że niektóre rządy i narody europejskie okażą dyplomatyczną i czynną pomoc. Wszystko to jest rachunkiem fantazji. Wysłano z Paryża kilkunastu emisariuszów, których Rosja i Niemcy prawie już wyłapały, Austria zaś jeszcze im pozwala krążyć, ale po to tylko, ażeby się ujawnili i ażeby mogła tem łatwiej zgarnąć wszystkich do więzień. Są niewątpliwe dowody porozumienia się i łącznego działania trzech rządów, którem kieruje nikczemny Metternich.

— Czy to nie przesada czarnowidzów? Czy podobna przypuścić, ażeby kierownicy rewolucji podjęli ją bez pewności, że ona tak silnie rozwinie się w kraju i będzie miała poparcie zewnątrz?

— To samo pytanie zadałem Barkowskiemu. Odpowiedział mi: „Gdybyś pan widział cierpienia patriotyczne emigrantów, ich gorączkowy nastrój, ich szłał w pragnieniu zmiany obecnego położenia za wszelką cenę ofiar, wreszcie ich wiarę w sprawiedliwość Opatrzności — zrozumiałbyś ten skok w przepaść z nadzieją, że im podczas spadania wyrosną skrzydła i uchronią od rozbicia się”.

— Dziś już cofnąć się niepodobna — zauważył Jan.

— Wiele znaków wskazuje — mówił Mikołaj — że

rząd rosyjski wie o wspieraniu ruchu zbrojnego, przygotował się do stłumienia go i że go lekceważy. Na komorze morskiej przy wyjeździe i powrocie obrewidowano mnie jak złodzieja; nie tylko walizkę, ale i kieszenie, omal że nie zaglądano mi pod język i w dziurki nosa. Wczoraj spotkał mnie na ulicy Płutow i zaczął wesoło: — „Pan był w Sztokholmie. Żałuję, że o tem nie wiedziałem, bo poprosiłbym o pozdrowienie ode mnie Barkowskiego. Wprawdzie on teraz nazywa się Melin i uchodzi za francuza, ale ja nie zapomniałem ani towarzysza hulank w Świsłoczy, ani jego dawnego nazwiska. Był on nawet przyjacielem ojca pańskiego. Jakże mu się powodzi w konsulacie francuskim?” „Nie umiem panu powiedzieć — odrzekłem, usiłując nie zdradzić zaniepokojenia — bo nie znam ani Barkowskiego, ani Melina”. „To dziwne”... — bąknął, patrząc mi badawczo w oczy. „Zresztą — dodałem — tyle miałem zajęcia z moim obstalkiem w fabryce Simonsa, że o niczem innem myśleć nie mogłem”. „Na odwiedzenie dobrych znajomych zawsze czas się znajdzie” — rzekł z uśmiechem. Ja jeżdżę do Petersburga w ważnych sprawach, a jednak zawsze urwę sobie kilka godzin na biesiadę z ładną dziewczyną”.

— Płutow — rzekł po namyśle Jan — nie jest najgorszym i ma odrobinę sympatji dla Polaków a może tylko dla syna Hieronima Twinki; pomimo to jednak pozostaje żandarmem. Jestem przekonany, że z Barkowskim nigdy się nie znał i tylko udaną znajomością chce podać go w podejrzenie. Z drugiej strony dał ci do zrozumienia, że o twojej bytności u Barkow-

skiego — Melina wie, czyli że rząd za pośrednictwem miejscowych zagranicznych szpiegów jest dokładnie poinformowany o zamiarach i robotach emigracji. W żartach ukrył przestrożę dla nas. Położenie jest jasne, chodzi już tylko o to, jak mamy się w niem zachować. Według mnie powstanie zbrojne w którymkolwiek z zaborów wywoła wspólne przeciwdziałanie trzech rządów i skończy się klęską. Ponieważ jednak temu zapobiec nie można, ja nie chcę się wyosobnić z tej klęski i połączę się w niej z ogółem. Jestem na to bezwzględnie zdecydowany i przygotowany.

— Postąpimy tak, jak ty.

— Nie mój Mikołaju, nasza potrójna ofiara dla zdjęcia hańby z nazwiska Twinków byłaby za wielka, wystarczy jedna. A wtedy możecie się nawet żenić.

— Postąpimy, jak każesz.

Uściskawszy się, wyszli do ogrodu i połączyli się z Kobryczem, który nadał rozmowie ton wesoły.

— Drzewo owocowe — mówił — to najgenjalniejszy fabrykant: dają mu najobrzydliwsze świństwa a ono je przerabia w swych owocach na najcudniejsze soki. Człowiek nigdy nie dojdzie do tego w swych wynalazkach, ażeby śmierdzącą mierzwę zamienić na wonną i słodką gruszkę lub brzoskwinę.

— W laboratorjach chemicznych — zauważył Mikołaj — już wyrabiają sztuczne pachnidła.

— Pachną one jednak tylko zakatarzonym z urodzenia kobietom, bo mężczyzna woli wachać asafetydę. Przynajmniej ja wolałbym wsadzić nos w mierz-

wę, niż między piersi najpiękniejszej kobiety opryskane perfumami chemicznymi.

— Czy pan miał dawniej taki gust? — wtrącił Mikołaj.

— Przysięgam, że zawsze — odparł Kobrycz — nawet wtedy, kiedy byłem cietrzewiem na tokowsku.

Jan był ciągle zamyślony i prawdopodobnie nie słyszał żartów Kobrycza. Do odjeżdżającego brata powiedział:

— Odwiedzajcie mnie częściej.

VI.

Wszystkie opisy męczarni za rządów cara Mikołaja I są tylko bladym odbiciem rzeczywistości. Zdało się, że ten tyran uważa ludzi za zwierzęta, przeznaczone do jego użytków i zadowolenia jego samowoli, że on nie przypuszcza w nich wrażliwości na katusze, że można ich nękać, chłostać, zabijać a największe względem nich okrucieństwo jest nie tylko karą słuszną, ale słabo przez nich odczuta. Nie wyobrażał sobie, ażeby piętnowanie rozpalonym żelazem, kilkonastoletnie więzienie w ciemnych, zimnych i wilgotnych lochach, dożywotnia praca w katordze, tysiące uderzeń prętami odrywającymi ciało mdlejących skazańców — ażeby to wszystko przewyższało ich winę i wytrzymałość. Jęki ofiar, zdolne wywołać pioruny Boga, gdyby on je słyszał, dla tego potwora władzy były wyciem drapieźnych zwierząt albo niekiedy przyjemnym śpiewem. To też sto milionów jego niewolników żyło w ciągłej trwodze, rozpacz i stłumionym buncie. Drżeli nawet ci, którzy byli posłusznymi narzędziami jego samowoli i gniewu. Jan wiedział, że ruch powstańczy, który zrodził się wkrótce po powstaniu listopadowym a teraz dojrzewał do wybuchu, pobudzi rozjątrzonego cara do zwiększonej mściwości, ale postanowił ją wyzwać do walki. W związku z tem postanowieniem pojechał do Łucji.

Przywitała go radosną wiadomością, że Grudek cofnął swoją dymisję i pozostaje nadal rządcą w Wielopolu.

— Nie ma pan pojęcia, jak wielki ciężar spadł mi z piersi i jak jestem szczęśliwą. Poczciwy pan Wojciech! Gdy wreszcie uległ mojej prośbie, ażeby mnie nie opuszczał, ten kolos, który, zdawało się, tak nie jest zdolny do czułości, jak spiżowy rycerz w pomniku, płakał jak dziecko. Nienawykła do wzruszeń jego twarz połamała się bólem i długo nie mogła się wyrównać, pomimo że starałem się uspokoić go najtroskliwiej, jak umiałam.

— I ja się cieszę z jego ustępstwa.

Kłamał. Chociaż bowiem nie chciał zająć miejsca Grudka i rad był, że Łucja nie straci doskonałego, uczciwego i przywiązanego do niej gospodarza, uczuł dotkliwe ukłucie w sercu, spostrzegłszy, że między nim a uwielbianą kobietą stanął nagle człowiek, który ją kochał, któremu ona kochać się pozwoliła i którego przy sobie mieć pragnęła. Rysująca się już wyraźnie w bliskiej przyszłości i szybko zbliżająca się ku niemu groźna katastrofa potęgowała mu ten smutek. Nie wiedział, jak się wydrzeć z jego szpon i wejść w rozmowę swobodniejszą.

— Widząc znakomite urodzaje w Wielopolu — rzekł wreszcie — można zrozumieć, jaką wartość ma dla pani Grudek.

— Niechże pan do tych urodzajów dołączy jego zanną i oddaną mi duszę.

— Naturalnie — powiedział Twinko słabym głosem i uczuł nowe ukłucie w sercu.

— A teraz proszę mi dać jakąś dobrą nowinę o sobie.

— Niestety, nie mam żadnej.

— Ale nie ma złej?

— Nie zastanawiam się nad tem, bo powoli zamykam rachunki mojego życia osobistego.

— Podobno. Wiem o tem więcej od ludzi, niż od pana, chociaż powinno być przeciwnie. Nie znając szczegółów, powiem tylko ogólnie: jeśli ktoś nie chce być samobójcą, nie powinien oddawać społeczeństwu całej sumy swego życia, wystarczy jakiś jej procent. Niech pan wypłaci mu wysoki, ale poco ofiarować wszystko? Trzeba przecie pozostawić dla siebie przynajmniej tyle szczęścia, ile jest koniecznem do istnienia.

— Czy tak może rozmawiać skazaniec, któremu odebrano wolę?

— (Panie Janie, przestań do mnie mówić zagadkami. Jeżeli jestem niegodna pańskiej szczerości, powiedz mi to wyraźnie, a ja wtedy przestanę pukać do pańskiego zamkniętego serca. Obecnie czynię to nie dla zadowolenia mojej ciekawości, ale z potrzeby przeniknięcia człowieka, o którym nie przestaję myśleć, gdy ode mnie odejdzie.)

Jan pochwycił rękę Łucji, ucałował, kilkakrotnie i głosem nasiąkłym łzami rzekł:

— Dziękuję pani za tę potrzebę i zarazem proszę, ażeby pani jej się pozbyła.

— Nowa zagadka! — wykrzyknęła Łucja. — Nie, kochany panie, ta gra dłużej między nami trwać nie może. Nie chcę być względem pana spowiednikiem w

konfesjonale, ale żądam tej szczerości, która jest konieczna w naszym stosunku, jeżeli go pan, podobnie jak ja, nie uważa tylko za życzliwą znajomość. To odgadywanie szarad mnie męczy, zniechęca a nawet obraża.

— Pani Łucjo — przyjdzie i to bardzo prędko czas, w którym tak otworzę przed tobą moją duszę, że w nią wejrzysz zupełnie. Wtedy wypowiadam się przed tobą nie z grzechu, którego nie mam, ale z nieszczęścia, które jeszcze kryć muszę. Jeśli zaś to cię męczy i obraża, nie pokażę ci się aż do chwili, w której będę mógł być zupełnie szczerym.

Powstał do odejścia. Zatrzymała go.

— Zostań pan. Zgadzam się.

Kobieta lubi być pielęgniarką i pocieszycielką. Trochę o ранego w bitwie posuwa tak daleko, że zwykle ją kończy miłością. Łucja była rada, że w tajemnicy Jana kryje się nie grzech, lecz nieszczęście. Nabrał on dla niej szczególnej wartości i uroku, bo mogła go pielęgnować, mogła być siłą wobec słabości. To też w dalszej rozmowie okazywała niezwykłą wesołość. Natomiast Jan był ciągle smutny.

Myśl uparta, połączona z bólem, nie łatwo daje się usunąć z rozmowy i wciska się w najobojętniejszą. Pomimo, że oboje postanowili nie dotykać punktu drażliwego w ich stosunku, ich myśl krążyła ciągle koło niego.

— Zdaje mi się — zwróciła uwagę Łucja, gdy jej wspomniał o swoim wstręcie do ludzi pogodzonych z niewolą — że pan oszczędziłby sobie wiele przykrości, ustępując przeciwnościom, których pokonać nie

można. Szkoda sił straconych na walkę z oporem niezłomnym.

— Miałaby pani zupełną słuszność, gdybym ja na to mógł się zdobyć. Niestety, nie mogę. Rządzi mną ta sama siła, która kieruje wolą samobójcy. Społeczeństwo wydaje mi się podobnem do bruku, ułożonego z rozmaitych kamieni, przesypanych piaskiem, w którym odciskają swój kształt, ale zetknięte z sobą bezpośrednio, naciskają się niezmiennie. Jestem jednym z nich. Wszystkie argumenty, jakie w tym przedmiocie podsuwa rachuba, dowodzące, że zgoda ze złem jest korzystniejsza, niż walka, nie przekonują mnie. Oprócz odrazy osobistej, pobudza mnie do tego jeszcze względ społeczny, narodowy i ogólnie ludzki. Według mnie praktycy błędnie obliczają, że kompromis jest koniecznością życia, że on zapewnia większy zysk, niż walka. Tak, zysk doraźny, ale w ostatecznym wyniku okazuje się strata. Kto swoje pragnienia i cele zamyka w obrębie jednego dnia, miesiąca, roku, czy wreszcie swego istnienia, niech zawiera przymierze z najgorszymi podłościami; ale kto wykracza rozumem lub uczuciem po za ten obręb, niech z nimi wojuje bez obawy i litości. Wierzę silnie, że wszystkie nasze klęski narodowe, opóźnienie w rozwoju, niski poziom kultury, niewola, ciągły zamęt społeczny, chroniczna słabość wobec nieprzyjaciół, że wszystko to pochodzi z nadmiaru kompromisów. Narodowi dają moc i szczęście tylko te siły, które przed oporem się nie zatrzymują i nie cofają, lecz ciągle i bezwzględnie posuwają się w swoim kierunku naprzód. Tylko w takim ruchu rodzą się

wielkie charaktery i wielkie narody. Wielkim zaś może być każdy, kto tego stale pragnie. Postacie wielkości są niezliczone i niewyczerpane.

Nikt nigdy nie słyszał z ust Jana Twinki tyle słów odrazu i tak wymownie powiedzianych. Jakieś uczucie wewnętrzne spowodowało ten wybuch. Łucja patrzyła na niego zdziwiona i zadowolona. Podrósł w jej oczach.

— Niech pan mówi dalej — zachęcała, gdy umilkł.

— Wystarczy tyle, ażeby pani mnie zrozumiała. Nie jestem ani kaznodzieją, ani profesorem. Zaledwie umiem obronić siebie przed ludźmi, których kocham lub szanuję, a którzy mi zarzucają, że jestem dziwakiem, że przez życie nie należy się przebijać, ale prześlizgiwać. Droga pani Łucjo, wierzę w twoją najszlachetniejszą życzliwość, gotów jestem zrobić dla ciebie wszystko, do czego jestem zdolny, tylko przerobić się z gruntu nie mogę, nie mogę, gdybym nawet był przekonany, że taki, jaki jestem, stracę zupełnie to, co w swoim sercu przeznaczyłaś dla mnie. Powtarzam — nie mogę.

— Ależ panie Janie, ja nie myślę cię przerabiać, może nawet, gdybyś był innym, nie żywiłabym dla ciebie tego uczucia, które mam obecnie; chcę jedynie zwrócić panu uwagę na coś, czego nie dostrzegasz, a co powinienbyś ominąć. Jest to potrzebne nietylko dla pana, ale i dla mnie.

Twinko patrzył w jej twarz i milczał. Zdawało się, że słyhać trzask łamania się jego myśli.

Łucja wytrzymawszy przez chwilę jego wzrok, zapytała:

— Czy pan mnie kocha?

— Nie — odrzekł drżącemi ustami.

— Omyliłam się.

— Gdybym panią kochał, nie miałbym siły uczynić tego, co uczynić muszę. Ale ja panią uwielbiam. Postawiłem cię tak wysoko, ażebym nie mógł dosięgnąć chęcią posiadania.

Roześmiała się.

— Porzuć pan tę sofistykę serca i nie łudź się, że zmianą nazwy uczucia zmienisz jego istotę. To jest miłość.

— Być może, ale nie ta, która pragnie.

Ujęła go za rękę.

— Bardzo proszę, postaw mnie pan niżej i pragnij.

On nabożnie pocałował ją w rękę i wymówił stłumionym głosem.

— Nie.

— Panie Janie — rzekła Łucja tonem urazy — rozwiąż mi sam zagadkę swego dziwnego postępowania, bo doprawdy już mnie zmęczyły daremne domysły.

— Błagam panią o troszeczkę cierpliwości. A jeżeli mnie uznasz teraz lub później za dziwaka, nie będę miał o to żadnej pretensji i tak serdecznie ucałuję twoje ręce, jak w tej chwili.

Dodał głosem, w którym drżał ból:

— Muszę odjechać.

Wybiegł, dosiadł przywiązanego u bramy konia i popędził galopem.

Łucja pozostała długo w dręczącym zamyśleniu. Jana kochała, ale w jej sercu płonął dla niego ten ogień miłości, który nie posiada obfitego materiału,

musi być ciągle podsycany i rozdmuchiwany, inaczej zamieni się na razżarzone przez pewien czas węgle i zgaśnie. Zaczął on już słabnąć, ale podnieciła go właściwa kobietom wrażliwość na cierpienie, z której bardzo często wykwita u nich miłość. W tej chwili Łucję zajmował Jan nie jako dzielny rycerz życia, ale jako jego męczennik. Co jest jego torturą? Dlaczego cofa się przed ostatecznym celem swej miłości?

— Ja to muszę zbadać — mówiła do siebie.

Zbliżając się do domu, Twinko zwolnił konia. Na drodze stał Dawid, który widocznie na niego czekał.

— Dzień dobry panu — rzekł, uchylając czapki. — Ja życzę, ażeby każdy był dla pana dobry. Ale bóg chce inaczej, on przyśle panu dnię złe.

— Zawiadomił cię?

— Czytam jego wolę.

— Ten bóg nazywa się Moszek Goldkopf, twój ojciec, a wolę swoją spisał u żandarmów.

Uderzył konia nogami i spiesznie odjechał.

Pomimo lekceważącej odpowiedzi wyczuł w słowach młodego żyda ostrzeżenie. Od strony Wilna słyszał coraz wyraźniej pomruki przysuwających się szakalów. Gdy zwierzył się Kobryczowi, ten rzekł:

— Żydek widocznie coś od ojca pochwyił i ostrzeżęga cię po swojemu. Stary Goldkopf spieszy się z oskarżeniem cię przed żandarmami, ażeby cię aresztowali zanim upłynie termin dzierżawy karczmy. Nie wątpię, że łajdak zmyślił twoje winy z żydowską zrzecznością i osmarował cię dostatecznie. Pojadę zaraz do Wilna i odkryję Płutowowi grę denuncjanta.

— Nie.

- Dlaczego?
- Nie wiemy, co Goldkopf doniósł.
- Przecież oprócz bytności emisariusza o niczem więcej bez kłamstwa donieść nie mógł.
- A może zwietrzył coś więcej.
- To się zaprzesz.
- Niczego się nie zaprę.
- Człowieku, co ty wyrabiasz? Żandarmowi chcesz się wywnętrzyć?
- Zupełnie szczerze.
- Daruj, ale to już graniczy z szaleństwem.

Bynajmniej. Naprzód kara polityczna jest mi potrzebna osobiście, powtóre odwaga w przyznawaniu się do patriotyzmu jest potrzebna społecznie. Nic nam nie pomagają wszystkie zapierania się i kłamstwa w śledztwach żandarmskich, nie ratują nas wcale od stryczka, więzień i katorgi, a obniżają naszą wartość moralną. Rząd nie postąpiłby z nami okrutniej, gdybyśmy mówili mu prawdę, bo okrutniej postąpić jużby nie mógł, a my naszą śmiałością zbudzilibyśmy w nim większy szacunek, a nawet obawę. Nie lęka się tchórzów, ale uląkłby się nieustraszonych bohaterów. Albo nie powinniśmy wdawać się w roboty spiskowe, albo podejmując je, powinniśmy być przygotowani do ujawnienia ich. Metoda kretów, które ryją pod ziemią, a wydobyte na wierzch tracą przytomność, nie może być wzorem dla niewolników, którzy pragną być wolni. Niech tyran wie, że z nim walczymy i o co walczymy.

— Czy ty nie wyobrażasz sobie skutku, gdybyśmy wszyscy poszli do żandarmów i powiedzieli im szczerze co myślimy, co czujemy i co zamierzamy?

— I ja do nich nie pójdę z takim oświadczeniem, ale niczego się nie zaprę i nie skłamię. Zresztą, radzę tylko sobie.

— Żal mi ciebie, kochany Janie, ogromnie żal. Zginiesz.

— Wolę katusze, wolę śmierć, niż życie w hańbie.

— A jakaż skaza jest na tobie, kryształe?

— Dziedziczna.

Umilkli. Kobrycz albo odgadł myśl Twinki, albo uznał bezskuteczność swych uwag i dalej nie prowadził sporu. Natomiast, jak zwykle po rozmowach smutnych, usiłował go rozweselić.

— Gdybym nie był w mojem kawalerstwie wytrwałym i mężnym, straciłbyś uciążliwego gościa. Pocziwa Zuzia, zgodziwszy się na wycieczkę do Wilna, wyjęła z szafki buteleczkę wina, nalała dwa kieliszki, a gdy ja odmówiłem picia, wypróżniła oba, potem wętknęła szyjkę butelki do ust i wyłykała resztę do ostatniej kropli. Wpadła w szal wesołości. „Wiem — mówiła śmiejąc się — że wina tak nabytego, jak to, honorowy szlachcic nie pije. On od Zuzi może przyjąć bez wstydu tylko jedną rzecz, a ona od niego wszystkie, nawet zarazę. Pomimo to proponuję: ożeń się ze mną. Wprawdzie jestem rozwódką po stu mężach, ale wierz mi, że taka nie jest gorsza od wdowy po jednym. Będę ci wierna, umiem pięknie haftować, będę zarabiała na nas oboje. No, co? Zgoda? Mam obstalować obrączki? Mówiła to wśród wybuchów śmiechu, a jednak czułem, że w nim drga struna poważnego zamiaru połączonego z nieśmiałą nadzieją.

Doznałem takiego wrażenia, jak gdyby mi plunęła

w duszę. — Jak nisko zepchnął mnie los — pomyślałem — jeżeli gamratka śmie mi proponować małżeństwo! Ale Zuzia jest z natury dziewczyną dobrą, narazie była mi potrzebna, nie chciałem jej obrażać, więc rzekłem wesoło: „Jeżeli którejkolwiek nocy nie będę mógł spać, to o twoim projekcie pomyślę“.

Do pokoju wszedł żandarm.

— Jan Twinko? — wygłosił na progu.

— Jestem — odezwał się Jan.

— Do pana powiestka.

Wręczył kartkę i wyszedł.

Powiestka zawiera wezwanie do stawienia się w kancelarji Płutowa na trzeci dzień. Chociaż nie wymieniono w niej powodu, był on wiadomy, a chociaż ją przewidywano, sprawiła silne wrażenie. Ten papierek żandarmski był zawsze zwiastunem, pierwszym zwiastunem tygrysiej łapy, z której wkrótce wysuwały się mordercze pazury.

— Płutow — przemówił Kobrycz — okazuje ci wielką względnosc. Procedura żandarmska rozpoczyna śledztwo od rewizji i aresztowania. Ciebie on nie tylko naprzód wzywa na badanie, ale daje ci dwa dni czasu do namysłu i usunięcia dowodów winy. Bierze cię za gardło mięką ręką.

— O, tak — rzekł Twinko. — Dzięki ojcu.

Przeszedł do sypialni, otworzył stojące w niej biurko, wyjął ze skrytki i przejrzał papiery, niektóre włożył do kieszeni i wyszedł z domu.

VII

Czerwiec zmieszał w powietrzu rozkoszne oddechy drzew, traw, zbóż i kwiatów. Ale Twinko nie odczuwał wesela natury, zdrętwiały w smutnem zamyśleniu, dążąc do plebanji. Była to mizerna chałupa drewniana, pokryta omszoną strzechą, z gankiem na czterech spróchniałych słupach i jedną zczerniałą ławką, z okienkami niemal przytykającemi do ziemi. Pod ścianami rosły nieopielone nagetki i balsaminy, a poza ścieżką w koło domu wszelkie chwasty. Niedaleko stała obórka, a naprzeciwko, za gościńcem, stary drewniany kościół z wieżyczką. Ze wszystkich budynków wyglądała nędza. Nie zrodziła się ona ani z ubóstwa parafjan, ani z niedbalstwa proboszcza, ale z jego filozofji religijnej. Wawrzyniec Moczar, syn polskiego chłopca i Litwinki, obecnie 75 letni starzec, twierdził, że Bóg nie potrzebuje na ziemi kosztownych pałaców, bo ma wspanialszy w niebie, że jego sługa nie powinien mieszkać w okazałej plebanji, jeżeli jego parafjanie mieszkają w ciemnych i wilgotnych lepiankach, że ich składki i ofiary powinny być używane na wspomaganie biednych. Żadnych też opłat za usługi religijne nie wymagał, a dobrowolne rozdzielał między najuboższych. Karmił się skromnie chlebem, mlekiem i warzywami, mięsa nigdy nie jadał i dlatego oprócz krowy, konia i oswojonego szpaka, którego latem wypusz-

czał na wolność, żadnego innego żywego stworzenia nie chował. Gospodarzyła mu rodzona siostra, o pięć lat młodsza, z wychowanicą, dziewczynką znaną przed 12 laty w kruchcie kościelnej. Proboszcz ze spowiedzi wiedział, czyją była córką, ale poprzestał tylko na łagodnem upomnieniu matki głównie za to, że podrzucając dziecko w zimie owinęła w łachman z perkalowej spódnicy. Na kazaniu zaś prosił parafjan, ażeby więcej nie podrzucano mu niemowląt, gdyż on niema dla nich pomieszczenia, a jego siostra jest już za stara, ażeby mogła je wychowywać)

Przed plebanją przechadzał się jej syn kleryk, który miał wkrótce otrzymać ostatnie święcenie, a do wuja przyjechał na wakacje. Z brewiarza odmawiał głośno modlitwy. Był to młodzieniec chudy i blady, z twarzą w rysach tak ostrą, że usta z nosem tworzyły jak gdyby dziób; oczy miał małe, ruchliwe, a palce u rąk długie i cienkie. Wobec proboszcza zachowywał się uniżenie, a gdy z nim rozmawiał, zwykle utyskiwał, że jest za mało kościołów, za mało świąt, za mało odpustów, nabożeństw, bractw religijnych i innych ująć dla pobożności. Świat wydawał mu się zupełnie przygotowanym albo do nowego potopu, albo do sądu ostatecznego.

Twinko, który go znał, ukłoniwszy się zdala, zapytał:

- Czy ksiądz proboszcz jest w domu?
- Jest — odrzekł kleryk. — Rozmawia z kobietą.
- Nie będę mu przeszkadzał. Zaczekam na ganku.
- Niech pan wejdzie, wuj niema żadnych tajemnic.

Zapewne tylko radzi babie w jakimś kłopotcie. Ach, Boże, z czem ludzie już do niego się nie zwracają! Gdyby przynajmniej go słuchali, żyli pobożnie i uczciwie! Ale gromadami idą w służbę szatana. On ich buntuje przeciwko Bogu, przeciwko władzy duchownej i świeckiej. Wkoło bezmiar zepsucia.

— Żandarmi mówią to samo — rzucił Twinko i wszedł do plebanji.

W pokoiku, w którym stało drewniane łóżko przykryte derą, klęcznik z krzyżem, sosnowy stół, dwa krzesła i ława pod ścianą, siedział staruszek mały, okrągły, z rumianą twarzą i dobrotliwym uśmiechem. Przed nim stała niemłoda wieśniaczka. Spostrzegłszy wchodzącego Twinkę, powstał żwawo.

— Cóż to ci mnie przypomniało? Już myślałem, że ci nie miły.

Twinko pocałował go w ramię.

— Ksiądz proboszcz nie umiałby być nie miłym, a ja nie umiałbym go nie miłować.

— Siadaj, przyjacielu. Tak, moja Piotrowo — rzekł zwracając się do kobiety — odłożymy to na później.

Ona błagała:

— Niech dobrodziej nie odkłada. Od trzech tygodni nie spadła kropla deszczu. Trawy przysychają, kartofle więdną. Jeszcze jeden tydzień takiej suszy, ani człowiek, ani bydlak nie będzie miał co jeść w zimie.

— Pan Bóg was nie opuści, a on sam najlepiej wie, kiedy rosić ziemię.

— Toć prawda dobrodzieju, ale jak dzieci dobrego ojca poproszą, to się zlituje.

— W tych dniach nie mógłbym nawet odprawić

mszy na taką intencję, bo mam wszystkie zajęte innymi. Przyjdźcie pojutrze — zobaczymy. A teraz spieszcie do roboty, bo pewnie na was w domu czeka.

Kobieta skłoniła się do kolan księdza i strapiona wyszła.

— Nie mogę ich oduczyć — mówił proboszcz — tego obstalowywania przeze mnie deszczu lub pogody. Uparcie wierzą, że gdy księdzu zapłacą, on mszę odprawi, to Pan Bóg zaraz im dogodzi. Tysiąc razy przekonają się, że to nie skutkuje i pomimo to powtarzają swoje żądanie. A przecież Pan Bóg wyraźnie zawiadamia przez barometry. Miałem dawniej kapucynka, który na pogodę wychodził z budki, a na deszcz się chował. Gdy mi się popsuł, kupiłem barometr mechaniczny. Według niego przyjmuję zamówienia na mszę, przez to unikam zarówno żalu do Boga, jak kompromitacji księdza. Teraz barometr wskazuje suszę, a ta kobieta żąda, ażeby sprowadzić deszcz. Nie biorę nic za te usługi, ale nawet bezpłatnie nie mogę oszukiwać. Z czemże przyszedłeś, kochany Jasiu? Bo ze zmęczonej miny wnoszę, że jakiś duży kłopot dźwigasz.

— Bardzo duży. Niewątpliwie ksiądz proboszcz wie, że nasza emigracja we Francji przygotowuje u nas powstanie. Dobre to, czy złe, mądre, czy głupie, skoro już zostało podjęte, musi być doprowadzone do końca. Odwiedziło mnie kilku emisariuszów, żądających pomocy lub objaśnień. Jeden z nich był tyle nieostrożny, że wprzód wstąpił do karczmy i wdał się w rozmowę z żydem, udając oficjalistę, który szuka u mnie pracy. Żyd zajrzał mu pod maskę, a ponieważ ma do mnie nienawiść za to, że go z karczmy usuwam,

doniósł żandarmom. Czy oni nie mieli skądinał de-
nuncjacji, nie wiem, dość że emisariusz już uwięziony,
a ja dostałem wezwanie do kancelarji Płutowa.

— Przecież to jeszcze nie dowód twego udziału
w sprzysiężeniu, że cię ktoś podejrzany o to odwiedził.

— Prawdopodobnie mają inne dowody.

— Nie możesz się ich wyprzeć?

— Nie chcę.

— Nie chcesz? Dlaczego?

— Dlatego, że postanowiłem w tej sprawie iść
otwartą drogą, chociażby ona doprowadziła mnie tam,
skąd niema powrotu.

— Tego nie rozumiem. Kłamstwo jest grzechem, ale
wobec żandarmów cnotą, a przynajmniej usprawiedli-
wioną potrzebą.

— Ale nie dla mnie. Los wydał wyrok na syna Hie-
ronima Twinki, a ja go muszę spełnić.

Ksiądz zastanowił się na chwilę, jakgdyby rozważał
słowa Jana, wreszcie rzekł:

— Mówi się, że dzieci pokutują za grzechy rodzi-
ców, ale to nie jest rozkaz boski.

— Słyszałem, że boski, ale mniejsza o to, jest to
nakaz mojego sumienia.

— Pozwól mi jako kapłanowi i przyjacielowi za-
brać głos w tej sprawie twojego sumienia. Żadnego
obowiązku ofiary ja tu nie widzę. Twój ojciec ma swój
rachunek z Bogiem, a ty swój. Przyznaj się, mój Ja-
siu, ogólnie, bez szczegółów, ciebie spotkało jakieś in-
ne nieszczęście, które cię popycha do rozpaczliwego
kroku.

— Żadne inne.

— Tyle musimy wycierpieć męczeństw przymusowych — powiedział ksiądz smutnie — i jeszcze dołączamy do nich dobrowolne. Tyle wylewamy najlepszej krwi na ofiary, że wkrótce zabraknie jej Polsce do utrzymania życia... Ha, trudno, rób, jak ci serce radzi. A czemże ja mam ci służyć?

— Przewidując, że będę aresztowany i prawdopodobnie wysłany na Syberję, chciałem zabezpieczyć to, co pozostawiam. Nie mogę zaś użyć w tym celu moich braci, bo oni niezawodnie będą również napastowani. Dlatego proszę księdza proboszcza o przyjęcie w depozyt pięciu tysięcy rubli...

— Tyle tylko ze spadku na ciebie przypadło?

— My bracia żadnego spadku nie wzięliśmy. Pieńiądze ze sprzedaży Krobin w naszych trzech częściach wpłaciliśmy do skarbu narodowego. Ta zaś suma pozostała z moich oszczędności. Przeznaczam je dla mojego syna. Jeśli uwięziony i pozbawiony praw nie będę mógł nią rozporządzać, proszę wydać z niej matce na kształcenie chłopca.

— Nie chcesz uprawnić go małżeństwem? Miałby twoje nazwisko?

— Właśnie chodzi mi o to, ażeby go nie miał i zachował lepsze swoje. Nadto proszę o przechowanie tej paczki papierów. Są to rozmaite dokumenty, które ksiądz proboszcz będzie łaskaw wręczyć moim braciom po zakończeniu mojej sprawy, jeśli będą wolni, lub gdyby byli aresztowani, przejrzeć i postąpić według swojego uznania.

— Wszystko to spełnię, ale, mój drogi, ja jestem już

stary, długo na ziemi popasać nie będę i muszę ją opuścić. Co wtedy zrobię z twoim depozytem?

— Jest w Leniszkach jeden człowiek, do którego mam zupełne zaufanie, Paweł Podlaski, ogrodnik. Jemu może ksiądz proboszcz wszystko powierzyć. Będzie to naturalnem i właściwem jeszcze i z tego względu, że pragnąłbym, ażeby on poślubił matkę mojego syna, do czego sam mi oświadczył gotowość.

— Bolesna ta nasza rozmowa. Zdaje mi się, że cię dysponuję na śmierć. A jednak mógłbyś tego nieszczęścia uniknąć. Pomyśl jeszcze... Dałbym ci karteczkę do kapucynów w Lublinie, oni by cię przechowali, dopóki żandarmi nie zapomną o tobie.

— Oni nie zapominają nigdy i znaleźliby mnie, gdybym nawet został kapucynem.

— Uwierz mi, że się mylisz. Wiem o dwóch, którzy byli długo ścigani, a dziś swobodni odprawiają mszę i głoszą śmiało kazania. Żandarm sam przez się nie jest groźny. Ciebie gubi nie Płutow, ale Goldkopf. Trzeba mu zniknąć i zatrzeć za sobą ślady.

— Czcigodny księżę proboszczu, radzisz rozumnie i zacnie, ale niema takiej rady, któraby dla dwóch ludzi w podobnych wypadkach byłaby równie dobrą. Dla mnie twoja nie jest dobrą, bo ja nie chcę uciekać i wolę być schwytny.

— Już ci powiedziałem, co myślę o marnowaniu krwi polskiej. Byliśmy zawsze we wszystkim rozrutnikami. Nie umiemy oszczędzać niczego, nawet życia. Jesteśmy albo bohaterami, albo nicponiami, charakterów średnich, na których głównie spoczywa budowa społeczna mamy bardzo mało. To zgubiło Pol-

skę. Nicponie ją osłabiali lub zaprzędawali, a bohaterowie nie mogli uratować. Zastanów się, mój synu. Polskę kochasz, skoro bierzesz czynny udział w staraniach o jej wyzwolenie i gotów jesteś ofiarować za nią życie i jednocześnie chcesz je zmarnować dobrowolnie. Czy nie usłużyłbyś jej lepiej, gdybyś je zachował na pracę patriotyczną i obywatelską? Jakiż ona użytek będzie miała z twojej ofiary?

— Będzie miała użytek przykładu, że nie należy być spadkobiercą hańby, chociaż tylko w odziedziczeniu splamionego nią nazwiska.

— Pozwól mi na jeszcze jedno pytanie. Czy prawdą jest, że kochasz panią Wyszogorską?

— Uwielbiam ją.

— Czy wtajemniczyłeś ją w twoje zamiary?

— Nie. Ale jutro będę u niej i wyznam je szczerze.

— Mam nadzieję, że ona cię od nich odwiedzie, jeśli cię miłuje. Byłem stałym jej przyjacielem i niejednokrotnym doradcą. Otóż jeżeli moje słowa posiadają dla niej jakąś wagę, prosź ją w moim imieniu, ażeby cię powstrzymała od zgubnego postanowienia. Ja jestem dla ciebie tylko życzliwym przyjacielem, a kochana kobieta jest dla mężczyzny bogiem, który może dokonać z nim cudu. Przyrzeknij mi, że to zrobisz.

— Zrobię.

Książd uściskał Twinkę i pożegnał.

Daremnie Kobrycz próbował wieczorem rozweselić Jana anegdotami i żartami. Rozmowa ześlizgiwała się ciągle na tory poważne. Noc była jasna, ciepła, rosista i wonna kwitnącem zbożem. Przechadzając się po ogrodzie, za żywoplotem, na polance oblanej srebrne-

mi światłami księżyca, spostrzegli stojącego nieruchomo człowieka, który z twarzą zwróconą ku górze, wpatrywał się w niebo. Zbliżyli się do niego. Był to Dawid, który ich nie zauważył.

— Czego tam szukasz? — zapytał Jan.

Żyd drgnął jak nagle przebudzony i odrzekł:

— Ja wszędzie szukam tylko Boga.

— A nam się zdawało — powiedział Kobrycz — że obliczasz, ile możnaby dostać za wszystkie gwiazdy, gdyby je oderwać od nieba, zebrać w koszu i sprzedać jako klejnoty.

— Ja pieniędzy nie dotykam — rzekł Dawid — bo to są trupy, one nie żyją. Bóg tworzy tylko to, co żyje.

— Tymi trupami — mówił Kobrycz — twój ojciec handluje, a ty żywym towarem. Tak?

— Nie umiem się śmiać, więc z panem śmiać się nie mogę. Zresztą to mi niepotrzebne. Niepotrzebne mi również, ażeby mnie ludzie rozumieli. Pragnę tylko, ażebym ja Boga zrozumiał i zobaczył go tworzącego. Ale jeżeli panom przeszkadzam, odejdę. Bóg jest i działa wszędzie.

— Nie przeszkadzasz nam — rzekł Kobrycz — możesz się gapić.

— Dziwny żydek — powiedział Twinko, gdy oddalili się ku domowi. — Czasem sprawia wrażenie półwarjata, a czasem filozofa.

— To pewna — dodał Kobrycz — że w głowie porządku nie ma.

— Wolę go jednak, niż jego ojca, który ma głowę bardzo uporządkowaną.

VIII

Twinko spać nie mógł. Napadły go i gryzły drapieżne myśli. Zdrzemnął się dopiero nad ranem. Miał w tej męce chwile, w których pod wpływem żalu za tem, co straci, miękła jego twarda wola, uczuwał rozrzewnienie i smutek, przenikający ostrym bólem jego duszę. Ale znowu hartował się myślą o czekającej go niedoli.

Należał on do tych nieustraszonych ludzi, których odwaga narasta wraz z powiększaniem się niebezpieczeństwa, którzy tem silniejszą mają chęć boju, im mniejszą nadzieję zwycięstwa. Znając z wielu dowodów mściwość rządu rosyjskiego, a zwłaszcza okrucieństwo cara względem swych zbuntowanych niewolników, najsrozsze zaś względem Polaków, nie wątpił, że w razie ujawnienia jego związku z emigracją i jej agentami spotka go najcięższa kara, która resztę życia zamieni mu w katuszę. Ale właśnie ta pewność, która słabsze charaktery przeraziłaby i skłoniła do szukania sposobu ocalenia się, jego pobudziła do otwartej walki. W takim nastroju jechał do Wielopola. Po drodze czułym wzrokiem ogarniał swoje niwy, z których bujne zboża zdawały się go pozdrawiać i żegnać pochylonemi kłosami. Znowu serce ścisnęło mu się żalem.

— Nie zobaczę was dojrzałych — rozmyślał. —

Może już nigdy nie zobaczą ani tych pól, ani tego nieba. Tylko słońce mnie nie opuści... Ono wszędzie świecić mi będzie, chociaż nie tak jasne, nie tak ciepłe i nie tak dobre.

Popędził pieszczonę konia, który go niósł zwawym kłusem. Wkrótce zarysował się przed nim dom wielopolski.

Przed gankiem stał powóz, do którego wsiadała Łucja, gdy nadjechał Twinko. Spostrzegłszy go, wyskoczyła i zawołała zdala:

— A ja właśnie miałam jechać do pana. Proszę...

Wbiegła do domu i zrzucając pospiesznie wierzchnie ubranie, mówiła wzruszona:

— Nie godzi się, panie Janie, tak postępować. To ja dopiero od swych ludzi mam się dowiadywać o grożącym panu niebezpieczeństwie?

— Niebezpieczeństwa jeszcze niema — odrzekł Twinko, całując ją w rękę — a z niepokojącą wiadomością przyjechałem zaraz do pani.

— Nie zaraz... jestem w poznaniu jej ostatnia. Tego upośledzenia nigdy się nie spodziewałam.

— Pani Łucjo, zapewniam...

— Nie chcę żadnych zapewnień — przerwała nerwowo — tylko szczere wyznanie prawdy bez niedomówień i domyslników. Proszę powiedzieć mi jasno i prosto, kim ja jestem dla pana, dlaczego postawiłeś między nami jakąś tajemniczą zaporę i co ci grozi?

— Dziś wytłumaczę się zupełnie z mojego postępowania i mam nadzieję, że je pani usprawiedliwi...

Zamilkł na chwilę, a ze skurczu jego twarzy

w wyraz cierpienia widać było, jaki ból sprawiała mu ta spowiedź.

— Jestem synem człowieka strasznie shańbionego. Mój ojciec był członkiem komisji śledczej i karzącej uczestników powstania listopadowego i osób podejrzanych o wrogie zamiary względem rządu. W tej nieczej roli okazał on zbrodniczą gorliwość i zwierzące okrucieństwo. On sam nie zliczyłby skazańców, którzy przez niego zapełnili cmentarze, więzienia, kopalnie, katorgi i osady syberyjskie. Z tych miejsc kary płynie stłumiony jęk męczenników, a z serc ich rodziców, żon, matek i dzieci sączą się łzy żalu i rozpacz. Wszystkie przekleństwa nieszczęśliwych kamienowały mego ojca, który nietylko wynajdywał winnych, ale ich tworzył fałszywymi oskarżeniami. Za pozorne i zwykłe skłamane ulgi dla uwięzionych brał od nich dary i pieniądze, za które nabył, a raczej ukradł straconemu obywatelowi wielki majątek ziemski. Córkę wydał za Rosjan i zubożył je narodowo. Synów nie mógł wynaturzyć. Przeciwnie, zbudził w nas pragnienie odkupienia jego zbrodni wszelką ofiarą dla ojczyzny i zniszczenia jego rodu, który ją tak skrzywdził. Majątek ziemski sprzedaliśmy i otrzymane pieniądze po wypłaceniu części spadku siostrze, które go się zrzec nie chciały, wręczyliśmy przez Sztokholm emigracji polskiej na koszt przygotowywanego ruchu powstańczego.

Zmęczony tą opowieścią, której wyrazy wydobywały się z jego ust jak wybuchy lawy z kipiącego wulkanu, przerwał ją na chwilę i mówił dalej.

— Postanowiliśmy zatracić shańbione nazwisko

Twinków, nie żeniąc się i nie mając prawych potomków. Moi bracia pozostaną bezzenni, ja mam syna z prostą, dobrą i przywiązaną do mnie wieśniaczką, którego w metryce chrztu uznałem za swoje dziecko, ale nie adoptowałem, ażeby nie napiętnować mojem sromotnem nazwiskiem.

Znowu przerwał i z bolesnym krzykiem zapytał:

— Czy pani teraz rozumie, dlaczego uwielbiając cię, nie chciałem poślubić, być twoim mężem i ojcem naszych dzieci?

Nie odpowiedziała natychmiast. Słowa Twinki były szeregim gwałtownych uderzeń, przed którymi rozprysły się jej myśli. Zanim zdołała je zebrać i złączyć, wyszeptwała tylko odruchowo.

— Niech pan ucieka.

— Przed czym? Przed niesławą, która mnie nie przestaje ścigać i przed karą żandarmską, za moje czyny, którą chcę ponieść za występki mojego ojca przeciwko narodowi?

W duszy Łucji zawrzały sprzeczne uczucia, które kłóciły się i szarpały wzajemnie. Było jej żal Jana, miała podziw dla mocy jego charakteru i cześć dla jego ofiary, a jednocześnie przerażała ją myśl zostania żoną człowieka z pohańbionem nazwiskiem. O komisjach śledczych i ich okrucieństwach wiedziała z opowiadań, może nawet słyszała o działaniu w nich staro Twinki, ale te wspomnienia zamarły w jej pamięci. Teraz nagle ożyły i otoczyły człowieka, którego kochała a który jako mąż przeniósłby na nią oblicze sromoty ojca. Nazywać się Twinkową — już samo to przejęło ją obrzydzeniem. Jan kolejno przybie-

rał w jej oczach postać bohatera w aureoli i splamionego syna w ohydzie ojca.

— Czy żandarmi wiedzą o pańskich stosunkach z emigracją?

— Coś już wiedzą od szpiegów, a jeszcze więcej dowiedzą się ode mnie.

— Od pana?

— Tak, niczego o sobie nie zataję.

— Szalony! Poco to?

— Poto, ażeby moje nazwisko znikło lub tak oczyściło się z plamy, że nawet pani Łucja Wyszogorska nie wzdragałaby się zostać żoną Twinki, gdyby jeszcze istniał.

Chodziła po pokoju blada, wzburzona, z ustami drgającymi od rosnącego wzruszenia. Chwilami powstrzymywane łkanie dławiło i rozdzierało jej głos.

— Musisz pan wyjechać natychmiast — mówiła pośpiesznie — ukryć się.

— To samo zalecał mi nasz proboszcz, któremu przyrzekłem, że jego radę zakomunikuję pani.

— Usłuchaj pan jej, nie upieraj się w postanowieniu samobójczem, nikomu niepotrzebnem. Czyż samem swoim życiem i czynami nie udowodnisz, że w ciebie nie przelał złego ducha ojciec?

— Moje postanowienie jest celowe i pożyteczne.

Chwyliła go za rękę, a łzy błysnęły w jej oczach.

— Błagam pana, błaga kobieta, która cię kocha, którą uwielbiasz i którą ten grom zdruzgotce.

— Uczucie pani dla mnie łądzi cię. Gdybym się ocalił i kiedyś stanął przed tobą z moją miłością, kogobyś widziała we mnie? Syna Hieronima Twinki. Nie

chcę od ciebie ani litości, ani sympatji zmieszanej z odrazą. Gdy przepadnę, zatrzymasz mnie w swoim sercu, gdybym pozostał, powoli usunęłabyś mnie z niego. Wezmę z sobą i zachowam w pamięci twój cudny obraz i wszystkie dowody przyjaźni, jakie mi dałaś do chwili, w której poznałaś hańbę mojego dziedzictwa i to musi mi wystarczyć na resztę życia. Już mi czas odjechać, bo pozostaje jeszcze coś do zrobienia, a jutro rano mam się stawić u żandarmów. Prawdopodobnie mi nie pozwolą cię zobaczyć. Więc cię żegnaj, jedyne moje bóstwo na ziemi, jedyne słońce mojego życia i jedyne źródło mojego szczęścia.

Objęła jego głowę rękami i wycisnęła na czole przeciągły pocałunek.

Wybiegł, wskoczył na konia, obejrzał się, pozdrowił stojącą na ganku smętnym uśmiechem i odjechał szybko, jak gdyby uciekał przed siłą, której obawiał się ulec.

Łucja upadła na fotel z twarzą zalaną łzami. Na serce jej rzuciły się i rozdzierały odmienne uczucia, które wzajemnie nie mogły się zwalczyć. Słyszała jego krzyk i nie wiedziała czem złagodzić jego ból. Chciała pospieszyć za Twinką i związać swój los z jego losem, a jednocześnie ten poryw omdlewał w strachu przed czynem, któremu sprzeciwiała się jej duma i któryby dalsze jej życie okrył cieniem. Uspokoili się nieco nadzieją, że jakiś przypadek zakończy tragedję szczęśliwym rozwiązaniem. Grunt jej charakteru był płodny, ale dotychczas życie hodowało w nim tylko myśli i uczucia wrosłe powierzchownie i dopiero miłość do Twinki zakorzeniła się głębiej, nie na tyle wszakże się

rozwinęła, ażeby mogła zniszczyć inne walczące z nią dawniejsze pragnienia. Z Janem wiązała Łucję jedna struna bardzo mocna, ze światem zwyczajów liczne, chociaż słabsze, ale w połączeniu stanowiące siłę.

Powróciwszy do domu, Twinko wydał służbie folwarcznej szereg rozporządzeń gospodarczych, rozmierzonych na kilka miesięcy. Następnie wyszedł z ogrodnikiem w pole. Zaznajomiwszy go z przypuszczalnym zbiorem i użytkowaniem zbóż, z planem dalszej uprawy, z wybrakowaniem i odnowieniem inwentarza, z dochodem ze sprzedaży, powiedział:

— Otrzymałem wezwanie do stawienia się jutro u żandarmów. Wiesz, co to znaczy i jak zwykle się kończy. Mają przeciwko mnie dowody popierania ruchu powstańczego, więc tu już nie wrócę. Tobie powierzam dalsze prowadzenie gospodarstwa w Leniskach aż do ukończenia dzierżawy i opiekę nad moim synem i jego matką. Pozostanie ona po mnie wdową. Kiedyś objawiłeś chęć poślubienia jej. Nie zobowiązuję i nie nakłaniam do tego, ale gdybyś tę chęć miał, a Sabina zgodziła się na nią, będę bardzo rad z waszego małżeństwa. Dziś jeszcze pojedziemy do Wilna, gdzie zeznam u rejenta akt ustąpienia ci dzierżawy. Nie umieszczę w nim tego warunku, ale ci radzę i proszę, ażebyś zatrzymał pana Kobrycza i działał w porozumieniu z nim i proboszczem, którego wta jemniczyłem w moje zamiary.

Podlaski słuchał tych poleceń w osłupieniu. Wreszcie rzucił się na szyję Twinki i łkając mówił:

— To się stać nie może... Pana nam nie wydrą...

— I stanie się i wydrą... To jest konieczność, której

nie złamiemy. Przyjmij ją mężnie, otrząśnij się z żalu i pamiętaj o tem, co powiedziałem. Jeżeli nie zginę, może kiedyś zobaczymy się, wtedy podziękuję ci, że spełniłeś moją wolę. Odwagi, kochany chłopcze. Ty jej mniej potrzebujesz, niż ja, a widzisz, że nie drzę.

Szli w milczeniu ku domowi, do którego zbliżał się Kobrycz.

— Przedstawiam ci — powiedział Twinko wesoło — mojego następcę, dla którego bądź takim przyjacielem, jakim byłeś dla mnie. Pawełku, każ zwozić siano, bo suche i przygotuj się do wyjazdu za godzinę.

Gdy Podlaski oddalił się, Twinko rzekł z uśmiechem.

— Umówiłem z tym pocziwcem mój testament, który dzisiaj jeszcze chcę spisać u rejenta. Pojedziemy do Wilna, tam zanocuję u braci. Zostań w Leniszkach, dopóki ci się podoba i pomagaj Podlaskiemu, o ile tego będzie potrzebował.

— Pojadę z tobą — odrzekł Kobrycz i pospieszył za Pawłem.

Jan sprowadził do swego pokoju Sabinę z synem.

— Moja Sabinko, wyjeżdżam dziś do Wilna, a stamtąd dalej. Być może, że nie powrócę prędko. Przez czas mojej nieobecności zastąpi mnie Podlaski. Chociaż wam będzie brak mnie, nie będzie wam brak życzliwej i starannej opieki. Paweł jest człowiekiem zaryzykowanym, nie nadużyje mojego zaufania i was nie skrzywdzi. Czysty dochód z Leniszek będzie składał dla Tadzia w banku. Uprosiłem również pana Kobrycza i proboszcza, aby czuwali nad wami i jestem pewien, że wam nie odmówią pomocy w żadnym wypadku.

— Czy pan pojedzie daleko?

— Nie wiem.

— A kiedy pan do nas powróci?

— Nie wiem.

Położyła głowę na jego kolanach, objęła mocno nogi i rzewnie płakała. Wstała i usunęła się na bok, gdy Jan zawołał stojącego na boku chłopczyka, który wpatrywał się w niego i w matkę zatrwożonym wzrokiem.

— Chodź no do mnie, mój synku.

— Pan weźmie Tadzia na bliczkę?

— Ja nie jestem pan, tylko twój ojciec. Nazywaj mnie tatusiem.

— Wszyscy mówią, że ja nie mam tatusia.

— Masz — mnie.

Chłopczyk przytulił się do Twinki.

— Pan tatuś weźmie Tadzia i zawiezie daleko.

— Dziś nie, mój synku. Tatuś musi jechać sam.

— A jutro?

— Jutro pan Paweł wsadzi cię na wóz i zawiezie w pole.

— Ale i tatuś będzie z nami. Tadzio usiądzie przy tatusiu, to nie spadnie.

Jan nie mógł wytrzymać napięcia nerwów. Omal nie ryknął z bólu głębokiej rany serca. Nic nie powiedział, tylko ucałował wielokrotnie dziecko i Sabinę, z błyszczącymi od łez oczami wybiegł na ganek, przed którym stali Kobrycz i Podlaski. Wsiadł z nimi na bryczkę i rozdartym głosem krzyknął na furmana:

— Jedź!

— Tatusiu, tatusiu, włóć płędko — wołał Tadzio, ale Twinko już nie miał siły się obejrzeć.

Dopóki wydawał polecenia, przygotowywał się do

podróży i zużywał swoją energję na ochronę osób i rzeczy od nadchodzącego nieszczęścia, miał złudzenie, że spełnia czyny, na których oprze się jego własne życie. Gdy zakończył tę pracę, uczuł wyczerpanie się energii, omdlenie wysiłku, bezwład. Pożegnanie z dzieckiem osłabiło go ostatecznie. Jadąc, nie mógł mówić, a jego towarzysze również milczeli pognębieni. Dopiero niedaleko Wilna odzyskał panowanie nad sobą, a nawet zaczął żartować.

— E, do licha! Jeszcze nie leżę w trumnie, a już zachowuję się jak nieboszczyk. I wy nie bądźcie karawaniarzami. Kobrycz, poluj na kaczki, jest ich dużo w bagienkach. Tobie strzelać żandarmi pozwolą.

IX

Po przyjeździe udali się naprzód do rejenta. Twinko zeznał akt ustąpienia dzierżawy Leniszek Podlaskiemu, który zaraz odjechał. Kobrycz poszedł do znajomych dla zebrania wiadomości w sprawie aresztowań, które, jak się dowiedział z rozmów w pociągu, objęły już wiele osób podejrzanych o stosunki z emigrantami. Bracia powitali Jana z serdecznym smutkiem.

— Jak będziesz się bronił? — zapytał go Mikołaj.

— Nijak — odrzekł stanowczo. — Zamilczę lub skłamię tylko to, co narażałoby was, albo kogokolwiek. Nazwisko Twinków musi być wyprane z ojcowskiego brudu.

Bracia zbyt dobrze go znali, ażeby nie rozumieli, że wszelkie próby złamania jego woli byłyby daremne, więc słuchali go bez oporu.

— Dzierżawę Leniszek przepisałem rejentalnie na Podlaskiego, dowody, które żandarmi mogliby wyzykskać, złożyłem u proboszcza, ażeby ich nie znaleźli u was przy prawdopodobnej rewizji. Z tymi dwoma możecie porozumiewać się szczerze. Nie zostawiam żadnych zobowiązań, któremiby was niepokojono. Wielką dla mnie ulgą będzie pewność, że Tadzio otrzyma staranne wychowanie i wykształcenie, o co

was proszę i na co Podlaski dostarczy środków z dzierżawy. Nie wiem, czy będę miał możliwość komunikowania się z wami, ale jestem przekonany, że w każdym wypadku odgadnięcie moje życzenia.

Więcej o tym przedmiocie nie mówiono. Tylko, gdy Kobrycz przyszedł wieczorem, szeptał długo z braćmi Jana, który wcześniej zamknął się w osobnym pokoju i trzymał światło do późnej godziny w nocy.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie rano udał się do kancelarji żandarmskiej. Płutow przyjął go jak uprzejmy gospodarz, który wita miłego gościa.

— Ale pan utonął w Leniszkach, jak nurek w morzu. Nawet Kobrycz, który ciągle pływa po wierzchu, nie umiał pana wyciągnąć. Chociaż może to naturalne: rozkoszna butelka w piwnicy jest, ładna dziewczyna w sypialni jest, wesoły towarzysz przy biesiadzie jest. Cóż lepszego znaleźć można poza domem? Siadaj, kochany panie. Pilnych robót w gospodarstwie jeszcze niema, więc pozwoliłem sobie poprosić pana o przyjazd do wyjaśnienia paru doniesień, które otrzymaliśmy w związku z pańską osobą.

Wyjął z teki i zaczął przerzucać papiery.

Twinko, który z własnego doświadczenia nie znał jeszcze żandarmskiej metody otwierania badań śledczych przyjacielskim wstępem, zdziwił się niepomieranie, gdy zamiast oczekiwanej tragedji miał odegrać skromną rolę w jakiejś krotchwili. Na ponury mozolnie i boleśnie obmyślany plan postępowania padł mu blask śmieszności.

— My doskonale wiemy—mówił Płutow, przeglądając papiery — że syn Hieronima Twinki nie mógł ni-

czem zawinić przeciwko rządowi, któremu zawdzięcza dobre imię, majątek i poważne stosunki społeczne. Ale jesteśmy obowiązani sprawdzić nawet potwarz, plotkę i fałszywą denuncjację.

Wzmianka o ojcu wzburzyła Jana i nastawiła go na ton pierwotny.

— O co chodzi, panie pułkowniku? — zapytał poważnie.

— Otrzymaliśmy doniesienie — rzekł Płutow, kładąc przed sobą wyjęty papier — że pan pozostaje w stosunkach z emigracją polską i że okazuje im usługi. Ja osobiście nie uwierzyłem temu tak dalece, że poleciłem dokonać wczoraj wieczorem rewizji w domu pańskim na wsi. Znalezione tylko jeden list zagadkowy, którego treść zechce pan nam wytłumaczyć. Ktoś z Paryża prosi pana o pomoc w wynalezieniu posady dla Cyprjana Wokalskiego. Ten Wokalski jest aresztowany i przekonany, że przybył tu pod cudzym nazwiskiem i za cudzym paszportem. Oto pismo, które panu wręczył.

Przez pośpiech w usuwaniu i niszczeniu dowodów kompromitujących Jan nie zauważył tego listu i pozostawił go w szufladzie biurka, gdzie go przy rewizji znaleziono.

— Tak — odrzekł — rzeczywiście ten list otrzymałem.

— Jak pan go objaśnia?

— Tego, który go pisał, znam, tego, który mi go oddał, nie znam i nie wiem, czy nazwisko Wokalskiego jest prawdziwe, czy pożyczone.

— O jaką posadę on się starał?

— O jakąkolwiek, która daje pracę płatną, chociażby ekonoma w Leniskach.

— Dlaczego jej nie szukał w Galicji, gdzie niby mieszka?

— Ja, panie pułkowniku, nie mam ani zwyczaju, ani potrzeby z taką ciekawością wypytywać ludzi o szczegóły ich położenia, jak to pan czyni w tej chwili ze mną.

— Czynię to nie z ciekawości, ale z obowiązku i proszę, ażeby pan mi pomógł go spełnić względem siebie i względem sprawy, do której pana wciągnięto lub do której wszedł pan dobrowolnie.

— Nikt do niczego mnie nie wciągnął.

— W takim razie proszę mi powiedzieć, jakie jest zdanie pańskie o agitacji, szerzonej w kraju przez agentów, wysyłanych z Paryża dla wywołania buntu ludności polskiej przeciwko rządowi?

— O agentach nie wiem, a co do buntu ludności sądzę, że on istnieje od czasu jej niewoli i nie potrzebuje wcale agitacji z zewnątrz. Dla podtrzymania go wystarczą okrucieństwa rządu.

— Czy te słowa pańskie są wynikiem nieostrożności w wyrażaniu się, czy też z istotnego przekonania?

— Z najistotniejszego przekonania.

— Radbym je poznać szczegółowo.

— Pan wie dokładniej ode mnie, jak surowych i niebezpiecznych środków używa rząd rosyjski dla pogrzebienia i zniszczenia ludności polskiej. Pozbawił ją wszelkich praw, oddał na pastwę samowoli urzędniczej i ciągle nęka nietylko tych, którzy coś przeciw niemu zawnili, nietylko tych, których o jakąś winę

nodejrzewa, ale wszystkich. Polskość jest w jego oczach przestępstwem, rozporządzenia administracji nieprzerwanym łańcuchem kar. Żyjemy w bezprawiu, nagodzonym jedynie przez łapownictwo. To nie jest praworządne państwo — to jest katownia. Czy naród przyzwyczajony do swobody może nie myśleć i nie starać się o odzyskanie jej? Wszyscy jesteśmy spiskowcami biernymi lub czynnymi, wszyscy nienawidzimy tyranji, wszyscy pragnęlibyśmy się z pod niej wyzwolić, a ta tylko między nami zachodzi różnica, że jedni bezwładnie cierpią, a drudzy usiłują skrócić tę mękę, jedni milczą lub kłamią, a drudzy otwarcie do buntu się przyznają. Do tych należą ja.

— Tak mówi syn Hieronima Twinki?

— Właśnie tak myśleć, mówić i działać powinien syn Hieronima Twinki.

— To zdumiewające!

— To naturalne, o ile pan przypuści, że synowie tego ojca są prawdziwymi i uczciwymi Polakami.

— Gdyby ojciec pański zmartwychwstał...

— Jeśli mój ojciec miał duszę, która stanęła przed jakimś pośmiertnym sądem, to nie chciałby zmartwychwstać.

— Czy pan obliczył skutki swego zeznania?

— Najdokładniej.

— Więc przewidział pan również, że będę zmuszony pana aresztować.

— Oczywiście.

— Spiszemy protokół. W mojej długiej praktyce — mówił, przygotowując papier i pióro — nie zdarzyło mi się badać oskarżonego, który nie chciałby się

bronić. Aż dziwno... Jeszcze parę pytań. Czy bracia byli wtajemniczeni w pańskie zamiary i działania?

— Moi bracia są wtajemniczeni tylko w sposoby wyrobienia dobrych nożów.

— A przyjaciel pański, Kobrycz?

— Pan Kobrycz nie jest moim przyjacielem, tylko gościem. Takim samym gościem jest on również u wszystkich obywateli okolicznych od czasu, gdy mu rząd wydarł majątek.

— Jakto wydarł? Skonfiskował.

— Rabuś inaczej nazywa swoją grabież, niż obrabowany i świadkowie jego krzywdy.

— Czy pańska narzeczona, Łucja Wyszogorska знаła pańskie przekonania polityczne i zgodziła się na szczerość zeznań, które pan tu złożył?

— Pani Wyszogorska nie była nigdy moją narzeczoną, a odwiedzałem ją jedynie dla udzielenia rad gospodarczych.

— Czy pan może mi coś powiedzieć o Dawidzie Goldkopfie?

— Tyle tylko, że jest synem mojego karczmarza, a waszego szpiega. Jego ojciec powinien dostarczyć najpewniejszych wiadomości.

— Podobno głosi jakąś nową wiarę bez Boga.

— Coś bredzi, ale mnie to nie interesowało.

— A teraz ostatnie pytanie, które nie należy do sprawy, więc może pan je pozostawić bez odpowiedzi. Co pana skłoniło do złamania sobie życia karą, która będzie surową?

— Odpowiedź już panu dałem. Jestem Polakiem i synem Hieronima Twinki

— Ja jej nie rozumiem.

— Gdyby pan rozumiał, nie byłby pan żandarmem rosyjskim.

— Spiszę protokół, który panu odczytam.

Żandarmi rosyjscy nie byli to ludzie nikczemni, jak nie jest nikczemną zabójcza choroba lub topór. Działali oni prawidłowo w swem przeznaczeniu bez świadomości jego zła. Ich sumieniem był rozkaz rządu, który im kazał wyławiać jego wrogów. Niekiedy z pod tego sumienia urzędowego wydobywało się czysto ludzkie, które skłaniało ich, jeśli nie do oszczędzania ofiar, to przynajmniej do współczucia dla ich cierpień. Takie podwójne sumienie miał Płutow, który nie byłby człowiekiem złym, gdyby nie był żandarmem.

Podczas gdy on pisał protokół, Twinko rozważał swoje zeznania. Był z nich zadowolony: powiedział prawdę, zasłoniętą kłamstwem tylko o tyle, o ile dotyczyła innych osób. Uświadamiał sobie jasno, że sam otworzył drzwi swego więzienia, że nadal żyć będzie odcięty od świata i oderwany od istot, które nosił w swem sercu, pozbawiony woli i wszystkich praw ludzkich, uznany za rzecz martwą. Jednakże ten straszny widok bliskiej przyszłości nie osłabił w nim mocy postanowienia, przeciwnie, podniecał pragnienie bohaterstwa, które on uważał za konieczne, za potrzebę starcia piętna rodzinnej hańby i dania pogębionemu społeczeństwu patriotycznego przykładu.]

Płutow odczytał mu protokół, napisany dość ściśle i niezawierający zwykłych w śledztwie żandarm-

skiem dodatków, powiększających winę. Twinko dał tylko parę drobnych uzupełnień.

— Teraz muszę spełnić mój przykry obowiązek — rzekł Płutow — i aresztować pana. Nie ma pan jakich życzeń?

— Tymczasem żadnych — odrzekł Twinko.

Wszedł żandarm, który z pismem Płutowa odprowadził go do więzienia.

Była to cela cztery kroki długa, a dwa szeroka, z małym oknem okratowanym u sufitu, z podłogą ceglana i ścianami pomalowanymi farbą czarną. Stał w niej tylko tapczan, na którym leżał brudny sienik, brudna poduszka, wypchana sianem i brudna deira. Powietrze było w niej stęchłe, grzybne. Gdy zaryglowano za nim drzwi z wprawioną w nich szybką, przez którą zaglądał z korytarza dyżurny żandarm, Twinko położył się na tapczanie i wywołał w pamięci wypadki i wrażenia dni ostatnich. Przesuwały się przed jego myślą osoby, stosunki i rzeczy bezładnie, niekiedy w gwałtownym wirze. Daremnie starał się wspomnienia uporządkować, ich ruch zwolnić. Przeskakiwały z jednego przedmiotu na drugi, przez chwilę kręciły się około jakiegoś punktu i znowu rozbiegały się w rozmaite strony. Powoli wszakże z tego zamętu wydobywały się i dłużej zatrzymywały jego uwagę dwie istoty: Łucja i synek. Myślenie o nich rozczulało go do łez. Wtedy przeszywały go ostre bóle, jak gdyby wyrzuty, że ich opuścił, że dobrowolnie stracił najważniejsze pierwiastki szczęścia, które wystarczyłyby mu na całe życie. Ale po tych rozrzeniach nagle wyteżeniem odzyskiwał siłę woli

i przekonanie, że wszystko, co zrobił, było koniecznem i dobrem. W południe przyniesiono mu obiad: cuchnącą, rozrzedzoną kapustę w niewymytej misce i kawałek czarnego chleba. Strawy tej nie dotknął.

Po południu wszedł do celi Płutow.

— Pan nie jadł obiadu.

— Nie jadłyby go nawet moje świnie, które karmiono lepiej. Ale może się przyzwyczaję.

— Musi pan zdobyć się na cierpliwość. Gdy śledztwo zostanie ukończone, będzie pan mógł otrzymywać obiady z zewnątrz więzienia. Tymczasem polecę, ażeby dawano panu jedzenie z kuchni żandarmskiej. Regulamin więcej zrobić dla pana mi nie pozwala.

— Nie wymagam.

Wieczorem przyniesiono kubek herbaty z takim samym chlebem.

Upłynęło kilka dni bardzo ciężkich, bo beczynnych wypełnionych męczącemi rozmyślaniami wśród martwej pustki. Żołnierz, który obsługiwał cele, zachowywał się jak głuchoniemy i ociemniały: nie odzywał się wcale i jak gdyby więźnia nie widział.

Nareszcie pewnej nocy żandarm zbudził Twinkę z twardego snu i zaprowadził długim korytarzem do pokoju, w którym przy stole siedziała komisja, złożona z pięciu wojskowych i cywilnych.

Badania nocne były zwyczajem procedury żandarmskiej, obliczonym na rozespanie i znużenie więźniów, którzy w tym stanie łatwiej mogli się zdradzić w swych zeznaniach.

Przewodniczący, zapewniwszy więźnia, że tylko bezwzględna szczerością może zmniejszyć swoją od-

powiedzialność i złagodzić surowość kary, a nawet jej uniknąć, zadał mu szereg pytań, dotyczących bądź osób, bądź działań spiskowych. Twinko na wszystkie nie odpowiedział wcale, a gdy przewodniczący na wstępie łagodny i grzeczny, zaczął go gromić, przerwał mu:

— Niech pan nie krzyczy i nie straszy mnie, bo ja się nie zleknię, a co miałem powiedzieć, to powiedziałem przy pierwszym badaniu i nic więcej nie dodam.

Gdy dalsze łajania i groźby nie skutkowały, kazano go odprowadzić do celi.

Podobne sceny nocne powtarzały się jeszcze kilkakrotnie, z tą tylko różnicą, że Twinko nie przemówił ani słowa. Wlokły mu się leniwie nietylko dnie, ale minuty i sekundy. Oprócz smutku, głodu i niewygód dokuczała beczynność. Siedzieć lub leżeć na tapczanie przez sześć miesięcy trwania śledztwa w sprawie działań spiskowych, do której wciągnięto kilkadziesiąt osób, przeważnie niewinnych, dusić się w nudzie, znosić nieprzerwane kłótnie z tych przeczuc i żałosne skargi wspomnień — była to męka powolnego konania. Twinko wdzięczny był wróblom, które czasem zaświergotały przy jego oknie, wdzięczny pająkom, które snuły swe siatki w kątach celi, wdzięczny szczurom, wygryzającym dziury w podłodze. Każda różnorodność, każdy hałas był lepszy od jednostajności i ciszy. Odzywały się niekiedy pukania w ścianę więźniów sąsiednich, ale Jan nie odpowiadał na nie, podejrzewając zasadzkę. W całej dobie miał tylko kwadrans powrotu do życia, kiedy go wyprowadzano na przechadzkę po małym placu mię-

dzy murami więzienia i kiedy mógł popatrzeć na niebo, słońce lub przelatujące ptaki. Spacerory te odbywał samotnie pod dozorem żandarma. Raz wszakże, powracając do celi, dostrzegł w korytarzu prowadzonego Dawida Goldkopfa. Rozwiązywanie zagadki, za co aresztowano młodego żyda, wystarczyło mu na kilka dni rozmyślań i stanowiło przerwę w męczącej jednostajności, w której pożądał jakiegokolwiek zmiany, chociażby nawet ciężkiej, karzącej roboty.

Pewnego dnia, badając przysłaną mu świeżą bieliznę, znalazł w kołnierzu koszuli maleńką kartkę ze słowami: „Łucja, Kobrycz i bracia uwolnieni”. A więc ich więziono? Ale ocaleni. Ucieszył się wielce tą wiadomością, która była jedynym jasnym promykiem, wpadającym przez szczelinę w ciemnię jego więzienia.

Nareszcie po półrocznem więzieniu zbudzono Twinkę o świcie i zaprowadzono przed komisję, która go badała. Przewodniczący powstał i przemówił:

— Najjaśniejszy pan rozpoznawszy dowody winy i wnioski komisji, raczył najmiłościwiej wydać następujący wyrok.

Odczytał:

„Wymierzając sprawiedliwą karę za zbrodnie udziału w spisku przeciw monarsze i jego rządowi, a jednocześnie łagodząc jej surowość pamięcią wiernej i gorliwej służbie Hieronima Twinki, rozkazujemy jego wyrodnego syna, Jana, wysłać do ciężkich robót w Syberji na lat 10, z braci Leona i Mikołaja, którzy nie donieśli władzy o znanych im niewątpliwie jego przekonaniach i czynnościach, ściągnąć kontry-

bucję w sumie 20,000 rubli, jego zaufaną przyjaciółkę, Łucję Wyszogorską, zamknąć na rok w klasztorze, jego przyjaciela, Marcina Kobrycza, oddać pod nadzór policji z zakazem opuszczania Wilna przez rok. Rozkaz ten ma być wykonany natychmiast".

Odprawiono Twinkę do kuźni, gdzie kowal zaczął okuwać mu ręce i nogi w kajdany. Nadszedł Płutow, który pilnie przyglądał się tej operacji i kilkakrotnie upominał kowala, ażeby obrączki nożne nie były zbyt obcisłe. Następnie ubrano więźnia w szarą kapotę, ogolono do połowy głowę i wyprowadzono na podwórze, gdzie stała gromada skazańców, przeważnie przestępców kryminalnych. Zbliżywszy się, Twinko usłyszał rzucone z niej słowa:

— Dzień dobry panu, Bóg i na Syberji tworzy.

Była już jesień, dzień pogodny, ale mroźny. Gromada wyruszyła pod strażą kilku żołnierzy i kolumną oficera w podróż pieszą, która miała ciągnąć się przez rok.

Nikt dotąd nie zdołał wiernie opowiedzieć tego straszego pochodu pokaleczonych i odmrożonych nóg, wygłodzonych i katowanych ciał, umierających w rozpacz dusz, nikt nie zdołał odczuć ogromu ich męki. Pozostała ona na zawsze tajemnicą tych, którzy ją wycierpieli.

CZĘŚĆ II

I

Twinko doszedł do Nerczyńska w zupełnem ołępieniu umysłowem. Znosząc wielkie trudy pochodu w ciężkich kajdanach z ranami na nogach i rękach skutkiem tarcia żelaza i gryzienia mrozu, w głodzie i robactwie stacyj odpoczynkowych, nie mógł o niczem innem myśleć, tylko o ratowaniu życia i złagodzeniu jego męki. Gdy nieprzerwanie trzeba było podkładać cośkolwiek miękiego pod wrzynające się w ciało okowy, opłacać się oficerom i żołnierzom konwoju, ażeby się nie znęcali i pozwolili na drobne ulgi, uśmierzać głód lub wstręt do obrzydliwego, cuchnącego jadła, walczyć w barakach noclegowych o miejsce spoczynku, zgarniać z siebie roje wszy — brakło czasu, i miejsca w duszy na oblewanie łzami wspomnień, na rozpamiętywanie tego, co minęło i tego, co nadejdzie. Prawie wszystkie władze umysłowe zamilkły, odzywał się tylko instynkt samozachowawczy. Z udręczeniami fizycznymi związały się moralne. Oprócz Twinki, Dawida Goldkopfa i kilku sekciarzów, stuosobowa partja aresztantów składała się z samych przestępców kryminalnych—morderców, złodziejów, fałszerzów pieniędzy, podpalaczów i tak zwanych włóczęgów, „niepamiętających” swego nazwiska i pochodzenia, właściwie ukrywających te wiadomości dla ukrycia wraz z niemi popełnionych występków.

Ludność rosyjska częścią z miłosierdzia dla „nie-
szczęśliwych“, a częścią z obawy przed zemstą zbie-
gów tułających się, rabujących i zabijających, obda-
rzała skazańców po drodze w miastach hojną jał-
mużną, a we wsiach pożywieniem, kładzionem na
umyślnych deskach przed domami. Te jednak do-
browolne i przygodne ofiary pomnażali oni żebraniną,
wykonywaną za zgodą i pod dozorem żołnierzy
i oficerów, z którymi dzielili się jej plonem. Chodziło
w niej głównie o zebranie pieniędzy. Wartość pienią-
dza jako dawcy szczęścia, swobody, dostatku, spoko-
ju, jako wszechmocnego dobroczyńcy, nigdzie nie wy-
stępuje z taką wyrazistością i siłą, jak w życiu ka-
torzników. On karmi i chroni od głodu i chorób, roz-
braja okrucieństwo, otwiera drzwi więzień, ułatwia
ucieczkę. Twinko wychodząc na miejsce kary w Sy-
berji, nie znał i nie przewidział tej potęgi. To też cho-
ciaż bracia mogli mu dać do zaszcucia w kołnierz ko-
szuli lub wetknięcia w dziurę obcasa sumę wystarcza-
jącą na potrzeby podróży i pobytu w katordze, nie
wziął z sobą ani grosza.

Niechęć do żebraniny nie pozwoliła mu z niej
korzystać, więc pozbawiony tego najważniejsze-
go środka ratunku cierpiał więcej, niż jego towa-
sze. Wprawdzie okazywali oni gotowość udzielenia
mu drobnych cząstek ze swej kwesty, ale on od-
mawiał przyjęcia tych datków z rąk ludzi pokalanych
zbrodniami i odrażających zwierzęcem brutalstwem.
Skazańcy z natury dzicy, podrażnieni srogością kon-
woju, rozkiełznani beznadziejną rozpaczą, wyrzucili
ze swej mowy przyzwoite wyrazy, z obcowania przy-

zwoite stosunki, bluzgali strugami słów ohydnych i dopuszczali się czynów bezwstydných, jak gdyby chcieli odciąć się niemi zupełnie od świata, który ich potępił i wygnał, stworzyć sobie nowy, odpowiadający ich nie-ludzkemu położeniu. Twinko nie mógł dostroić się do tej miazmatycznej, duszącej atmosfery, dlatego musiał znosić większą, podwójną katuszę, której jego towarzysze albo wcale nie doznawali, albo w małej mierze.

Po rocznym marszu partja stanęła w ogrodzonej ostrokołem katordze, przed długim, ponurym drewnianym, okratowanym w oknach budynkiem więziennym, który stopniałe śniegi odchodzącej zimy otoczyły grząskiem błotem. Do ustawionych szeregiem aresztantów wyszedł gruby, pijany z sinemi plamami na twarzy komendant w towarzystwie kozaka z nahajką w ręku. Był to słynny z okrucieństw, kradzieży funduszów rządowych i rozmaitych rozbestwień Nieplujew, który miał być wkrótce usunięty z tego stanowiska i resztę czasu swej władzy wypełniał zwiększoną dzikością. Robiąc przeglądy skazańców, miał zwyczaj ilością podniesionych w groźbie palców dawać znak kozakowi, ile razy powinien uderzyć zasługującego na doraźne skarcenie. Przeszedłszy wzdłuż rzędu, zatrzymał się przy Twince, który zapomniał odkryć głowy.

— A ty kto taki? — ryknął, wskazując na niego palcem.

Kozak zrozumiał to pytanie i uderzeniem knuta stracił Twince czapkę, wybiwszy mu na twarzy pręgę, z której trysnęła krew.

— Polak — odpowiedział spokojnie Twinko.

— Ty nie Polak — wrzeszczał zapieniony Nieplujew — ty nie człowiek, nawet nie koń rządowy, który zostaje pod opieką władzy, ty zwierzę, gorzej, ty rzecz martwa, z którą ja mogę zrobić co mi się podoba. Pamiętaj! I wy wszyscy pamiętajcie, że nie jesteście ludźmi, nie jesteście poddanymi najjaśniejszego pana, który wami pogardza, który wam odebrał wszelkie prawa, odmówił swojej łaski i oddał mnie do swobodnego rozporządzenia. Stanowicie moją nieograniczoną własność. Jeżeli o tem kiedykolwiek zapomnicie, to ja wam przypomnę pałkami, przykuciem do ściany ciemnego więzienia lub szubienicę. Powtarzajcie to sobie codziennie jako pacierz. A teraz won!

Aresztanci odeszli w milczeniu do baraku, a komendant kazał się wozić wyteżonym galopem w „przelotce” wokoło katorgi, dopóki konie nie padły. Była to jego ulubiona przyjemność, podczas której wył i lżył furmana za to, że wolno jedzie.

W baraku było ciemno, zimno i brudno. Podłoga, ściany, tapczany pokryte kurzem i błotem jak chropowatą korą. Robactwo małe i duże uwijało się wszędzie śmiało i wesoło. Twinko wszedł ostatni, otrzymał też pozornie najgorsze miejsce przy drzwiach odstających, przez które przepływało szparą chłodne powietrze. Ale zaraz pierwszej nocy spostrzegł, że w zaduchu wyziewów ciał od roku niemytych i niekapanych było ono zbawczem orzeźwieniem.

Przeznaczono go do kopalni srebra. Było to niskie podziemie bezładnie rozgałęzione krzywymi koryta-

rzami, w którym kilkudziesięciu skazańców z latarkami na piersiach odbijało bryły siwej rudy, wywożonej na zewnątrz taczkami, do których przykuci byli wielokrotni mordercy i buntownicy katorgi. Twinko, chociaż przejściem tysięcy wiorst, głodem i poniewierką osłabiony, z natury jednak bardzo silny, jął się ciężkiej pracy skwapliwie, bo ona odpędzała mu natrętne myśli, które pomimo znieczulenia sprawiały dokuczliwy ból. Wieczorem jednak legł na tapczanie zmęczony i odurzony gazami kopalni. Zasnąć nie mógł. Guy strażnicy zamknęli na noc izbę więzienną, na pewien czas zapanowała cisza w ciemności.

Powoli jednak, zaszemrały szepty i ostrożnie poruszyły się ciała, które zasłoniły okna kapotami, wreszcie zapalono świeczkę a w mdłym jej świetle ukazała się grupa aresztantów, otaczająca kręgiem jeden z tapczanów, na którym rozdano karty miejscowego wyrobu. Ł początku gra szła spokojnie, potem coraz żywiej, następnie wybuchła gwałtowna kłótnia. Niektórzy przegrali nietylko wszystkie posiadane pieniądze, ale odzież a nawet kilkodniowe jadło i musieli nadal pracować bez ciepłej odzieży i w głodzie. Nic nie pomogły oskarżenia o szachrajstwo i prośby o bodaj częściowy zwrot straconych kopiejek i rzeczy, wygrywający byli nieubłagani a galerja widzów stanęła po ich stronie. Ulubionym rodzajem zabawy były również wyścigi wszy, puszcanych w koło zakreślone na chustce i dające nagrodę tej, która pierwsza przekroczyła obręb. Co noc powtarzały się te same sceny, a Twinko tak przywykł do nich, że przestały odbierać mu sen. Usiłowano wciąż

gnąć go do gry, ale gdy zapewnił, że ukrytych pieniędzy wcale nie posiada, pozostawiono go w spokoju.

Niezupełnie. Przedewszystkiem pomimo ostrych zakazów i dozorów aresztanci tajemnymi drogami nabywali wódkę, którą spijali się w nocy. Nie ma tak surowej i okrutnej siły, któraby ludzi prostych, zrozpaczonych i pozbawionych nadziei ratunku, zdołała powstrzymać od pijaństwa. Wódka bowiem jest jedyną pocieszycielką, która odgania im smutki, zatracą pamięć o niedoli, znieczula na cierpienia, stwarza świat inny, jasny i radosny. Jest to chloroform, usuwający straszne bóle w operacjach, dokonywanych przez życie na nieszczęśliwych. Ale wraz z tem dobrodziejstwem wznieca w nich szaf i zdejmuje wszystkie powściągi z dzikich instynktów. Można łatwo wyobrazić sobie, ile zwierzęcości, brutalstwa i wszelakiej ohydy wydobywało się z tych istot w furji pijackiej.

Katorgia składała się przeważnie z ludzi moralnie zwyrodniałych, którzy nie tylko nie wstydzieli się i nie żałowali popełnionych zbrodni, ale byli z nich dumni i gotowi przy sposobności popełniać je dalej. Niektórzy lubowali się w opowiadaniu swych okrutnych czynów bez najmniejszego współczucia dla swych ofiar. Jeden chwalił się, że przywiązał nogi ograbionego w drodze kupca do wierzchołków dwu nagiętych drzew, które puszczone rozdarły go wzdłuż. Drugi — że rozpruł kobietę, ażeby zobaczyć, jak płód w niej leży. Inny — że nasypał komuś w ucho prochu, przybił mocno i zapalił i nabój rozsadził czaszkę. Najbogatszą kronikę tego rodzaju przechwałek mieli „włóczęgi”, któ-

rzy co wiosnę uciekali z katorgi i tułali się po lasach, a chociaż schwytani dostawali setki i tysiące patek, to ich nie odstraszało od powtórzenia ucieczki na głos nowej „kukułki”. Oczywiście Twinko czuł do nich odrazę, która go odciągała, trzymała w oddaleniu, i pozwalała jedynie na zetknięcia konieczne. Aresztanci z początku lekceważyli go, wyśmiewali, obrażali, ale ta odrobina szlachetności, która często kryje się w duszach najbardziej znikczemniałych, wytworzyła w nich powoli dla niego bezwiedną sympatję i szacunek.

Po wymarciu, osiedleniu się i rozproszeniu rosyjskich „dekabrystów”, wysłanych przed dwudziestu laty do ciężkich robót za spisek przeciw carowi Mikołajowi, pozostali w nich jako przestępcy polityczni tylko Polacy, tak że ich nazwa narodowa była jednocześnie nazwą katorgi skazańców. Aresztanci kryminalni mieli o nich z tradycji pojęcie bardzo niedokładne, zamaczone legendą, ale otaczające ich aureolą niezасłużonego męczeństwa, dobroci i zacności. Ta aureola zawisła później nad głową Twinki. Był on jednak ciągle przedmiotem zdziwienia: dlaczego szlachcic, zamożny obywatel, który mógł żyć w dostatku zbuntował się przeciw rządowi i dobrowolnie ściągnął na siebie srogą karę?

W chwili przybycia Twinki znajdowali się w katordze Nerczyńskiej tylko zbrodniarze polscy; skazańcy polityczni już wycierpieli swoją karę więzienną i żyli po osiedleniach. Pozostały po nich w tym miejscu tylko wspomnienia i legendy, które opromieniały ich postacie światłem chwały męczeńskiej. Twince zda-

wało się, że ich duchy wyszły na jego spotkanie z tego grobu dla żywych, że go pozdrowiły, pobłogosławiły i natchnęły mocą wytrwania. A był tych duchów orszak wielki, piękny i dostojny. Nie licząc nawet okrutnych kar za przewinienie, jak przykucie łańcuchem do ściany w samotnej komorze o chlebie i wodzie, więzienie w ciemnym lochu, chłosta, doprowadzająca do ciężkich okaleczeń, chorób i śmierci i inne katusze, normalne warunki życia i pracy w katordze podtrzymywały w aresztantach pragnienie wydobywania się z tego piekła.

Gdy jednakże inni tęsknili tylko do swobody, Polacy tęsknili do ojczyzny. Ta ich tęsknota, powiększająca cierpienia, była uczuciem dręczącym nawet tych, którzy unurzali swoje dusze w błocie rozmaitych zdrożności, tak że Polacy, którzy już przestali być uczciwymi ludźmi, pozostawali ciągle Polakami. Siła tego pierwiastku w ich charakterze była zdumiewająca i dla skazańców rosyjskich całkiem niezrozumiała. Skutkiem tej odmienności tworzyli oni w masie więziennej grupę odosobnioną i pomimo różnic umysłowych i moralnych łączną. Dla uwolnienia się czasowo lub zupełnie od robót przewyższających ich siły lub rujnujących zdrowie katorżnicy wytwarzali w sobie sztuczne choroby i kalectwa — zapalenie oczu, rupturę, rany na rękach i nogach, dla powodzenia zaś w ucieczkach przygotowali środki, umożliwiające im pobyt w puszczech leśnych i wymykanie się strażom: gromadzili zapasy żywności, fałszowali pieniądze i podrabiali paszporty. Ta fabrykacja była głównym przedmiotem zajęć i usiłowań tajemnych katorgi,

a niektórzy więźniowie okazywali nie tylko wielkie zdolności artystyczne, ale również nadzwyczajną wytrwałość, gdy np. trzymali w ustach przez całą noc ruble wyrobione z ołowiu i powleczone merkurjuszem, które tym sposobem miały nabierać wyglądu srebrnych.

W wyższym stopniu, niż te fałszerstwa, inne talenty, ukryte przedtem w przestępstwach i ujawnione dopiero w katordze, dowiodły, jak dalece społeczeństwo nie dba o ich wydobywanie i jak wiele marnotrawi sił twórczych. Śród tej pokalanej zbrodniami, pogardzanej i potępionej rzeszy ukazali się znakomici muzycy, poeci, budowniczy, snycerze, a jeden z nich, Polak Cezik rzeźbił w glinie i drzewie tak piękne rzeczy, że je nabywano i ozdabiano nimi pałace bogaczy. Rozeszły się po całej Rosji i zapas ich tak się wyczerpał, że potem były poszukiwane, przepłacane, a gdy zbrakło oryginalnych — podrabiane. Oprócz Polaków wyodrębnili się w katordze Nerczyńskiej odszczepieńcy prawosławia. Byli to rozmaici sekciarze - starowiercy, małokanie, skopcy i duchoborcy. Rząd uważał ich za zbrodniarzy równych winą mordercom i złodziejom. Podobnie jak tym, obcinał im języki, wrywał nozdrza, przykuwał łańcuchami do ścian i wogóle poddawał wszelkim katuszom stosowanym względem najgorszych przestępców. Do nich powoli zbliżał się Twinko, a odrazu przyłączył się Dawid Goldkopf. Komendant katorgi, kończący w niej służbę, codzienie powiększał różnorodność swoich szaleństw. Chciał on wyczerpać całą swoją wszechwładzę zemstą na więźniach, którzy skargami spowodowali jego dymisję. Za najmniejsze

wykroczenie kazał zanurzoną po szyję w zimnej wodzie stać przez cały dzień, zaprzęgał szóstkami do „przelotki” i sam furmaniąc bił, ażeby biegli galopem, rozhuśtanych na płaszczu kazał przerzucać przez bagno, w które nie dosięgnawszy przeciwległego brzegu zawsze upadali i nurzali się w błocie, przeskakiwać przez wysoki ostrokoł, na który się nabijali. Pomimo ukorzenia i strachu aresztanci zmawiali się do buntu i byliby niewątpliwie zgładzili tyrana, gdyby nie przybył w porę jego następca.

II

Karpow był wdowcem podstarzałym, człowiekiem z natury łagodnym ale w spełnianiu swych obowiązków ścisłym. Pilnował wykonywania przepisów więziennych, tylko ich nie obostrzał a o ile mógł, twardość ich zmiekczał. Pod jego zarządem katorgia pozostała katorgia, jej potępieńcom wszakże, przyzwyczajonym do szalonych okrucieństw Niepłujewa, po piekle wydała się czyścem. Zbadawszy ich we wszystkich oddziałach, wyróżnił przestępców religijnych i politycznych, którym wyznaczył zajęcia mniej uciążliwe. Syn Polaka i Rosjanki z ojca Karpowicza, nazywający się Karpowem, chociaż zruszczony, miał w swej duszy jeszcze niezerwaną, lekko drgającą strunę sympatji dla Polaków. Spotkawszy Twinkę, niosącego wodę do kuchni, zagadnął go:

— Wielu było w kraju warjatów podobnych do ciebie?

— Wszystkich nie znałem i nie liczyłem, ale przypuszczam, że należał do nich prawie cały naród polski.

— Bredzisz. Cały naród nie mógł do tego stopnia zgłupieć, ażeby wierzył, że uzbrojony kijami pokona wielką armję cesarską. Tak mogła mniemać tylko mała gromadka obłąkanych. Dziwno, że w niej znalazłeś się ty, z pozoru człowiek rozsądny.

— Mnie potrzebna była ta męka, którą cierpię.

— Na co u diabła była ci potrzebna?

Twinko nie odpowiedział, tylko po chwili za-
pytał:

— Mogę odejść?

— Idź precz. — (P a s z o ł w o n).

Słowa te Karpow wymówił ostrym tonem nie z pogardy dla aresztanta i wstrętu do jego winy, ale z gniewu, że ten nie chciał odpowiedzieć na jego pytanie, które ze strony zwierzchnika było dowodem litości i łaski. Mimo to jednak zachowanie się Twinko zastanowiło go. Wielkie dramaty ludzkie, chociaż nieme, oddziaływają z taką tajemną siłą, że je odczuwa nawet urzędnik rosyjski, wpatrzony tylko w formę czynów, a niewglądający w ich treść. To też Karpow po kilku dniach wezwał Twinkę do siebie.

— Potrzebuję — rzekł — znać dokładnie charakter każdego aresztanta i te wypadki z jego życia, które go doprowadziły do katorgi. Z urzędowego opisu nie mam jasnego wyobrażenia ani o tobie, ani o twojem przestępstwie. Masz mi je dopełnić. Co cię skłoniło do wzięcia udziału w spiskowych działaniach emigracji?

— Jestem Polakiem — odpowiedział zimno Twinko — więc musiałem starać się o wyzwolenie mojego narodu, jestem synem Polaka, który nie tylko się zruszczył, ale pomagał do pastwienia się rządu nad rodakami, więc musiałem odpokutować za jego winy i zdjąć hańbę z jego nazwiska, które jest również mojem.

Karpow był także synem zruszczonego Polaka

i także dozorcą kary jego rodaków. W odpowiedzi Twinki uczuł jak gdyby wyrzut i obelgę.

— Jeżeli nie chcesz uczynić swego położenia cięższem, niż ci starczą siły — rzekł zimno — radzę zapomnieć o tem wszystkim, co cię tu sprowadziło, a zwłaszcza pozbyć się dumy, bo katorga leczy z niej chłostą. Możesz odejść.

Karpow był bardzo niezadowolony ze swojej przestrogi, w odniesieniu do tego więźnia wydała ona mu się niesprawiedliwą i brutalną. Zapewne dlatego po kilku dniach wycofał Twinkę z kopalni i przeznaczył do budowy nowego magazynu na rudę srebrną.

Lato w Syberji przebywa krótko i ucieka, nie pozostawiając jesieni dla ukojenia żalu po sobie i przygotowania ludzi do zimy, która wpada nagle. W kopalni było ciepło, ale ciemno i duszno, na powierzchni mróz kuł już dla katorżników drugie kajdany, ale dawał im przynajmniej świeże powietrze, którego oni po nocy przespanej w dławiącym smrodzie baruku pożąдали jeszcze bardziej, niż jadała.

Zmiana zajęć stanowiła jedyne urozmaicenie życia katorgi, wlokącego się w nudzie równie męczącej, jak trudy. Twinko, który już podczas podróży odrętwiał, teraz kamieniał. Zdawało mu się, że przed rokiem umarł i narodził się powtórnie. Poprzednie swoje istnienie paⁿiętał, nie odczuwał jednak bezpośredniego z niem związku. Był człowiekiem nowym w warunkach odmiennych. Nie zapomniał, jak nie zapomina się snu, że miał uwielbianą kobietę, miłe dziecko, dobrą i przywiązaną jego matkę, bra-

ci, ale to wszystko posiadał jako inny Jan Twinko, zmarły, obecnie zaś żyjący jest katorżnikiem, skazanym na ciężką pracę i dożywotni pobyt w Syberji. To przekonanie sprawiło mu wielką ulgę, uśmierzało żal po stracie i cierpienia drugiego życia, stępiało wrażliwość i zmniejszało wymagania aż do potrzeb zwierzęcia.

Szczęśliwym wypadkiem miał w baraku po dwu stronach tapczanu za sąsiadów sekciarzów a na przeciwko Dawida Goldkopfa. Po zgaszaniu świateł nie pozwalano wieczorem na rozmowy; głośne straż tłumiła, ale ciche mogły się odbywać swobodnie a snuły się albo z wynurzeń osobistych, albo z roztrząsania zagadnień życiowych.

— My — szeptał pewnego razu sekciarz oboczny — trzymamy się wiernie Pisma świętego. Abraham usłuchał Boga, który mu rozkazał poświęcić na ofiarę Izaaka a cofnął się dlatego jedynie, że Bóg odwołał swój rozkaz. Ja miałem trzech synów i wszystkich zabiłem, bo wiedziałem, że to się podoba Bogu. Za wykonanie woli boskiej zostałem skazany na katorgę. Kto zgrzeszył? Ja, czy ci, którzy mnie osądzili?

— Skąd wiedzieliście, że Bóg tego morderstwa od was żądał?

— Do ludzi, którzy są opisani w Biblii, Bóg przemawiał słowami. Do nas przemawia natchnieniem. Omylić się nie można, bo głos boski brzmi w duszy naszej wyraźnie. Ja go tak słyszałem, jak słyszę waszą mowę.

Daremnie Twinko próbował przekonać go o nie-

logiczności tego rozumowania, fanatyk stał niewzruszony przy swojej wierze.

— Wy zabijaliście dzieci, co jest prawem zakazane — odezwał się leżący za nim — ale my tylko nie chcieliśmy zanurzać naszych nowonarodzonych w zimnej wodzie dla chrztu, nie uznawaliśmy popa, który był ciągle pijany, zdierał z nas najrozmaitsze składki i pędził gwałtem do cerkwi. Osiedliliśmy się na uboczu, zdala od wsi, nie przeszkadzaliśmy i nie wyrządzali szkody nikomu. Mimo to prześladowano nas, więziono, bito aż do utraty przytomności i zdrowia. Gdy już nie można było dłużej wytrzymać tej męki, postanowiliśmy się spalić żywcem. Roznieciliśmy ogień wewnątrz mieszkań i budynków gospodarczych, wyprowadziliśmy z nich zwierzęta i położyliśmy się wszyscy na podłodze, oczekując śmierci, która miała nas wybawić z niewoli. Gdy płomienie ogarnęły dom i chwyciły się naszych ubrań, wpadli nagle chłopci z policjantami, którzy nas wyciągnęli na dwór poparzonych. Ledwie żywych i strasznie cierpiących zaniesiono jak kłody do urzędu gminnego i wrzucono do aresztu, w którym przebywaliśmy bez opatrunku i jedzenia przez cały dzień następny. Najbardziej popalonych umieszczono w szpitalu. Jeszcze niezupełnie wyleczonych odesłano do więzienia, w którym przesiedzieliśmy trzy miesiące. Sąd zarządowski nakazał starszym mężczyznom przyciąć języki, młodszym dać po pięćset prętów i wszystkich wraz z kobietami wysłać do ciężkich robót. Dzieci oddano do przytułku prawosławnego.

— Cóż wam Bóg radzi czynić? — zapytał Twinko.

— Znosić cierpliwie wszystkie nieszczęścia doczesne — odrzekł sekciarz — na rachunek szczęścia wiecznego.

— Czemu was od nich nie broni?

— Bo jesteśmy grzeszni a jako dobry ojciec pozwala, ażebyśmy za nasze grzechy odbyli pokutę lżejszą za życia, niż po śmierci.

— My nie tak wierzymy — rzekł miękim szep-tem sąsiad Twinki z drugiej strony, nazywający się duchoborcą. — Według nas każdy człowiek jest kościołem, w którym przebywa Trójca święta. Bóg ojciec — to rozum, Syn boży — to uczucie, Duch święty — to pamięć. Dlatego nie rozróżniamy ludzi ani stanowiskiem, ani bogactwem, ani wiekiem. Wszyscy zarówno są mniejszymi lub większymi kościołami, każdy przed każdym odkrywa głowę, każdy czci i przy spotkaniu pozdrawia: niech będzie pochwalona Trójca święta.

— Jakże to można — wtrącił poprzedni — grzesznego człowieka uważać za przybytek boży?

— My nie popełniamy żadnych grzechów. Od czasu istnienia naszej wiary nie było między nami ani jednego wypadku zabójstwa, kradzieży, oszustwa, jakiegokolwiek pokrzywdzenia bliźnich. Wszyscy mamy sumienia tak czyste, jak niemowlęta. Jeżeli zaś kogo napadnie zła myśl, niby szatan wkradający się do kościoła, kuszony natychmiast wyznaje starszym, którzy mu radzą, jak ma odpędzić kusiciela. Dotąd nikt nie został opętany.

— Za cóż was rząd ukarał katorgą? — zapytał Twinko.

— Właśnie za tę naszą wiarę, która nie zgadza się z prawosławiem. Są jeszcze inne takie wiary, które nazywają się chrześcijańskimi, a sprzeciwiają się Chrystusowi. Ale prawosławna chyba najgorsza.

Mówił łagodnym tonem kaznodziei, wykładającego nową naukę.

— A ot tam—ciągnął po chwili wskazując ręką — śpi mój bratanek, który wzięty do wojska nie chciał nosić broni i strzelać do ludzi. Ile on wycierpiał kar! Wyrwali mu obcęgami nozdrza i przepędzili go między rzędami żołnierzy, którzy uderzali prętami aż do tysiąca. Wytrzymał, chociaż z posiekanego ciała wyglądały kości. Drugim razem wyznaczono mu pięć tysięcy kijów. Przez dziewięćset jeszcze się włókł, ale że miał świeże blizny po poprzednich, upadł. Zniesiono go do szpitala, podleczone i oddano pod płagi. Żołnierze ulitowali się nad nim i bili w powietrze, niektórzy jednak, gdy komendant doglądał, musieli uderzać w ciało. Znowu upadł i znowu leczyli go w szpitalu. Powtarzało się to jeszcze dwa razy, dopóki nie wysiekli pięciu tysięcy. Mimo to on broni do ręki wziąć i strzelać nie chciał. Przesłano go tutaj do katorgi.

Umilkł, jak gdyby dla uspokojenia się po tych wspomnieniach i dodał z lekkim żalem:

— Co to za ludzie! Przy badaniu żandarm zapytał mnie: „Ty jakiej religii? Prawosławnej?” Odpowiedziałem: „Nie...” — „Katolickiej?” „Nie.” — „Luterańskiej?” „Nie” — „Więc jakiejże?” „Chrześcijańskiej”. „Łziesz, takiej religii niema”. Wyznawcy Chrystusa

mówią, że religji Chrystusowej niema. Czy oprócz nich kto to zrozumie?

Chciał coś powiedzieć Dawid.

— Syczą, jak węże i spać nie dają! — krzyknął z odległego tapczana olbrzymi chłop Nikifor, który teroryzował i podburzał katorgę, przeciw władzy a teraz rozjątrzył się, słysząc szepty, w których domyślał się jakieś zmywy bez jego udziału.

Szepty ustały, aresztanci zasnęli. Ciszę maćili tylko chrapliwe oddechy, czasem wyrzucone we śnie przekleństwo i brzęk poruszonych kajdan.

Twinko nie zastanawiał się dotąd nad różnicami charakterów ludzkich. To też zebrane w katordze wrażenia i nocne opowieści wytworzyły w jego umyśle, chaos, którego nie mógł uporządkować. Myśli rozbiegały mu się w rozmaite strony, wiązały się na chwilę, ale wkrótce rozrywały się i krążyły luźnie. Upłynęło wiele dni, zanim zdołał doprowadzić je do jakiegoś ładu. Powoli ustalił sobie kilka wniosków: naprzód, że skala przedmiotów zajmujących obecnie jego uwagę jest daleko większa, niż ta, którą miał w ojczyźnie; powtóre, że dołączyły się do dawnych takie, które już nie usuną się z jego świadomości; potrzecie, że musi rozwiązać zagadnienia, których dotąd nie dotykał, których nawet nie znał. W poprzednim okresie życia określił swoje przekonania tylko o charakterze prawego Polaka, o stosunku do Rosjan i ich rządu, o obowiązkach, jakie na niego włożyło pochodzenie od nikkzemnego ojca. Teraz te przedmioty odsuwały mu się na plan dalszy a na bliższy wystąpiły kwestje dotyczące ludzi wogóle,

ich stosunków między sobą i do panującej nad nimi mocy boskiej. Stawiał sobie kolejno pytania, nie znajdując natychmiastowej odpowiedzi: czy obecne rodzaje ludzi są naturalne i konieczne; czy one mogą i powinny ulegać przekształceniu w zmienionych warunkach życia; czy uznane i szanowane prawa nie są szeregiem gwałtów; czy opieka i sądy Opatrzności nie są złudzeniem i wymysłem niedoli człowieka, ratującego się od rozpaczki? Zarówno przy pracy, jak i przy odpoczynku ciągle o tem rozmyślał i rozprawił z sekciarzami a najwięcej z Dawidem Goldkop-fem, który już przestał wydawać mu się półgłówkiem niegodnym poważnego sporu.

III

Przeciekło wiele dni jednakich, tak do siebie podobnych jak krople wody. Przez trzy miesiące mróz kaleczył ręce i twarze, ścisnął piersi aż do zupełnego zaparcia oddechu. Katorga pracowała w kopalni lub próżnowała w baraku; kłóćąc się, opowiadając wypadki prawdziwe lub zmyślane i układając plany ucieczki, gdy się odezwie kukułka, która corocznie ośmiela niektórych węźniów do wymknięcia się na swobodę, zwykle zakończoną schwyтaniem lub dobrowolnym powrotem. Twince, jako umięjącemu biegle pisać i rachować, dano zajęcie w kancelarji, nie zdejmując jednak kajdan, które obciążały mu szczególnie prawą rękę przy pisaniu. Ta zmiana położenia odsunęła od niego jeszcze dalej głowaczów katorgi, najzuchwalszych i najciężej obarczonych zbrodniami, najbardziej pomysłowych w oszukiwaniu straży i doświadczonych we włóczędce, którzy nigdy nie mieli do niego zaufania i sympatji a teraz czuli nienawiść i pogardę. Jątrzyła ich jego moralna czystość, uprzywilejowane stanowisko a nadewszystko możność rozmawiania z kobietami. Przebywało ich w katordze trzydzieści, przeważnie dzieciobójczynie i podpalaczki, które przeznaczono do prania, szycia, gatunkowania, rudy i posług w komendanturze. Były między niemi rozmiłowane w młodych aresztantach,

były inne gotowe zawiązać ze wszystkimi bliższe stosunki, były unikające ich starannie.

Pewnego dnia kwietniowego, kiedy już zaczęły wpływać w mroźne powietrze podmuchy cieplejsze, na podwórzu więziennem wybuchła nagle w południe wrzawa. Twinko wybiegł z kancelarji. Stała zbита gromada, wyrzucając krzyki, nad którymi górował gruby głos Nikifora. Zjawił się komendant. Gromada przycichła, ale nie przestała szemrać.

— Milczeć! — krzyknął Karpow. — Niech jeden mówi. O co chodzi?

Wystąpił Nikifor.

— Dzieje się nam krzywda, wielmożny panie. Jest w katordze trzydzieści kobiet, prawie wszystkie młode, zdatne i chętne do użytku. Przecie sam Bóg połączył Adama z Ewą i nakazał, ażeby mężczyźni wiazali się z kobietami. I władza na to pozwoliła. Trzy razy odbyłem pochód z Rosji do Syberji i za każdym razem, jeżeli w partji były kobiety, nie broniono z nich korzystać na etapach. Gdy w Tobolsku nie było ich dosyć, sprowadzono aresztantki z miejskiego więzienia, zrobiono w cerkwi czworobok z żołnierzy i w nim pozwolono nam się ucieszyć do woli. A tu od dwóch lat nic i nic. Tylko jeden Twinko może mieć tyle kobiet, ile zechce.

— Twinko! — zawołał komendant. — Czy to prawda?

— Kłamie.

— Zresztą mniejsza o niego, może on skopiec. Są tu tacy. Ale my zdrowi i nieokaleczeni potrzebujemy i żądamy. To jest prawo boskie i rządowe.

— Nikifora przepędzić przez pięćset kijów — rozkazał komendant, zwróciwszy się do podoficera — a jeżeli jeszcze ktoś to żądanie powtórzy, każdemu tyleż.

Nikt się nie odezwał. Tylko Nikifor powiedział z ironicznym śmiechem:

— Wytrzymałem już więcej!

— Wszyscy dziś do kopalni bez obiadu! — dodał komendant.

Gromada głodna odeszła do roboty w spokoju.

Karpow znowu nie był zadowolony ze swego zachowania się. Przepisy katorgi nakazywały mu karać surowo wszelkie bunty. Nikifor zatwardziały zbrodniarz, który tylko łańcuchem i batem mógł być utrzymany w posłuszeństwie i który nadużywał swej potężnej siły w stosunkach z więźniami, budził w nim odrazę — mimo to komendant po ochłonięciu z gniewu uznał swój wyrok za niesprawiedliwy i postanowił go złagodzić. Wezwał podoficera dowodzącego chłosty.

— Wyznacz do bicia szklarzów.

— Słucham.

Między żołnierzami załogi katorżnej byli litościwi z natury i sprzedający swą litość za datki, którzy tak wykształcili się w zręczności bicia, że uderzając pozornie z wielką siłą i trzaskiem, zaledwie dotykali ciała skazańca. Mówiono o nich, że gdyby jego grzbiet pokryć cienkim szkłem, nie stłukliby go kijami.

— Ty ich sam wybrał? zapytał podoficera Nikifor, którego plecy miały zaledwie kilka zadraśnień.

Podoficer nie odpowiedział.

— Stary przypomniał sobie — rzekł śmiejąc się Nikifor — że kobiety są potrzebne.

Gdy przechodził około kancelarji, Twinko wyjrzał oknem i zaczął go:

— Które to ja mam kobiety?

— Nie wiem — odparł Nikifor — ale wiem, żeś ty lizus i że trzeba ci białą mordę pomalować na czerwono.

Twinko domyślił się znaczenia tej groźby. Gdy aresztanci znienawidzili którego z towarzyszków, uważając go za „lizusa“ i podejrzewając o zdradę tajemnic katorgi, mścili się rozmaitymi sposobami a między innymi ciśnięciem kamienia w nocy podczas snu. Zbudzony uderzeniem, okrwawiony i zwykle skaleczony, nie wiedział, z czyjej ręki padł cios i gdyby nawet odważył się na skargę, nie mógł wskazać sprawcy. Dawid Goldkopf nie naraził się nikomu i tylko w chwilach wolnych wykładał swoją naukę o tworzącym Bogu, ale przywódcy katorgi uznali, że on jako żyd powinien zorganizować przemytnictwo wódki, które się nie wiodło, zostało kilkakrotnie odkryte i ukarane. Niezdatny i niechętny do takich przedsięwzięć marzyciel odmówił. Wątpy i wycieńczony pewnego dnia zemdłał w kopalni. Umieszczono go w izbie szpitalnej, podleczone wypoczynkiem, zabrakło mu jednak już sił do ciężkiej pracy. Wtedy przeznaczono go do pomocy Twince w kancelarji. Wkrótce po tem straż wtargnęła w nocy i przyłapała grających w karty przy świetle księżyca. W rewizji znaleziono pod tapczanem Nikifora dwie bu-

telki wódki i paczkę tytoniu. Winnych ukarano przykuciem do ściany o chlebie i wodzie na tydzień. Między nimi był Nikifor.

Twinko położywszy się wieczorem, nie mógł zasnąć pod wpływem jego zapowiedzi. Nagle około północy usłyszał w bliskości tępe uderzenie i krzyk. Wpadła straż ze światłem: na tapczanie jęczał Dawid z rozbitą kamieniem piersią, z której obficie spływała krew. Kilku z więźniów podniosło głowy, większość nie ruszyła się. Twinko pośpieszył do ranego, który obudzony bólem z twardego snu nie pojmował, co się z nim stało. Nie było w pogotowiu żadnego materiału do opatrunku, wartownicy nie pozwolili wyjść z baraku, Dawid blady, osłabiony, leżał bez ratunku do rana. Tylko Twinko przyciskał mu do piersi brudną koszulę dla zatamowania krwi. Komendant, zawiadomiony o wypadku, przysłał felczera z poleceniem przeniesienia chorego do izby szpitalnej. Miał on w piersi ranę głęboką i kość złamaną. Wkrótce wystąpiła gorączka z utratą przytomności.

Rozpoczęto śledztwo, które doprowadziło tylko do domysłu, że sprawcą był Nikifor, którego jednak w braku dowodu nie pociągnięto do odpowiedzialności. Wszyscy więźniowie tłumaczyli się zupełną nieświadomością i nie wyrazili żadnych podejrzeń. Karpow, jak każdy prawowity Rosjanin nie lubiący Żydów, nie zapuszczał się w ścisłe dochodzenie źródła zbrodni, która po kilku dniach utonęła w zapomnieniu w raz z innymi drobiazgami życia katorgi, mającej odmienną od ludzi wolnych miarę oceniania

wartości i ważności czynów. Tymczasem Dawid leżał w gorączce i malignie z gnijącą w brudzie raną i zakażeniem krwi. Odwiedzał go raz na dzień felczer, często Twinko, który go opatrywał i przynosił mu z kuchni rozgotowaną kaszę z odrobiną mleka. Ale chory żadnego posiłku przyjąć nie chciał. Po tygodniu bezwładu i nieprzytomności odzyskał zamąconą i przerywaną świadomość. Rozpoznał Twinkę, uśmiechnął się czule, położył swoją suchą okajdanioną rękę na jego ręce i wyszeptał:

— Bóg tworzy pana... Widzę... Dziękuję...

Zaczął majaczyć, wymawiać niezrozumiałe wyrazy coraz ciszej, wreszcie umilkł; tylko sine usta lekko jeszcze drgały, ale i one zmartwiały półotwarte. Gdy Twinko odszedł do kancelarji i po godzinie wrócił, Dawid już nie żył.

Pogrzebano go za cmentarzykiem więziennym. Ponieważ był żydem, włożono go do dołu bez trumny i zasypano bez modłów. Twinko długo stał nad mogiłą, tak długo, że go odwołano. Nikt nie wątpił, że zabójcą Dawida był Nikifora wielu wiedziało, że był zabójcą przypadkowym, że wymierzył pocisk w Twinkę, ale obciążoną kajdanami ręką chybił i ugodził w jego sąsiada. Tajemnica kryła się niedługo i doszła do komendanta, który kazał Nikifora przenieść do innego oddziału i spajać mu na noc obie ręce kajdanami. To rozwściekliło go jeszcze bardziej. Raz przechodząc koło okna kancelarji, przy którym siedział Twinko, zasyczał ochryple:

— Nie ujdiesz, popie żydowski.

Nie zdażył jednak spełnić tej pogroźki. Ponieważ

kopalnia w kilku miejscach zawałiła się, sprowadzono z odległej o kilka mil płuczni złota aresztanta, który umiał urządzać mocne belkowania, podpierające sklepienie podziemia. Zwierzył on się Nikiforowi, że ukrył kilka funtów złotego piasku a nadto wie, gdzie ukryli go inni. Postanowili uciec, zabrać cenną zdobycz i puścić się na wędrówkę po Rosji. Rzeczywiście udało im się wymknąć, dotrzeć do jednej kryjówki i zabrać piasek złoty. Błąkając się jednak po puszczy, spotkali oddział Tunguzów, dzikich i niemiłosiernych rabusiów, którzy uciekających dosięgli celnymi strzałami i zabitych ograbili.

Snuło się życie katorgi pasmem zajęć i wypadków jednostajnych, rzadko targanem przez zdarzenia niezwykłe i szybko doprowadzanem do porządku. Twinko pracował ciągle w kancelarji, zyskując coraz większe uznanie komendanta.

Przesunęło się tak lat pięć, które go oprędyły kokonem znieczulającym na wrażenie zewnętrzne i wytrawiającym w jego pamięci zblakłe wspomnienia z czasu wolności. Przestała go nawet napastować natrętna myśl, że popełnił przesadę w swej dobrowolnej ofierze i niepotrzebnie podał się męce, której mógł uniknąć, a przynajmniej bardzo ją zmniejszyć. Myśl ta dręczyła go często na początku pobytu w katordze, teraz zjawiała się na chwilę i znikwała szybko. Przez cały ten czas nie otrzymał żadnej wiadomości z kraju, wszelka bowiem korespondencja ze skazańcami w ciężkich robotach była surowo zakazana i czujnie przestrzegana.

Czerwiec rozpałił się mocnym żarem, który w po-

łudnie parzył i dusił zanieczyszczonym w powietrzu pyłem. Do kancelarji weszła dojrzewająca panna w lekkiej sukni uwydatniającej pełne jej kształty. W rumianej okrągłej twarzy wypukłały się kości policzkowe, jasne włosy zsuwały się na szyję grubym, w wianek skręconym warkoczem, małe oczki skakały po przedmiotach a głowa, ręce i nogi poruszały się tak żwawo, jak gdyby osadzone były na sprężynach. Twinko siedział przy stole sam i pisał, nie zwróciwszy na nią uwagi.

— Pan Jan Hieronimowicz Twinko? — zapytała obcesowo.

— Tak, — odrzekł podniósłszy wzrok od papierów — Jan Twinko, Hieronimowicza się pozbyłem a pana odebrali mi żandarmi.

— Głupstwo! — trzepała wesoło. — Książęta, ministrowie, magnaci byli skazywani na katorgę i to im wcale nie przeszkadzało potem rządzić Rosją i tuczyć się godnościami. To nasza huśtawka, zawieszona na łasce carskiej raz w górze, raz w dole i znowu w górze i znowu w dole.

— Katorżnikom nie wolno z nikim rozmawiać. Czy pani tu przyszła z wiedzą ojca?

— Głupstwo! Mam mu zaprzętać głowę takimi drobiazgami, zwłaszcza gdy chory. Nawet mu nie wspominałam.

— On z pewnością na panią się rozgniewa.

— Rozgniewa się? Ot głupstwo! Ja u niego jedy-naczka. Prawo dla niego to ja. Zobaczy pan jak on mnie kocha i słucha.

— Tymczasem pozwoli mi pani zająć się moją robotą.

— Pan nie chce ze mną rozmawiać po rosyjsku. Może pan woli po polsku? Ja umiem. Nauczyłam się w Wilnie. Właśnie tam skończyłam szkołę i przyjechałam do ojca. On mnie chce wydać za męża, bo powiada, że jestem niespokojna. Głupstwo! Wytłumaczyłam mu, ażeby poczekał, aż ja zechcę. Siedem lat trzymali mnie w pensjonacie jak w klasztorze i zaraz mam oddać się w niewolę? Ani myślę. Ja muszę pobawić się, pohulać. Na wieczorowej zabawie u prezesa sądu, naszego krewnego, z którego córką skończyłam pensję, poznałam bardzo miłego Polaka. Tak mi się podobał, że gdyby był młodszym, zaraz namówiłabym go na małżeństwo, a gdyby nie chciał, to na kilkotygodniową wycieczkę statkiem po Wołdze. Ojciec by się rozgniewał, alebym go wycałowała i przebaczyłby. Otóż ten pan, dowiedziawszy się, że jadę do Nerczyńska, zapytał się, czy nie wzięłabym kartki do pana. Zgodziłam się chętnie, ale on ostrzegł, że musiałabym ją ukryć starannie, bo z więźniami w katordze korespondować nie wolno i gdyby się wydało, naraziłabym ojca. — „Poco mam kłaść kartkę w kieszeń — odpowiedziałam — niech pan mi ją włoży w głowę. Ani nikt jej nie znajdzie, ani ja ojca nie narażę”. „Doskonale — rzekł ucieszony. — Więc proszę panią zapamiętać i powtórzyć Twince te słowa: Wkrótce będzie lepiej”.

— Jak się nazywa ten Polak?

— Kobrycz.

Twinko opuścił głowę na piersi i milczał. Po chwili przemówił:

— Dziękuję pani.

Karpowna próbowała go wciągnąć w dalszą rozmowę, ale on już nie odezwał się.

— Powinien pan cieszyć się, skoro będzie lepiej — rzekła, odchodząc. — I ja o to się postaram.

Przez pięć lat Twinko nie otrzymał żadnego znaku ze świata i od osób, od których został oderwany. Przyzwyczał się już do myśli, że między nim a tym światem wznosił się nieprzebyty mur, który otoczył go swym kręgiem i zamknął na całe życie. Nagle w ten mur uderzył grom słów Kobrycza, które zrobiły w nim wyłom i otworzyły oddalony widok zwróconych ku niemu miłowanych cieniów. Ten obraz sprawił mu radość i smutek. Uspokoiwszy się nieco, zaczął odgadywać znaczenie wiadomości przywiezionych przez Karpownę. Najrozmaitsze domysły od najskromniejszych do najfantastyczniejszych wirowały w jego głowie. Nie mógł robić poleconego mu rachunku, siedział przy stole i marzył. Ostatecznie zatrzymał się na przypuszczeniu, że Kobrycz chciał jego cierpiącą duszę pobudzić do wytrwania obietnicą, która spełni się niepręd-ko lub nie spełni się wcale. Gdy wieczorem legł na tapczanie w baraku wśród chrapań i rżężeń kilkudziesięciu piersi, wśród zgęszczonego smrodem powietrza, wśród brudu i wylęgłego w nim robactwa, gdy uprzytomnił sobie całą swoją nędzę i niewolę, opuścił kamienną płytę swego grobu, którą podniosły i wpuściły szparą promień światła słowa Kobrycza. Nazajutrz zajął się pracą w kancelarji, przestał myśleć o wczorajszym wzruszeniu, tylko od czasu do czasu pobły-skiwały i nikły w jego omroczonej duszy jasne myśli jak świecące w letniej nocy świętojańskie robaczki.

Karpow zapadał w chorobę nerkową coraz bardziej. Zastępował go w zarządzie katorgą oficer załogi żołnierskiej, który przyzwyczajony do słuchania rozkazów, nie umiał ich wydawać i wiązać w jakiś systemat, lecz rzucał bezładnie, wprowadzając rozstrój zarówno doraźną surowością, jak pobleżaniem. Zwiększyło mu nieporządek w głowie przybycie Zofji, którą ściagał spojrzzeniami i zaczepiał pytaniami, starając się pozyskać jej względy jako ponętnej kobiety i jako córki zwierzchnika. Ona traktowała go to kokieteryjnie, to lekceważąco, skutkiem czego upijał się jeszcze częściej i jeszcze bardziej, niż przedtem. Obowiązek doglądania chorego ojca nie zabierał jej tyle czasu, ażeby nie znalazła sposobności wchodzenia do kancelarji i rozmawiania z Twinką, którego odrazu umieściła na liście swych licznych gustów. Pięcioletnia katorga nie oszpeciła jego męskiej urody i nie zbrutalizowała jego delikatnego obejścia.

— Janie Hieronimowiczu! — zawołała, wpadłszy do kancelarji.

— Niech pani raz na zawsze opuści Hieronimowicza — przerwał Twinko — ten dodatek jest zupełnie zbyteczny.

— Ach, prawda, wy Polacy nie używacie o t c z e s t w a . . . Więc, panie Janie, co ja mam odpowiedzieć pijanemu Zołotarewowi, który zwrócił się do mnie z zapytaniem: jak zmusić aresztantów do roboty w kopalni, która się zawaliła przy wejściu?

— Trzeba donieść ojcu.

— W gorączce, prawie nieprzytomny.

— Niech pani poradzi oficerowi, ażeby naprzód się wytrzeźwił, a potem będzie wiedział, jak ma postąpić.

— A gdyby pan do nich przemówił...

— Brząknąwszy groźnie kajdanami — tak? Panno Zofjo, ja nie umiem być śmiesznym.

— Przepraszam pana, nie zastanowiłam się.. Wreszcie dlaczego mamy zaprzętać sobie głowę sprawami, które do nas nie należą. Co pan pisze?

— Rachunki kuchni.

— Musi to pana bardzo nudzić. Niech pan na chwilę przestanie. Czy do ojca nikt nie przyjeżdża z sąsiedztwa?

— Tu niema sąsiedztwa, są tylko wielkie odległości.

— Ale przecież urządzacie sobie jakieś zabawy?

— Owszem, aresztanci potajemnie grają w karty, a jawnie we wszy.

— W co?

— We wszy.

— Brr! To coś tak obrzydliwego, że nawet nie chcę się dowiedzieć, jak ta gra wygląda. Czy pan umie gotować bigos?

— Umiem tylko jeść.

— Szkoda, bigos litewski jest bardzo dobry. A nasz kucharz przyrządza takie paskudztwa, że powinien karmić świnie, nie ludzi. Biedny ojciec, prosił o barszcz, a on mu nagotował tartej rzepy na occie. Niechże pan przestanie pisać i słucha mnie. Przecie pan był z pewnością dobrze wychowany, uprzejmy dla dam. A czy ja nie jestem damą?

— Nawet wielką i dlatego powinna pani od niegrze-

cznego katorżnika dumnie odejść i nie przeszkadzać mu w robocie.

— Głupstwo cała ta robota! Zresztą, jeśli pilna, pomogę. Ot poczta, chwała Bogu! — krzyknęła, spostrzegłszy przez okno zajeżdżającą brykę. — Dawaj prędko! — wołała, stukając w szybę. — Do mnie powinny być listy.

Żołnierz wniósł ciężką torbę skórzaną i położył na stole.

— Panie Janie, proszę torbę zaraz otworzyć.

— Mogę to zrobić tylko w obecności oficera.

Karpowna wychyliła się przez lufcik i zawołała:

— Smirnow, tu!

Wszedł oficer, głupio uśmiechnięty i głaszczący ją lubieżnymi spojrzeniami.

— Do usług pani.

— Trzeba otworzyć pocztę — powiedziała tonem rozkazującym.

Oficer wypatroszył torbę, w której były papiery w opieczętowanych kopertach urzędowych, próbki sukna, płótna i skóry, paczki sznurów i dwa listy prywatne do komendanta.

— Dla pani niema nic.

— Poszukaj pan lepiej.

Oficer przejrzał powtórnie.

— Niema — rzekł zakłopotany.

— Kanalje! — mówiła z dzikim gniewem Karpowna. — Dopóki tam byłam, to przyjaciele i przyjaciółki, na wyścigi paplali: śliczna panno Zofjo, kochana Zosieńko, nie zapomnij o nas, pisuj często, my będziemy ci donosili o wszystkim, ażebyś się nie nudziła.

Wierz im! Na moje cztery listy niema ani jednej odpowiedzi. Hołota! I ten, Piotr Mikołajewicz, który słał mi się pod nogi jak pies, łaślił się, skomlał o polizanie ręki i on milczy. Poczekaj! Kopnę ja ciebie, psi synu.

Chwyliła korespondencję adresowaną do ojca i wybiegła.

Przez dwa dni nie pokazywała się wcale. Trzeciego wpadła do kancelarji rozradowana z papierem w ręku.

— Panie Janie, dla ciebie prezent. Nie wszystko, tylko to na końcu:

„Jana Twinkę uwolnić od kajdan, golenia głowy i chłosty. Dać mu zajęcie w domu lub ogrodzie”.

— Niech tu przyjdzie kowal — rozkazała obecnemu przy tem oficerowi — i zdejmie kajdany. No, prędzej, na co pan się gapisz? Jakże się cieszę — mówiła po odejściu Smirnowa. — I ojciec bardzo rad. Gorączka spadła, oprzytomniał, sam przeczytał i powiedział: „Idź zaraz i pokaż mu polecenie ministra spraw wewnętrznych”. Lżej mi w duszy.

Twinko stał niemy. Na jego twarzy odbijał się poważny smutek.

Przybył kowal i rozkuł go z kajdan.

IV

Twinko odczuł poprawę swego położenia, ale zarazem tyle w niej zniewagi, że ona nie mogła wzniecić w nim radości. Uwolniono go tylko od najhaniebniejszych upokorzeń i pozostawiono domowem zwierzęciem katorgi, pozbawionem praw i podległem samowoli. Nie umiano mu ściśle powiedzieć, w jakich granicach zamyka się jego swoboda. Nie widział już żelaznych kajdan na rękach i nogach, ale czuł je na swej duszy. Powoli wszakże samo życie wyznaczyło mu te granice, bardzo ciasne. Musiał jeszcze nosić ubranie areztanckie, wypełniać wszelkie rozkazy administracji, nie wydalać się bez pozwolenia poza obręb katorgi, ale dano wraz z kilkoma sekcjarzami na mieszkanie izbę przy magazynie, którą oczyścili, wyłatali, uporządkowali i umeblowali najkonieczniejszymi sprzętami. To wydobycie się z brudnego, zatęchłego, zarobaczewionego baraku, z jego plugawych rozmów, brutalnych rozrywek nocnych i popisowych opowiadań towarzyszów sypialni o dokonanych i zmyślonych zbrodniach było może największą ulgą dla Twinki. Ponieważ okazał się doskonałym kancelistą, komendant zatrzymał go przy tem zajęciu i dodał dozór nad okradanym magazynem. Za wstawieniem się jednak Zofji pozwolono mu kilka godzin pracować w ogrodzie. Był to kawał urodzajnej i zapuszczonej ziemi, na której

rosły przeważnie chwasty, a w słonecznym klimacie nerczyńskim udawać się mogły wszelkie warzywa. Z porady Twinki Karpow postanowił zamówić w Rosji nasiona do uprawy wiosennej. Tymczasem przygotowywano ziemię, w braku pługa ręcznie, w czym Zofja brała również udział obok Twinki, śmiejąc się, swawoląc i przymilając. Nadeszła jesień wilgotna i chłodna. Zjawiły się mrozy, które przerwały robotę w ogrodzie, powleczonym cienką warstwą śniegu.

Komendant, który ozdrowiał nieco po napadzie choroby nerkowej i zaczął pełnić swoje obowiązki, znowu zaniemógł. Zażądał lekarza. Ponieważ regulamin nie pozwalał wysyłać samego katorżnika, przeto do Nerczyńska pojechała Zofja, która wzięła za furmana Twinkę. W drodze zerwała się mroźna śnieżycą. Karpowna, zawinięta w ciepłe futra, zaczęła się skarżyć na zimno. Twinko nie zwracał na to uwagi.

— Panie Janie — zawołała po polsku — ja nie wytrzymam, kostnieję. Siądź pan przy mnie i okryj nam nogi tym niedźwiedzim błamem. Przy panu będzie mi ciepłej.

Zrobił, jak żądała. Podczas dalszej jazdy przytuliła się do niego całym ciałem i pod jego nogi podsunęła swoje. Mówiła przytem ciągle, wtrącając kusicielskie słowa.

— Niech pani nie otwiera ust — upominał Twinko — bo przez nie mróz wchodzi.

— Nie zna się pan. Tak mi gorąco, jakby kto we mnie nalał ukropu.

Lekarza w domu nie było. Wyjechał na kilka dni. Zofja zamówiła, ażeby po powrocie przybył swoimi

końmi. Gdy oddalili się od miasta, zaproponowała Twince, że usiądzie mu na kolanach i owinie się z nim wszystkimi futrami. Oparł się temu stanowczo, umieścił ją na tyle bryki, a sam usiadł na koźle.

— Pani ma dzikie pomysły — rzekł surowo.

— A pan jest tchórz, tchórz, jeszcze raz tchórz! — krzyknęła ze złością.

— Ma pani słuszość. Boję się paskudztwa.

Przez całą drogę milczeli oboje. Gdy Zofja zdała ojcu sprawę z bytności u lekarza, zapytał:

— Jakże zachowywał się Twinko?

— On jest czasem rozumny, czasem przyjemny, a czasem bałwan.

— A jakim był w podróży?

— Takim i takim.

Na trzeci dzień przyjechał lekarz, który stwierdził u chorego stan zapalny, zalecił leżenie w łóżku i wstrzymanie się od wszelkich zajęć. Stało się dla Karpowa oczywistem, że on dłużej komendantem katorgi być nie może. Przesłał też zaraz do swej władzy prośbę, ażeby go przeniesiono na inne stanowisko, gdzie mógłby korzystać ze stałej opieki lekarskiej. Zofję tę wiadomość ucieszyła wielce.

— Wy zasłużyliście na katorgę — mówiła do Twinki impertynencko — ale za co mnie w niej osadzono?

Srożąc się zima ratamowała wszelkie roboty naziemne. Tylko kopalnie pracowały nieprzerwanie. Skutkiem choroby komendanta, Twinko, którego zdolnościom i charakterowi on zupełnie ufał, załatwiał sam czynności kancelaryjne, nie wyłączając doniesienia władzy o sobie. Jego sprawozdania, rachunki i ra-

porty Karpow podpisywał bez czytania, zapytując jedynie przy każdym papierze:

— Prawidłowo?

— Tak — odpowiadał Twinko.

Zofja nie odwiedzała go wcale, a przy spotkaniu udawała, że go nie widzi. Natomiast kokietowała wyzywająco oficera, który upijał się coraz bardziej miłością i wódką. W godzinach wolnych od tych założeń i siedzenia przy ojcu, w swoim pokoju śpiewała krzykliwie lub tańczyła.

Tak przeszła zima. Szybko po niej zbliżająca się wiosna przyniosła ziemi swoje wielkie dary światła i ciepła, a Karpowowi zawiadomienie, że otrzymał dwumiesięczny urlop dla leczenia się i nominację na wicegubernatora w Kazaniu. Do czasu zaś mianowania następcy zarząd kancelarji powierzono Smirnowowi. Uszczęśliwiony i uzdrowiony łaską carską komendant uczuł chęć okazania również łaski katordze, ażeby jej pozostawić pamiątkę wdzięczności. Kazał wybielić wapnem baraki, złagodził surowość regulaminu, przebaczył winy, darował wyznaczone kary i wezwał do swego gabinetu Twinkę, do którego przemówił, zmieniając „ty” na „wy”.

— Janie Hieronimowicz, przez cały czas mojego urzędowania sprawowaliście się wzorowo i nie zasłużyliście na najmniejszą naganę. Owszem, swoją niezmordowaną i uczciwą pracą w kancelarji uwolniliście mnie w chorobie od wielu zajęć, którym ja podołać nie mogłem. W nagrodę za to pragnąłbym poprawić wasze położenie, o ile na to pozwala prawo. Jeżeli minister się zgodzi — a przypuszczam, że się zgo-

dzi — czy chcielibyście być pisarzem mojej kancelarii wicegubernatorskiej w Kazaniu?

— Mam tylko jedną prośbę do pana komendanta, ażeby tu pozostał.

— Chcecie pozostać tu, w katordze, jako aresztant pozbawiony praw, a po wycierpieniu całej kary być skazanym na dożywotnie osiedlenie w Syberji?

— Tak — odrzekł stanowczo.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tu mi będzie lepiej.

— Janie Hieronimowiczu, namyślcie się, zważcie, że odtrącacie sposobność, która już może nie powtórzy się nigdy i która rozstrzyga o waszem życiu.

— O nic innego po namyśle bym nie poprosił.

— W takim razie żegnam.

Po odejściu Twinki powiedział głośno do córki — w sąsiednim pokoju:

— Zosieńko, masz rację, on czasem bałwan.

Przygotowywano się pospiesznie do wyjazdu. Pomagał Smirnow, którego Zofja lżyła niemiłosiernie za każdą niezręczność w opakowywaniu rzeczy, a on usiłował zachować powagę komendanta, powtarzając:

— Zdąży się, zdąży, jeszcze wam dużo czasu zostanie.

A gdy raz, zamykając wspólnie kufer, zbliżywszy usta do jej ręki, chciał ją pocałować, odtrąciła go brutalnie:

— Nie waż się, bo w gębę trzasnę! Dureń!

Twinko nie brał udziału w tych przygotowaniach.

Nadszedł dzień wyjazdu. Stał szereg wozów, na których upakowano rzeczy i wyruszono w drogę. Za-

jechała kareta. Usiadł w niej Karpow, a Zofja zawołała do stojącego przed domem Twinki:

— Hej, ty, włóż mi kalosze.

Twinko nie drgnął, tylko twarz mu nagle zbladła i stężała.

— Twinko, słyszysz, włóż mi kalosze! — krzyknęła głośniej.

Nie ruszył się.

— To bardzo przyjemnie obuć ładną nóżkę — odezwał się pojednawczo Karpow.

— Życzę panu szczęśliwej podróży — powiedział Twinko i odszedł.

— Smirnow, — zwrócił się do oficera Karpow — bądź łaskaw włożyć Zosi kalisze.

Ten skwapliwie pospieszył i usłużył.

— No, czy ten katorżnik nie bałwan? — rzekła rozłoszczona panna, siadając obok ojca.

— Nie, moje dziecko — odrzekł półgłosem — gdyby był bałwanem, włożyłby ci kalosze.

Kareta pomknęła.

Smirnow, objąwszy rządy nad katorgą, zaczął je sprawować własnym systemem, a raczej bezładem. Upijał się codziennie, biegał po wszystkich budynkach bez celu, lżył aresztantów bez powodu, bił ich pięściami i natychmiast raczył przyjacielską poufałością. Tylko na surowe kary, ani na chłostę, ani na przykuwanie do ściany nie skazywał. Postępował jak dobrotliwy awanturnik, który napady furji przeplatał wybuchami czułości. Rozkiełznał się również w stosunku do kobiet. Wyłowiwszy młodsze, utworzył z nich sobie harem, z czego one były przeważnie zadowolone. Nato-

miast załoga męska protestowała przeciw temu hardo w tłumionych złorzeczeniach i głośnych pokrzykach.

— Gdyby przynajmniej dał nam starsze — mówili oburzeni.

Wreszcie wynaleźli sposoby tajemniczych spotkań. Wtedy w rozstrojonej katordze obok innych nadużyć, zapanowała bezwstydną rozpusta.

W tej otchłani zbrodniczych instynktów i nieposkromionego barbarzyństwa Twinko czuł się jakgdyby zanurzonym w cuchnące bagno. Obawiał się nawet nie-nawistnych za swoje uprzywilejowane stanowisko i za odrazę, którą okazywał dzikiemu rozbestwieniu. Jedynymi jego sprzymierzeńcami byli czyści moralnie i łagodni duchoborcy, którzy ani na chwilę nie ugięli się i nie załamali pod naporem zdrożnych pokus i żądań. Przekonawszy się, że najgorsze prawo jest lepszym od bezprawia, wyczekiwali niecierpliwie nowego komendanta. Ale on się nie śpieszył, nie wiedzia-no, kto był mianowany.

Bezrząd i bezład trwał trzy tygodnie. Nareszcie pewnego dnia nadciągnęły obładowane wozy i kryta płótnem bryka. Przyjechał komendant.

Katorga natychmiast uspokoiła się, jakgdyby ją ogarnął paraliż. Przybiegł Smirnow, który przywitał zwierzchnika i wprowadził do mieszkania, zanieczyszczonego jego hulankami. Twinko usłyszał przez ścianę:

— A to co? Chlew?

V.

Po kilku dniach wypoczynku, w których strudzony długą podróżą komendant ciągle leżał, aresztantom kazał zebrać się na podwórzu. Ugrupowali się oddziałami. Twinko i jego towarzysze duchoborcy stanęli osobno. Zdawało mu się, że ulega złudzeniu, że z dawnych zamglonych wspomnień wynurzyła się przed nim postać, że patrzy na wydobyte z grobu swoje pogrzebane życie, że widzi jego martwe i zapadłe oblicze, gdy w nadchodzącym poznał Płutowa w mundurze generała.

Komendant wyglądał zmęczony, poruszał się wolno, przemówił spokojnie.

— Obejmuję zarząd katorgą po człowieku zacnym, którego będę naśladował. Przedewszystkiem żądam od was posłuszeństwa. Możecie zawsze liczyć na moją sprawiedliwość, ale nigdy na pობłażanie. Wszelkie występki będą surowo karane, a karać was za nie będę nie ja, lecz wasze złe czyny. One was tu przyprowadziły i nie odstępują. Strzeżcie się ich, bo to są wasze szatany. Rozejdźcie się do waszych robót.

Podczas tego przeglądu, zdawało się, że na Twinkę nie zwrócił uwagi, ale go zaraz wezwał do swego mieszkania.

— Pan mnie poznaje? — zapytał wchodzącego.

— Czyż mógłbym nie poznać tego, któremu zawdzięczam obecne moje położenie?

— Przedewszystkiem zawdzięczasz je pan sobie. Pańska wina była daleko mniejsza, niż wymierzona za nią kara, ale sam tego chciałeś. Kłamstwo jest środkiem dozwolonym w obronie swego życia, jeśli wszakże ono nie godziło się z pańskim charakterem, to mogłeś przynajmniej milczeć. Tymczasem zamiast zamknąć lub przyknać swoją szczerłość, otworzyłeś ją naościę i porobiłeś wyznania karygodne, których wcale nie żądałem i które mogłeś zataić.

Twinko nie chciał jeszcze raz wyciągać ojca z grobu i usprawiedliwiać nim swojego postępowania, którego skutki już nie mogły być zmienione, więc nic nie odrzekł.

— Bądź co bądź — mówił dalej Płutow — bardzo mi przykro widzieć pana w tym stanie i będę się starał oszczędzić panu wszelkich dolegliwości. Mam nadzieję, że wkrótce będę do tego upoważniony przez władzę, u której czynione są usilne starania. Usiądź pan, pomówimy o tem, co pana interesuje. Bo zapewne przez cały czas pobytu w katordze nie odbierałeś wiadomości z kraju.

— Żadnych — odrzekł Twinko, siadając wobec komendanta po raz pierwszy od sześciu lat.

— Bracia pańscy żyją — ciągnął Płutow. — Nie mogli podołać wysokiej kontrybucji i sprzedali fabrykę Niemcowi, u którego obecnie pracują. Pani Wyszo-gorska...

— Wolę niczego więcej się nie dowiedzieć — prosił Twinko.

— Ach, panie, jesteś bardzo mocnym, wytrzymałeś mężnie największe ciosy, jakie na człowieka spaść mogą, a lękaś się usłyszeć wiadomości o osobach, które związały się z twojem życiem... To dziwne.

— Niech pan mówi — rzekł Twinko, z bolesną od wagą.

— Pani Wyszogorska poślubiła swego rządcę Grudka, służąca pańska wyszła za ogrodnika, a jej synek chowa się doskonale, Leniszki hrabia wypuścił w dzierżawę kapitanowi żandarmskiemu Krutowowi, za którym podobno stoi ukryty karczmarz Goldkopf. Wszystko to polecił mi zakomunikować pan Kobrycz. To jest dzielny człowiek. Ma obecnie posadę przy Towarzystwie Wyścigów Konnych w Petersburgu i wpływo we stosunki, a myśli tylko o panu. Jestem przekonany, że on wyrobił dla pana ulgi w katordze. Może później przypomnę sobie więcej szczegółów interesujących pana. Tymczasem dowidzenia. Poza urzędowemi spotkaniami bądźmy znajomymi, a nawet — jeśli pan się zgodzisz — przyjaciółmi.

Podał mu rękę. Po raz pierwszy od sześciu lat Twinko dotknął ręki komendanta. Odchodząc, zatrzymał się i zapytał.

— Czy może mi pan powiedzieć, co się stało z Wokalskim, przez którego byłem aresztowany?

— Mniemany Cyprjan Wokalski, a rzeczywisty Zdzisław Zieliński rozchorował się w więzieniu wileńskim na tyfus i umarł. O jego prawdziwym nazwisku dowiedzieliśmy się z kartki, pozostawionej przez dziewczynę publiczną, która kiedyś była jego kochanką, a po jego śmierci otruła się.

Twinko nie mógł niczem się zająć, zamknął się w swojej izdebce i usiłował zwichrzone myśli doprowadzić do jakiegoś spokoju i równowagi. Rozmowa z Płutowem była najsilniejszym wstrząśnieniem przez czas pobytu w katordze. Ukazała mu ona cały widok tego okresu życia, na który zapuścił gęstą zasłonę i którego nie spodziewał się i nie chciał oglądać nawet w marzeniu. Teraz musiał kolejno przesunąć się myślą po tych osobach, które nosił w swem sercu. Naprzód stanęła przed nim Łucja. Zapewniała wielokrotnie, że go kochała, że pragnęła z nim się połączyć, a obecnie kocha i połączyła się ze swoim rządcą.

— Wypadek zupełnie naturalny — myślał. Przecież oświadczyłem jej wyraźnie, że nigdy nie będzie moją żoną i po tem oświadczeniu unikałem prawie dobrowolnie. Czegoż więc mogłem oczekiwać? Że zamknie się w klasztorze i w przerwach między modłami do Boga będzie modliła się do mnie? Dlaczego miałyby zapomnieć o sobie i pamiętać tylko o mnie? My egoiści żądamy, ażeby wszyscy ludzie, których sobie upodobamy, zrzekli się swoich własnych pragnień i tylko zadawali nasze, ażebyśmy mogli ich kanonizować za cnoty i męczeństwa dla nas poniesione. Dziwna pretensja, z której życie drwi słusznie. Zresztą kwiatami naturalnymi bywają zwykle dzieci, rzadko dojrzały mężczyźni, a najrzadziej kobiety. Z wyjątkami tak nielicznymi jak genjusz, jak nowopowstałe gwiazdy, jak wszelkie nadzwyczajne twory przyrody, kobiety są to kwiaty sztuczne, wyrobione przez tresurę wychowania, obyczaj i modę. Mogą posiadać piękny kształt i barwę, ale nie posiadają woni niepodrobio-

nego życia. Kobieta zatracca w stroju prawdę swego ciała, w postępowaniu prawdę swojej duszy. Jest to chodząca mumja, owinięta w mnóstwo balsamicznych tkanin. Potrzeba wielkiego trudu, ażeby ją z nich rozwinąć i przekonać się, że twarz wymalowana na wierzchu zwoju jest niepodobna do rzeczywistej w jego wnętrzu. Może ją krzywdzę, Łucję? Zdaje mi się, że sądzę ją sprawiedliwie, bo nie mam do niej najmniejszego żalu. A Sabina? Serce niezłożone, jednokomórkowe, potrzebujące napełnić tę komórkę jakąś krwią miłosną. Kochała mnie, teraz kocha Podlaskiego i jest zadowolona. Radbym widzieć, jakim jest Tadzio i mieć go przy sobie, jeśli nie jest jeszcze zepsuty.

Długo jeszcze osnuwał myślami te trzy osoby.

— Dobrze się stało — mówił do siebie — że bracia nie mogli pokryć kontrybucji i musieli sprzedać fabrykę. Znikło posądzenie, że mieli pieniądze w spadku po ojcu. Ale Kobrycz jest zadziwiający. Nie przypuszczałem w nim tyle energii i tyle przyjaźni dla mnie. Chciałbym go jeszcze kiedyś zobaczyć i uścisnąć.

Po nocy mniej przespanej, niż przemyślanej, Twinko wstał rano spokojniejszy i zajął się pracą w ogrodzie. Nie przestawał jednak przy niej rozmyślać nad otrzymanymi wiadomościami i często przerywał, zapadając w długą zadumę. W takiej chwili opartego na motyce i zapatrzonego w przestrzeń zastał Płutow. Pomimo ogromnej odległości między pozbawionym wszelkich praw skazańcem a jego uprzywilejowanym zwierzchnikiem, pomimo naturalnej niechęci Rosjanka do Polaka i urzędowej odrazy żandarma do rewolucjonisty, Płutow czuł sympatję do Twinki i pragnął

mu ją okazać dowodami. Składała się na nią jego nie-
stępiona zupełnie w służbie carskiej wrażliwość na
czyny szlachetne, wybredna towarzyskość, wspomnie-
nie o poprzednim stanowisku obecnego więźnia, a może
nawet i odrobina wyrzutu sumienia, że był współ-
sprawcą jego niedoli. Chciał on z nim pomówić w ogro-
dzie o czemkolwiek, ale ujrawszy go zatopionego
w myślach, których przedmioty odgadywał, cofnął się
niespostrzeżony. Twinko zaczął znowu pleć i przeko-
pywać warzywa. Dochodziło południe skwarne i znojne.
Od baraków katorgi dochodziły go głosy, zmiesza-
ne w zgiełk. Położył motykę i pospieszył w kierunku
wrzawy. Na placu więziennym stała kupa mówiących
hałaśliwie aresztantów z kopalni, a przed nią podofi-
cer, trzymających pęk łańcuchów z kajdanami.

— Czy to my ich nie mamy dosyć na rękach i no-
gach — dowodził jeden — ażebyśmy potrzebowali
kraść?

— Przecież wolelibyśmy kraść srebro, niż żelazo,
którego nikt nie kupi.

— I za żelazo można dostać wódki, a blisko kator-
gi są tacy, którzy wam jej dostarczają.

— Nie wiemy. W każdym razie nikt z nas nie wi-
nien.

— Więc łańcuchy same przysły z magazynu pod
twój tapczan — tak?

— Ktoś je podrzucił przez zemstę.

— No, to poszukajcie tego ktosia, a jeśli go nie
znajdziecie, to za niego nadstawisz grzbiet.

Płutow przypatrywał się tej scenie zdala. Gdy więź-
niowie udawali się na obiad, skinął na Twinkę.

— Jak w podobnych wypadkach postępowali moi poprzednicy?

— Panie generale, ja nie mogę być podręcznikiem kar wymierzanych w katordze. Staram się nawet o nich zapomnieć.

— Przepraszam — rzekł Płutow — bardziej niezadowolony ze swego pytania, niż z otrzymanej odpowiedzi.

Katorga nie zdradzała się nigdy jawnie, ale zdradzała się często tajemnie. Zawsze krył się w niej zamaskowany donosiciel, który w ważniejszych wypadkach zawiadamiał władzę. Wkrótce też wysledzono, że na nocnej naradzie aresztanci postanowili wypróbować surowość nowego komendanta, ażeby do niej zastosować swoje postępowanie. W tym celu głosowaniem wybrany został najzręczniejszy złodziej, który ukradł pud łańcuchów kajdanowych i schował pod swym tapczanem. Codzienna rewizja baraku wykryła je łatwo.

Płutow, dowiedziawszy się od Smirnowa o karnych zwyczajach katorgi, skazał winnego na chłostę, zmniejszył ją tylko z pięciuset do stu uderzeń. Nadto wyznaczono do niej „szklarzów”.

Wieczorem przywołał do swego mieszkania Twinkę. Zamknął drzwi, zasłonił szczelnie okna, wskazał krzesło, nalał z samowara dwie szklanki herbaty i zapraszając gościa do picia, mówił:

— Muszę zachować pozory naszego urzędowego stosunku, ale uważać pana będę za towarzysza, z którym chciałbym spędzić samotne godziny na poufnej rozmowie. Wzajemnie niech pan zapomni, że byłem

żandarmem i jestem pańskim zwierchnikiem. Żyję tu samotny wśród zbrodniarzy i głupców administracyjnych, a przytem reszta sił pozostałych po życiu nieopatrzmem, gorączkowym i niszczącym wymaga podniety w obcowaniu z ludźmi kulturalnymi. Nie przyjąłbym tego przykrego stanowiska, gdyby go nie połączono z rangą genéralską. Nie mam jednak zamiaru długo się tu męczyć. Byłem i jestem tego przekonania, że życie jest to wielkie drzewo,, którego każda gałąź rodzi inne owoce: słodkie, kwaśne, gorzkie, posilne, trujące. Jako człowiek praktyczny, starałem się zawsze zrywać tylko smaczne, chociaż nie zawsze zdrowe. Wiem, że pan, który sam dobrowolnie przybiłeś się i wiesz na swoim krzyżu, moja filozofja wydaje się szpetną, ja jednak nie tylko jej się nie wstydzę, ale zalecam panu. Samolubstwo jest uczuciem nakazanem przez naturę, która każdej istocie zaleciła dbać o siebie. Nie widzę w tem ani rozumu, ani słuszności, ażeby człowiek uszczęśliwiał się przez innych, a nie sam przez siebie. Czemu ja mam poświęcać się dla Piotra, Pawła, Mikołaja, a oni dla mnie, zamiast żeby każdy z nas poświęcał się dla siebie? Poco ta okólna droga zdobywania szczęścia, kiedy pewniejsza jest prosta. Tyle pan wycierpiałeś na pierwszej, że może już dziś wybrałbyś drugą. Życząc panu dobrze, do niej namawiam.

— Nie pojmuję jasno, do czego właściwie pan generał mnie namawia?

— Do tego, ażebyś pan zapomniał o Polsce, poświęcaniu się dla nich i myślał sam o sobie. Wtedy znajdziesz pan wyjście z obecnej niedoli, która ani tobie,

ani nikomu nie przynosi żadnej korzyści. Męka pańska jest bezpłodna, bezużyteczna, bezcelowa, a nie uwolnisz się od niej wytrwałością w cierpieniu.

— My, panie generale, jesteśmy ludźmi odmiennej natury i nie rozumiemy się wzajemnie. Pan należy do narodu niewolników niepragnących wolności, a ja do niewolników miłujących tę wolność ponad wszystko i pragnących pokonać wrogów, którzy mi ją odebrali. Pan swoim narodem gardzi, a ja mój kocham.

— Pan kochasz nie rzeczywistość, ale marę. Byłem żandarmem, więc miałem sposobność przenikania w tamtejsze pobudki twoich rodaków i widziałem w nich to, czego pan widzieć nie mogłeś. W ich duszach nie jest tak czysto i jasno, jak pan sądzisz. Tam są grube warstwy brudu, pokryte upiększającą obłudą. Zastanów się pan, kogo kochasz? Czy lud wiejski, który sprzeda swą wierność każdemu rządowi za kawałek ziemi i zgina grzbiet pod najsroźsze jego baty, który nigdy się nie poświęca, a zawsze chwyta korzyść własną? Czy kochasz pan obywateli ziemskich, którzy tajemnie wymyślają, a jawnie skaczą przed niemi jak tresowane pudle, których żony i córki kupują u przeklinanych moskali rozmaite przywileje i ulgi za swe cnoty? Czy kochasz pan magnatów, którzy gotowi są być stopniami każdego tronu, którzy karmią swą pychę najobrzydliwszemi łaskami władcy i chcieliby wskrzeszenia Polski, ażeby ją wyzyskać lub sprzedać? Czy kochasz pan sfanatyzowane, nienasycone w swej chciwości duchowieństwo, które w „Ojczyźnie” modli się o chleb tylko dla siebie, a w przykazaniach umieszcza źródła swoich dochodów i wszechwładzy? Czy

kochasz pan mieszczaństwo, utożsamiające handel z oszustwem? A może pasożytnicze robactwo żydowskie?

— Jeśli naród polski jest takim, to zawdzięcza to wam.

— W takim razie wasza historja kłamie i spotwarza, bo przedstawia go takim nawet wtedy, kiedy był wolnym. Nie przeczę, że w nim była i jest dobra częśćka ludzi godnych szacunku, ale to nie jest naród. Ja pańskiego nie znieważam, bo to samo albo jeszcze gorzej myślę o moim. Nie umiem i nie chcę się łudzić, naród rosyjski jest również spodlony i wcale z niego nie wyłączam siebie. Jestem realistą szczerym.

Gdy Twinko milczał zamyślony, Płutow po krótkiej przerwie mówił:

— Przepraszam, jeżeli sprawiłem przykrość, ale zrobiłem to doprawdy z sympatji i chęci wyleczenia pana z przesądu patryjotycznego. Dziś sprawa przedstawia się zupełnie jasno—pan jej nie znasz, bo od przyjścia do katorgi nie odbierałeś żadnych wiadomości. Wiesz pan tylko tyle, że emigracja polska we Francji postanowiła przygotować powstanie w zaborze rosyjskim, a jeżeli się uda — w innych. Na tę robotę wysłała do Galicji, Poznańskiego i Królestwa kilku agitatorów, którzy mieli zbuntować wszystkie klasy społeczne, zwłaszcza lud przeciwko rządowi. Jeden z nich zwrócił się do pana i otrzymał obietnicę czynnego współdziałania. Na ten cel przeznaczyłeś pan swoją część spadku po ojcu ze sprzedanego majątku, namawiając do takiej samej ofiary siostry i braci, którzy się na nią nie zgodzili. Jaki był plon tego siewu? W Poznań-

skiem, lud trochę się podąsał, w Królestwie Polskiem ani drgnął, w Galicji wyłowił i oddał rządowi powstańców, a przy sposobności wymordował obywateli ziemskich, nie oszczędzając najlepszych i dla niego najżyyczliwszych. Za tę wierność cesarz rosyjski wynagrodził chłopów ukazem krępującym samowolę panów, cesarz austriacki uwłaszczeniem i wolnością, a król pruski, ponieważ dał im to dawniej, dołożył rozmaite łaski i drobrodziejstwa gospodarcze. Pan zaś za bezgraniczne poświęcenie się sprawie wyzwolenia narodu i uszczęśliwienia ludu dostałeś katorgę.

— Panie generale, pozwól mi być również szczerym: ja panu nie wierzę.

— To mnie nie dziwi i nie obraża. Ponieważ jednak chcę, ażebyś mi uwierzył, dam panu do przeczytania książki i gazety — nie rosyjskie i nie cenzurowane, ale polskie i zagraniczne.

Otworzył szafę, wyjął z niej paczkę druków i wręczył Twince, który je pochwycił i nie żegnając się wybiegł.

Przez całą noc, nie zdrzemnąwszy się ani chwili, pochłaniał te polskie znaczki, których od sześciu lat nie widział i zawarte w nich wiadomości, które jak błyskawice rozświetlały mu ciemność obecnego życia. Dowiedział się wielu wypadków, które przewidywał, których się spodziewał, które go cieszyły, smuciły lub przerażały. Przesunęły się przed nim obrazy rzezi galicyjskiej, szubienice i więzienia przyjaciół ludu, przewrotność i nikczemność rządu austriackiego, barbarzyńskie okrucieństwa rosyjskiego, wahadłowe postępowanie pruskiego, wreszcie rok 1848, nazwany „wio-

sną ludów", której rozkoszne kwiaty nadziei szybko zwiędły i zmarzły w suszach i chłodach zawodów. Z różnorodnych i zmieszanych wrażeń wgryzły się w jego duszę szczególnie dwa, które łączyły się z twierdzeniem Płutowa: osłabnięcie patriotyzmu w górnych warstwach narodu i zupełny jego brak w dolnych. Streszczały się one w zdaniu: Polska nie taka jest, jaką on sobie wyobrażał i jaką widzieć pragnął. Z drugiej strony jednak był zły na moskala, że śmiał sponiewierać jego ojczyznę, którą gnębił i zatrutował. Wróg nie ma prawa do potępiania tych, których tyranizuje i upadla. Żandarm nie może być sprawiedliwym sędzią. Tak odpierał w myśli jego oskarżenia, ale ostatecznie przyznawał ze smutkiem: Polska nie jest taka, jaką miłowałem.

Nazajutrz odniósł druki komendantowi, podziękował i rzekł:

— Dowiedziałem się wielu rzeczy smutnych, ale nie tak je rozumiem, jak pan generał. Ludzie żyjący w strasznej niewoli nie mogą być ideałami. W wolności byliby inni, godni szacunku i kochania.

— Ta wiara jest równie naturalną w Polaku, jak niewiara w Rosjaninie — powiedział Płutow. — Upewniam, że nie miałem zamiaru osłabić jej w panu. Mówiłem tylko jak człowiek, który chce widzieć rzeczywistość bez złudzeń. Służba w żandarmerji nauczyła mnie krytycyzmu, a może nawet pesymizmu. Chociażby to było wadą, już się nie rozstanę.

Twinko skłonił się i odszedł do roboty w ogrodzie.

VI

Wolnym krokiem zbliżała się jesień, ta smutna pora roku, w której natura stara, zwiędła, zżółkła, gotuje się do śmierci zimowej, rozdziela pomiędzy ludzi wszystkie swe płody, które wytworzyła i zgromadziła przez wiosnę i lato. Poranki okrywały się sinym szronem i owijały się w gęste mgły, które niekiedy wiatr rozdzierał i rzucał w górę na deszcz lub wtlaczał w ziemię na pogodę. Na igłach sosen i jodeł, nieogrzanych przez słońce, tworzyły się już ze skrzepłej rosy ostre szpilki lub kulki lodu.

Długie wieczory wypełniał Twinko czytaniem gazet, których mu dostarczał Płutow. Przez nie związał się znowu ze światem, od którego dotąd był odgradzony ścianami katongi. Po szlakach tego związku zaczęły napływać fale myśli i uczuć, które tak długo nie miały dostępu do jego umysłu zamkniętego w ciasnym kręgu spraw, wypadków i skąpych wrażeń pokuty więziennej. W popiele jego przepalanej duszy przechowały się iskierki dawnego ognia, który silny podmuch nowych wiadomości chwilowo rozżarzył, ale już nie zdołał rozniecić ich w płomień. Są ludzie jak figury wycięte z drzewa lub odlane z gipsu, których uszkodzenia można naprawiać bez śladu. Twinkę natura wykuła z kamienia; można było w nim wyłatać szczyrby po gwałtownych uderzeniach losu, ale

już niepodobna było przywrócić mu dawnej postaci jednolitej. Pozostał statuą zdruzgotaną. Jeszcze podczas pracy w kopalni i mieszkania w baraku, kiedy nie wolno mu było posiadać żadnych materiałów do pisania, oderwane myśli notował drucikiem ołowianym na papierkach od proszków aptecznych. Przeniesiony do kancelarji mógł to już łatwiej czynić piórem lub ołówkiem na skrawkach papieru. Uwolniony od kajdan i osadzony w osobnej izdebce, zaczął spisywać rodzaj pamiętnika rozmyślań. Były to wrażenia, spostrzeżenia i uwagi luźne, niepowiązane i często sprzeczne. Przed utratą wolności miał on więzankę zasad stałych, z których ułożył sobie katechizm urzędowości prywatnej i publicznej, z pacierzem patrijotycznym, ale ten regulator myśli i czynów ograniczał się do wypadków i stosunków życia powszedniego, rozszerzającego się jedynie w kierunku spraw narodowych. Na wszechświat spoglądał przez okna swego skromnego domu, dostrzegał w nim zjawiska i tajemnice, które chwilowo zaprzętnęły jego umysł, ale ich nie zgłębiał i nie próbował przenikać. Albo one nie zajmowały go dość mocno, albo on nie czuł w sobie dość siły do rozważania ich w nieprzerwanym ciągu. Był o tyle myślicielem, o ile tego wymagał wzór zacnego człowieka i gorącego patrijoty. Polacy nie okazali wielkich zdolności do filozofji; być może, im nie dała ich natura a może zużyli je na rozpamiętywanie swej niedoli, która pochłaniała całą ich uwagę po za granicami celów i starań powszednich. Katorga uwolniła Twinkę od tych zabiegów, zamknęła mu również pole czynnej walki z ujarzmi-

cielami narodu, natomiast otworzyła mu pole zagadnień ogólnoludzkich. Musiał filozofować.

Pobudzały go do tego również częste i długie rozmowy z Płutowem i duchoborcami. Pierwszy wstrzykiwał mu codziennie dawkę goryczy. Jego dowodzenia rozwijały się z kilku reguł, które uważał za najcenniejszą zdobycz swego życia. Według niego fortuna urządza ciągle loterję z małemi i wielkimi wygranemi. Szczęście jednak w tej grze rozdziela ona kapryśnie i nie można na nie liczyć. Wszyscy ludzie są egoistami, okrywającymi swą szpetną nagość strojem życzliwości dla bliźnich. Kobieta przewyższa mężczyznę w samolubstwie i obłudzie. Ona tak maluje swoją duszę miłością, jak twarz farbami. To też prawdziwej kobiety nikt jeszcze nie widział, każdy tylko jej się domyśla. Wogóle ludzie żyją we mgle, która nie pozwala widzieć ich dokładnie i którą od czasu do czasu rozdziera jakiś wicher i na chwilę ukazuje ich postacie rzeczywiste. Życie stawia ludzi na skrzyżowaniu wielu dróg, a mądrością jest wybór najbezpieczniejszej i najkorzystniejszej, chociażby była najdłuższą i najbardziej zgięta lub połamana.

Między ludźmi oświeconymi najnieszczęśliwsi są przeważnie esteci i moralisci, którzy chwytają to, co jest pięknem lub dobrem, nie zważając, czy jest korzystne. Czynią oni tak, jak gdyby wyszedłszy do lasu na grzyby zbierali barwne muchomory a omijali skromne borowiki. Ładna kobieta jest zwykle muchomorem pięknym a trującym. Świnia jest brzydka i brudna a ma mięso smaczne i pożywne; lew jest piękny i czysty a ma mięso wstrętne. Człowiek po-

winien przeklinać nie innych ludzi, lecz własną głupotę. Życie jest katogą dla tych, którzy z moralności, poświęceń i miłości bliźniego ukuli sobie kajdany i skazali się na więzienie.

— Jestem dziś generałem, mam wysoką pensję i zapewnioną emeryturę, a gdybym był uganiał się za tem, co wzniosłe i szlachetne, orałbym dotąd dziesięciomorgową ziemię po ojcu, który czcił swoje szlachectwo, pomagał sąsiadom i oskarżał rząd a pogrzebany został za pożyczone pieniądze.

Z tych pogadań wieczornych Twinko wychodził niezadowolony, jak gdyby odurzony trującym dy-mem, który jednak nie wietrzył mu z umysłu i pozostawiał pewien osad. Powróciwszy do swojej izby noclegowej musiał znowu przed snem wysłuchać ciepłej i słodkiej teologii swoich towarzyszków duchoborców, którzy ciągnęli go w przeciwnym kierunku.

— Czemu ty się nie modlisz? — pytał go najwymowniejszy i najgorliwiej apostołujący swoją wiarę.

— Do kogo? Bóg albo nie wie o istnieniu katogi, albo jej nie odwiedza.

— Mylisz się — dowodził sekciarz. — Bóg jest w każdym uczciwym człowieku, jest również w tobie.

— Jeśli jest we mnie — odparł Twinko — to kieruje mojemi myślami i czynami.

— Mylisz się, on ci pozostawił wolną wolę, jako najwyższy rozum sądzi twoje myśli i czyny, poleca swojemu Synowi, ażeby w twojem sercu budził najszlachetniejsze uczucia a Duchowi Świętemu, ażeby je utrwalał pamięcią. Ludzie są względem siebie wrogami, a powinni być przyjaciółmi. Gdyby się czcili

i miłowali wzajemnie jak przybytki boże, przekonali by się, że ich dusze są czyste, że nie rodzą złych chęci, tylko dobre, że mają wstręt do występku a upodobanie w cnocie. Zburzyliby wszystkie więzienia lub prze-robiliby je na szkoły i domy nauki, stworzyliby sobie życie spokojne, miłe, szczęśliwe a Chrystus przechadzałby się między nimi widzialny i promieniejący.

— Taki tylko Bóg jest prawdziwym Bogiem — odparł Twinko — który posiada wszechmoc i wykonywa ją. Czemuż więc wasz pozwolił, ażeby was niewinnych skazano na katorgę?

— Katorga — prawil duchoborca — to jak choro-ba, jak grad lub powódź i inne klęski, które niszczą tylko ciało a dusz nie dotykają. Pod opieką boską dusze nasze pozostały w nieszczęściu takie same, jak były w szczęściu.

— Czy Bóg przebywa również w tych zbrodniarzach — zapytał Twinko — którzy tu pokutują i ani myślą się poprawić, przeciwnie, sławią swoje występki i obiecują je popełnić, gdy odzyskają wolność?

— Trójca Święta — odpowiedział duchoborca — przebywa również w nich. Bóg Ojciec usiłuje wskrzesić ich martwy rozum, Duch Święty przypomina im dobre czyny a Syn Boży zasmucony czeka na ich poprawę i czasem w ich duszach płacze.

Twinko widział naiwność ich wiary, wywierała ona jednak na niego pewien wpływ urokiem swej czystości. Najwięcej też miał punktów łącznych z duchoborcami.

Na takich dysputach i zajęciach domowych lub

kancelaryjnych minęła zima i nadeszła wiosna 1853 roku. Telefon radjowy istniał i działał przed wynalezieniem stacyj i przyrządów chwytających fale głosowe. Pomimo wielkiego oddalenia i przeszkód tamujących komunikację, wieści ze świata, chociaż zmacone i niewyraźne dochodziły do katorgi. Przypłynęła też do niej fala z wiadomością, że pomiędzy Rosją a Turcją i mocarstwami zachodnimi przygotowana się wojna. O co i dlaczego — nikt nie umiał objaśnić, wiedzano tylko, że pod olbrzymiem państwem carskiem zatrzęsa się ziemia i że nad niem zerwie się burza i uderzą gromy. Ludzie uciemiężeni tyranją zawsze od takich katastrof spodziewają się wyzwolenia. Więc również załoga katorgi oczekiwała jakiejś zmiany. Dla Twinki wieść ta zawierała tylko zapowiedź urozmaicenia częściej i nudnej treści gazet. Zbyt dobrze bowiem znał zaciekły despotyzm cara Mikołaja, ażeby mógł przypuszczać w nim gotowość do jakichkolwiek ustępstw. Przewidywanymi wypadkami interesowała się tylko jego dość zresztą wstrzemięźliwa ciekawość, a nie nadzieja.

Pewnego dnia, gdy zajęty był sianiem warzyw w ogrodzie, przywołano go na plac więzienny. W czterech rzędach stali uszeregowani aresztanci kajdani a przy nich osobno mała grupka bez kajdan. Do nich dołączył się Twinko. Wyszedł z kancelarji Płutów w paradnym mundurze z orderami i papierem w ręku. Nakazawszy milczenie i baczność, czytał:

— Najjaśniejszy pan oceniając w swej niewyczerpanej dobroci przykładowe zachowanie się i skruczę dziesięciu odszczepieńców od cerkwi prawosław-

nej (tu wymienił ich nazwiska) oraz przestępcy politycznego Jana Twinki, raczył objawić im swoje dalsze miłosierdzie i rozkazał: uwolnić z katorgi i pozwolić na osiedlenie dożywotnie w Syberji z prawem wyboru miejsca w obwodzie Nerczyńskim.

Aresztowani rozeszli się z pomrukiem i poszeptem rzuciwszy nienawistne spojrzenia na ułaskawionych. Twinkę zabrał ze sobą Płutow do swego mieszkania.

— Winszuję panu swobody — rzekł, wskazując mu krzesło. — Nie jest ona jeszcze zupełną, ale i taka przyjdzie, bo ktoś w Petersburgu opiekuje się panem. Jestem pewien, że niedługo pozwolą panu wrócić do kraju. Ja stracę miłego towarzysza i pożytecznego pracownika, ale cieszę się z rozstania, bo dobrze panu życzę. Gdzie chcecie osiąść?

— Nie wiem, w obwodzie Nerczyńskim znam tylko katorgę.

— Poszukamy najlepszego miejsca. Wolałbyś pan miasto, czy wieś?

— Wolałbym kawałek urodzajnej ziemi.

— W Syberji jej nie brak. Rząd ma tu wielkie obszary niezaludnionej ziemi, którą sprzedaje, wydzierżawia i darowuje. Bez wielkich starań można dostać darmo tyle, ile się zechce. Ale, panie Janie, czy warto z ciężkiej roboty w katordze przechodzić na ciężką robotę w ziemi? Takie osady są zawsze oddalone od większych zbiorowisk ludzkich, otoczone pustką, wystawione na rabunki koczowników. Nadto rząd wyznacza osiedleńcom za ledwie pięć rubli miesięcznie na zagospodarowanie się. Za co pan wysta-

wisz najkonieczniejszą chatę, kupisz konia, wóz i narzędzia rolnicze?

— Nie będę ich potrzebował. Wystarczy mi siekiera i łopata. Domek jednoizbowy łatwo sobie zbuduję, tam co zasieję, dostatecznie się wyżywię i jeszcze coś sprzedam na odzież. A bez ludzi sie obejdę.

— Panie Robinsonie, wszystko to odbywa się gładko i wygląda ładnie tylko w powieści. W rzeczywistości inaczej. Mówisz pan jak renifer, któremu wystarcza szopa i mech wygrzebany z pod śniegu, zapominając, że jesteś człowiekiem kulturalnym. Posłuchaj pan mojej rady. Osiądź w pobliżu Nerczyńska, nad rzeką. Możesz uprawiać warzywa, które dobrze sprzedasz, ale przede wszystkim poluj, łow ryby i handluj. W Rosji nie robi się kariery pracą, tylko łaską carską lub handlem. U nas prosty chłop może być milionerem. Gdybym miał w młodości moje doświadczenie, a nie miał ojca z ambicją wojskową, zostałbym kupcem i posiadał w magazynie beczki złota, z których ofiarowałbym teraz carowi na koszt wojny.

— Ja wcale złota nie pożądam — odrzekł z lekkim uśmiechem Twinko.

— Niepodobna powiedzieć większego bluźnierstwa! — wykrzyknął Płutow. — Bez obrazy najjaśniejszego pana rzecz można, że złoto jest potężniejszym od niego. To rzeczywisty wszechmocny bóg, do którego wszyscy bez wyjątku się modlą. Cesarz nie pyta codziennie, jak się ma feldmarszałek lub minister, ale pyta troskliwie, jak się ma rubel. I z pew-

nością odprzedałby panu Królestwo Polskie a może nawet pomógł do odzyskania dwóch innych zaborów, gdybyś mu drogo zapłacił. Zbierz pan kupę złota, a zamiast piechotą lub kibitką do osady nerczyńskiej, pojedziesz dworską karetą do Warszawy i siądziesz na tronie polskim.

— Kiedy ja nie chcę jechać do Warszawy i wolę do osady nerczyńskiej.

— Polak, zapamiętały patrijota, buntownik, pan nie kochasz swojej ojczyzny i nie tęsknisz do niej?

Kocham i tęsknię, ale jeszcze wrócić nie pragnę

— Panie Twinko, masz tak dziwaczne upodobania, że tylko sam możesz je zrozumieć. Ja ich nie pojmuję i już radzić ci nie będę. Idź za swoją wolą. Tylko jeszcze wyświadczę panu jedną życzliwą usługę: napiszę do Nerczyńska o wskazanie najlepszego miejsca na osiedlenie pańskie i odpowiedź panu zakomunikuję.

— Będę panu generałowi za to bardzo wdzięczny. Tymczasem pracować będę w ogrodzie.

Skłonił się i wyszedł.

— Nawet najmądrzejsi i najuczciwsi z Polaków są jednak warjatami — pomyślał Płutow. — Szczególny naród! Narwany, hardy i rozwichrzony a sympatyczny. Silni oni nigdy nie będą. Pozostaną zawsze miłymi niewolnikami.

Po dwu tygodniach Płutow otrzymał z Nerczyńska od naczelnika żandarmów wykaz miejsc zaleconych do osiedlania skazańców wypuszczonych z katorgi. Wbrew jego namowie Twinko wybrał oddalone od miasta i siedzib ludzkich, otoczone wysokimi

wzgórzami i cisowym lasem, położone nad rzeką. Do uprawy wyznaczono mu około pięciu morgów.

Uwolnieni wraz z nim duchoborcy postanowili osiąść w tej samej okolicy. Niewiadomemi drogami z niewiadomych źródeł, prawdopodobnie od swoich współwyznawców z Rosji, otrzymali oni przedtem pieniądze. Zaczęli też spieszenie przygotowywać się do wyjazdu, a gdy Twinko zwierzył się im, że nie posiada żadnych środków do zagospodarowania się i będzie musiał jeszcze przez jakiś czas pozostać w katordze, najstarszy odrzekł:

— Nie kłopotz się. My ci damy na urządzenie się. Jeśli będziesz miał, oddasz, a jeśli nie będziesz miał, nie oddasz i nie będziemy żywili do ciebie żadnej urazy. Chociaż o tem nie wiesz, jesteś duchoborcą, bo w tobie mieszka Trójca Święta...

Kupili wóz i konie, spakowali swoje skromne rzeczy i mieli nazajutrz wyruszyć o świcie, gdy przed wieczorem Płutow wezwał do siebie Twinkę.

— Dzisiejsza poczta przyniosła dla pana list i pieniądze.

Twinko wyjął z otwartej koperty papier i czytał:

„Zawsze nam drogi bracie. Dowiedzieliśmy się przez Kobrycza, że jesteś przeniesiony z katorgi na osiedlenie. Dziś dopiero wolno nam odezwać się do ciebie i okazać ci pomoc w nieszczęściu. Gdy nam doniesiesz o miejscu swego zamieszkania, napiszemy obszerniej, tymczasem posyłamy ci 200 rubli i tyle pozdrowień, ile nagromadziło się w naszych smutnych sercach, okrytych żałobą po utracie najukochańszego brata i przyjaciela. Mikołaj i Leon”.

Drżały Janowi usta, drżały załzawione oczy, drżały ręce, gdy czytał te słowa, pierwsze od siedmiu blisko lat, jakie przypuszczono do niego od braci.

— I ja się cieszę — rzekł Płutow — z tego związania przerwanych między wami stosunków rodzinnych. Mam uzasadnioną nadzieję, że niedługo będziecie rozłączeni. Przyszedł czas, który nakazuje rządowi łagodność dla Polaków. Bądź pan zdrow i zwróć się do mnie w każdym wypadku, w którym będę mógł być ci pomocnym. Ja panu zawdzięczam wiele, nauczyłeś mnie oceniać wartość ludzi bezwzględnie uczciwych, a nadewszystko wierzyć, że oni istnieją. A o tem przekonać byłego żandarma bardzo trudno. Żegnaj pana z najlepszymi życzeniami.

Uścisnął rękę Twinki, który wymówił tylko: „Dziękuję” — wyszedł, ale zaraz powrócił i w otwartych drzwiach powiedział:

— Pięciorublowej zapomogi miesięcznej zrzekam się.

Zaledwie brzask rozlał się po niebie bladą jasnością, duchoborcy wraz z Twinką wyruszyli do miejsca przeznaczenia. Szli przy wozie, na którym leżały ubogie węzélki i kilka sprzętów. Jan pozostał w tyle, zatrzymał się i spojrzął na pograżoną w mroku katorgę. Szybko przebiegł myślą historję swojego w niej pobytu, wszystko czego doświadczył, co przecierpiał, co w nim narodziło się, zamarło i zmartwychwstało. Z uczuciem odrazy i smutku zmieszał się w jego duszy żal po tem, z czem się już zróśł i niepokój wobec tego, co go oczekiwało. W końcu nad ciemnością jego życia zabłysła mała gwiazda nadziei, że to nowe miejsce będzie dla niego progim zupełnej wolności i po-

wrotu do ojczyzny, do której nie przestawał tęsknić, od której jednak odciągały go pewne pobudki, wplecione w wątek pokutniczych rozmyślań. W tej chwili nie umiałby odpowiedzieć, czy chciałby znaleźć się w kraju natychmiast. Otrzeźwił się z rozmarzenia i podążył za towarzyszami, którzy odsunęli się znacznie.

VII

Miejsce przeznaczone dla Twinki było pasem ziemi nadrzecznej, osłoniętej od północy i wschodu łańcuchem wzgórz, porośniętych gęstym lasem iglastym. Rzeka Nercza była rybna, a las zwierzynym. Przed kilkunastu laty osiedlił się na tem miejscu wyzwoleniec katorgi, słynny morderca i rabuś, który próbował uprawiać ziemię pod zboża i warzywa, ale opuścił ją pociągnięty wskrzeszonym nałogiem zbrodni i powrócił do rozbojów. Schwytany zawisł na szubienicy. Pozostały po nim resztki domu, ukryte w gąszczu bujnych chwastów i krzewów. Twinko wybrał plac odsunięty od tej złowrogiej ruiny. Kupił w mieście pud mąki i narzędzia ciesielskie, ściał kilkanaście cisów w lesie rządowym, obrobił je w nim na ściany, pułap, podłogę i krokwie, które pokrył gałęziami z igliwem, ulepił z gliny kuchenkę z wylotem kominowym, wprawił okienko, ułożył warstwę suchego mchu na spanie i po paru tygodniach noclegu na otwartem powietrzu zamieszkał w swej chacie. Z początku żywił się jagodami, grzybami i orzechami, potem pijał herbatę bez cukru z plackiem pieczonym na węglach, wreszcie, zrobiwszy siatkę, łowił ryby, które roiły się gęsto w rzece. Był zdrów i głodu nie cierpiał. W katordze musiał pozostawić ubranie aresztanckie, wyszedł z niej w pożyczonem od duchoborców, zużytem i dla niego zbyt

ciasnem. Z pieniędzy otrzymanych od braci kupił kilkanaście łokci płótna na bieliznę, sukna na odzież i skóry na obuwie. Z tych materiałów sam wszystko uszył. Były to rzeczy niezdarne i niewygodne, ale zabezpieczały ciało od chłodu, który zaczął się pojawiać przy końcu lata w przymrozkach nocnych. Gdy Twinko zrobił łóżko, stół i stołki, miski i łyżki, był po dwóch miesiącach wyteżonej pracy i starań nieźle zagospodarowany w domu i mógł pomyśleć o uprawie ziemi pod zasiewy zimowe. Ponieważ zaś z narzędzi rolniczych posiadał tylko rydel, a z sił roboczych tylko własne ręce, więc zaczął oczyszczać pole z chwastów i kopać. Na tej pracy się znał, więc wykonywał ją najsprawniej. Żył zupełnie osamotniony. Nawiedzały go jedynie dzikie zwierzęta leśne i polne, które śmiało zbliżały się do jego siedziby.

Pewnego wieczoru ktoś zapukał w okno. Twinko otworzył drzwi i ujrzał w mroku duchoborcę znajomego z katorgi.

— Nie gniewajcie się, Janie — mówił przybyły, wchodząc do izby — że tak późno was niepokoję. I czasu dotąd brakło i ostrożność nie pozwalała leżeć ludziom w oczy.

— Gdzie osiedliście? — spytał Twinko, przysunawszy gościowi stołek.

— Ty, Janie, jesteś człowiekiem dobrym, prawdziwym kościołem, tobie mogę powiedzieć. Pięć wiorst stąd, śród lasu. Drogi do nas niema.

— Dlaczego się kryjecie?

— Trzeba. Gdybyśmy żyli na widoku, żandarmi znowuby nas podpatrzyli i zesłali do katorgi za naszą

wiarę, której nie odstępimy. Nie widząc, zapomną, przynajmniej na jakiś czas. Oto dlaczego przyszedłem do ciebie w nocy, ażeby nikogo nie spotkać. A przyszedłem zapytać, czy tobie nie przydałaby się jakaś od nas pomoc. Mamy pieniądze, mamy konie, narzędzia gospodarcze, chleb, ziarno do siewu.

— Dziękuję wam — odrzekł Twinko — konieczne rzeczy już zdobyłem, a inne powoli zdobędę.

— Nie gardź bracie naszą życzliwością, bo ona płynie z czystego serca. Byłem dziś rano na górze i widziałem, że kopiesz ziemię. Przeprowadziłem konia z pługiem i przywiązałem do drzewa za twoją chatą. Zostawię go na kilka dni, gdy zorzesz swoje pole, wieczorem przyjdę i zabiorę.

— Nie, kochany Joachimie, mógłby ktoś zauważyć, że nie wiadomo, skąd dostałem konia, donieść żandar-mom, którzy nademną czuwają i wytropiliby ślad do waszego siedliska.

— W takim razie zorzemy pole dziś w nocy. Chodź.

Poszli niedaleko od domu, wzięli stojącego konia między drzewami i udali się na pole, w części już skopane. Duchoborca ujął pług, Twinko prowadził konia i zaczęli orać. Noc zalała przestrzeń gęstą ciemnością, nad którą zapaliła gromady migotliwych gwiazd, rzucających słabe światła. Praca jednak odbywała się spieszenie i dobrze. Gdy słońce zapalało swoją pochodnię, spory kawał ziemi był zorany.

— Żyto masz? — spytał duchoborca.

— Kupię.

— Przywiozę ci dziś w nocy.

— Nie trzeba — opierał się Twinko.

— Nie gardź, tyś kościół prawdziwy.

Uściskał rękę Twinki, wsiadł na konia, wciągnął na niego pług i odjechał.

Tego dnia wieczorem Twinko usłyszał przed domem szmer, a nazajutrz znalazł worek żyta.

Od czasu do czasu, będąc w mieście, dowiadywał się na poczcie o listy. Otrzymał dwa: jeden od braci z 500 rb., drugi od Kobrycza.

Czytał w drodze powrotnej, odczytywał jeszcze raz w domu. List braci był bardzo długi. Stanowił sześcioletnią kronikę wypadków prywatnych i publicznych, w znacznej części Janowi znanych. Nieprzyjemne wrażenie sprawiła na nim wiadomość, że pani Wyszogorska, obecnie Grudkowa, jest bardzo szczęśliwa w nowym małżeństwie, cieszy się z poprawy jego losu i przesyła mu ukłony. Zdawało mu się, że uwielbiana przez niego i niegdyś kochająca go kobieta przysyła mu w jałmużnie kilka wytartych groszaków. List braci kończył się takim ustępem:

„Życie nasze i wogóle życie uczciwych ludzi i szczerych patriotów jest również katorgą: jesteśmy zamknięci w wielkiem więzieniu, obejmującym całe państwo rosyjskie, nosimy kajdany surowych zakazów, za najmniejszy opór przykuwani do ściany, fizycznie i moralnie chłostani lub skazywani na śmierć. Administracja, złożona z okrutników, pijaków i gwałcicieli prawa znęca się nad nami niemiłosiernie. Względnie najlepsi są łapownicy. Szpiegostwo tak czujnie śledzi i wyławia dla żandarmów wszelkie objawy niezależności myślenia i działania, że nieraz trzeba wstrzymać swobodne oddechy, ażeby nie narazić się na ka-

rę. To też nasza katorgia, jak syberyjska, składa się ze zbrodniarzów i niewinnych skazańców. Najboleśniej jest to, że między zbrodniarzami, gnębicielemi narodu polskiego, znajdują się bardzo liczni nasi rodacy i że wogóle procent patriotów jest przerażająco mały. Mężczyźni za marną cenę korzyści sprzedają swoje przekonania, a kobiety — swoje cnoty. Ogień patriotycznego bohaterstwa, który tak niedawno jeszcze płonął w tysiącach dusz, zgasł i tli się tylko w niektórych. Każdy dba tylko o dziś i o siebie, obrabowałby cały świat ze szczęścia, aby pomnożyć własne. Egoizm zdechłby z przesytu, gdyby mu pozwolono pożreć tyle, ile pożąda. Przykro ci to będzie dowiedzieć się, nie możemy jednak zataić, że ogół pogrzebał was męczenników sprawy narodowej w swej niepamięci, że cała historia walk o niepodległość jest zaniechanym cmentarzem, w którym obaliły się na grobach krzyże i zrównały się z ziemią mogiły, porośłe zieliskiem i trawą, na której się pasie ludzkie bydło. Nie my triumfujemy, ale duch naszego ojca. Wszyscy szatani piekła, wszystkie zdradzieckie pokusy ziemi nie zdołają tak upodlić ludzi, jak niewola. Jest to największa demolizatorka. Nieraz mówimy sobie, że może bardziej cierpiałbyś w naszej katordze, niż w nerczyńskiej. Mimo to, jakże pragnęlibyśmy cię widzieć między nami! Dziś nie mamy już gorętszego życzenia i większej tęsknoty. Poczciwy Kobrycz pociesza nas, że ta męka niedługo się skończy. Gdy się zobaczymy, usłyszysz ze zdziwieniem i radością, ile mu zawdzięczasz”.

List Kobrycza był krótki i prawie wesoły:

„Gdybym żył w dawnej Grecji, wieszczka delfijska dostałaby dymisję, a mnie mianowanoby urzędowym wieszczem, tylko zamiast niewygodnego trójnoga i obrzydliwych wyziewów, daliby mi miękki fotel i wonny dym cygara. Na mocy tego daru wróżę, że szybko zbliża się ta chwila, kiedy powrócisz do nas z wyprawy syberyjskiej. Niech cię to nie martwi, że straciłeś na nią siedem lat życia. W takim wieku traci się ich więcej na gorszy użytek, niż więzienie. Ja sam zmarnowałem daleko więcej na takie idjotyczne i paszukudne przyjemności, że gdy dziś odwrócę się w moją przeszłość, mam chęć pluć na nią. Zresztą policz drogi Janie na swoje dobro, że przez ten czas nie widziałeś tego błota, w którym my się pluskamy, jak piskorze w bagnach poleskich. Jeśli cię jeszcze nie doszła ta ważna wiadomość, to dowiedz się, że jestem dygnitarzem w petersburskiem Towarzystwie Wyścigów Konnych. Jest to urząd równy ministrowi, a nawet nieco wyższy. Bo wprawdzie mam nad sobą władzę prezesa i muszę spełniać jego rozkazy, ale stykam się tylko z książętami, hrabiami, baronami, ze szlachtą ludzką i jeszcze lepszą od niej zwierzęcą. Mamy konie wyższej rasy, niż wielcy książęta, którzy zwykle przez swawolę matek dają zaledwie półkrwi swoim potomkom. Nie przeszkadza im to ani w rodowodach, ani w wyścigach do karjerowej mety. Tej rasowej stajni ludzkiej winien jestem wiele wpływów, stosunków i usług, które mi były bardzo potrzebne. Ona mi się jeszcze przyda w pewnym zamiarze, o którym powiem ci później. Tymczasem ściskam cię i całuję, tyle razy, ile nazbierało się zaległości przez czas naszego roz-

stania. Całuje cię również twój chłopiec, którego od-
wiedzam kilka razy na rok u Sabiny Podlaskiej i któ-
rego ona uczy kochać ojca”.

Jak stado spłoszonych dzikich ptaków, tak zerwały się do lotu myśli Twinki po przeczytaniu tych listów. Długo krążyły one, łącząc się i rozdzielając. Dwie wiadomości wbiły się najgłębiej w jego duszę: pomór uczuć patriotycznych w społeczeństwie, który mu sprawił wielki ból, i miłość synka, która mu sprawiła wielką radość. Zaprzagnął mieć go przy sobie i wychować takim, jakim był sam. Braciom i Kobryczowi odpowiedział serdecznymi listami, w których opisał krótko i ostrożnie sześćdziesiąt lat swego pobytu w katorżce i obecne położenie, nie dotykając spraw ogólnych z obawy, ażeby zrewidowana przez żandarmów w Petersburgu i Wilnie jego korespondencja nie wywołała przesładowań.

Należał on do ludzi przywracających szybko równowagę w swych myślach. Po kilku dniach zajął się uspokojony pracą w polu i w domu. A miał dla niej potrzeb wiele. Codziennie ostrzejsza jesień nagliła do pośpiechu w zasiewach ozimych i przygotowaniu ziemi pod wiosenne. W mieszkaniu brakło jeszcze wiele sprzętów, pieca, glinianej podłogi i uszczelnienia pułapu, ułożonego podobnie jak ściany, z okrągłaków. Największą trudnością przedstawiał brak dachu, którego sam piłą tracką wyrobić nie mógł. Ostatecznie jednak chata, dzięki pomysłowym staraniom budowniczego była niezłe obwarowana przeciw atakom mrozów. Przyszła zima. Wiele czasu jeszcze musiał Twinko zużywać na wykończenie swojej siedziby, miał go jednak

na czytanie książek kupionych w mieście i pisanie rozmyślań. Z natury był małowówny, ale od wczesnej młodości w swej milczącej duszy rozwiązywał ciągle zagadnienia życia. Z tych rozważań usnuł sobie własną filozofję, którą uzewnętrzniał w stałych zasadach, niezłomnych postanowieniach i czynach. Przebywanie w katordze, która mu ukazała nieznaczące przedtem odmiany ludzi i wprowadziła na nowe stanowisko obserwacyjne, a jednocześnie jeszcze bardziej zamknęła jego duszę przed otoczeniem, nagromadziła w niej tyle uwag, spostrzeżeń i wniosków, że uczuł potrzebę wylania ich na papier. Czynił to już jako więzień, czynił w większej mierze podczas zajęć w kancelarji, w której ujmował dla siebie trochę materiałów piśmiennych, ale dopiero teraz na osiedleniu mógł się w nie zaopatrzyć dostatecznie i użytkować swobodnie. Zaczął też w zimie spisywać pamiętnik nie tyle zdarzeń, które były bardzo nieliczne i małoważne, ile swoich myśli. Pewnego wieczora siedział przy stole oświetlonym łożówką i pisał:

„Gdyby na uszlachetnienie ludzi zużyto tyle trudów, ile na uszlachetnienie zwierząt domowych, wytworzonoby gatunki człowieka takiej doskonałości, jakie obecnie spotykamy tylko w rzadkich wyjątkach. Trudno to pojąć, a jednak jest faktem, że nigdy i nigdzie nie podjęto w tym kierunku troskliwych i systematycznych starań. W ciągu setki lat udoskonalano rasy koni, bydła, owiec, świń, a w ciągu wielu stuleci nie udoskonalono ludzi o tyle, ażeby oni różnili się zupełnie od swych przodków z przed tysiąca lat. Jeżeli można zmienić wełnę na owcach i kształt koni, je-

żeli można nauczyć psa rozumienia mowy ludzkiej, a ptaka gwizdania kunsztownych melodyj, dlaczego nie można nauczyć człowieka uczciwości”.

Odezwało się lekkie pukanie do okna. Twinko otworzył drzwi, przez które weszła wysoka kobieta w długim futrze i czapce wełnianej, którą zsunęła na tył głowy, odsłoniwszy twarz poważną, nieco podmarszczoną, ale widocznie kiedyś piękną.

— Nie znasz mnie — rzekła — bo niedawno przyjechałam z Rosji. Jestem Agata, siostra Joachima, który mi opowiedział o tobie. Przyszłam w nocy, ażeby złym ludziom nie pokazywać drogi do naszej osady. Usiądę, zmęczyłam się w kopnym śniegu.

Rozejrzała się po izbie uważnie.

— Czysto u ciebie, ale biednie. Uradziliśmy, ażeby ci dać kobietę i wybraliśmy moją córkę. Ona cię widziała przed paru dniami w sklepie. Kupowałaś piłkę stolarską, a my nożyczki. Mówiła do mnie: „On jest ładny ciałem, ale musi być jeszcze ładniejszy duszą. Przypatrz się, matko, jaką ma spokojną twarz, jak cnotliwy człowiek po śmierci”. Chciała tu przyjść ze mną, ale odradziłam i naprzód przyszłam sama dowiedzieć się, czy ją przyjmiesz. Będzie ona dla ciebie czem zechcesz: towarzyszką, przyjaciółką, pomocnicą, gospodynią, wreszcie żoną, jeśli ci się podoba. My duchoborcy ufamy sobie i tym, których uważamy za żywe kościoły. Wierzymy, że ani moja Kala ciebie, ani ty jej nie pokusisz i że będziecie przy sobie czysti, jak dwa płatki świeżego śniegu. Co mi odpowiesz?

— Dziękuję tobie i twojej córce za tę zyczliwość —

odrzekł Twinko — ale skorzystać z niej nie mogę. Chociażbyśmy byli jak dwa płatki śniegu, ludzie brukaliby nas plugawymi domysłami. Ożenić się zaś z nią nie mógłbym, bo ślubowałem sobie nie mieć żony i dzieci, ażeby nie przekazać nikomu nazwiska shańbionego występkiem ojca.

— Może twój ojciec zgrzeszył tylko nieświadomością?

— Szkodził swemu narodowi świadomie dla osobistych zysków.

— Sama tej sprawy nie rozstrzygnę, przedstawię ją rodzinie. I ty ją rozważ. Ludzie uczciwi zawsze się porozumieją.

Zapięła futro, naciągnęła czapkę, podała rękę Twince i rzekła, wychodząc:

— Niech Bóg cię nie odstępuje.

Po jej odejściu Twinko zapisał w pamiętniku.

„Życie społeczne wygląda jak olbrzymie bagno, w którym dobywają się z głębi czyste źródła uczuć, zwykle rozlewają się po jego błocie, a rzadko uwolnione od niego tryskają bezmętnymi strumieniami. Świadczą one, że człowiek ma w duszy krynicę szlachetności, trzeba jej tylko otworzyć ujście“.

VIII

Głębokie śniegi i ostre mrozy przecięły komunikację między Twinką a osadą duchoborców. Do polowania na zwierzęta jadalne i futrzane nie miał broni i chęci, siedział przeto cały dzień w domu, zajęty robotami stolarskimi i dzierganiem sieci na ryby. Powoli zamierało w nim pragnienie widywania ludzi, nawet duchoborców, których lubił i szanował. Do tego jednak wyłączenia się ze społeczeństwa skłaniało go może więcej postanowienie wyrozumowane, niż potrzeba odczuta. Twinko dowodził sobie, że ściślejsze stosunki z osobami wyższej wartości moralnej wciągną go w nowe powikłania życiowe, z których nie będzie mógł się wyplątać bez nowych udręczeń, że jedyną dla niego formą istnienia jest samotność. Ani on już nic z siebie ludziom dać nie może, ani od nich przyjąć. Bo przecie ci nawet najlepsi, którzy stanowili obecne jego znajomości, należeli do narodu jego wrogów i ciemzców. Wolał z nimi obcować w myśli, niż we współżyciu. Bez wymówienia i usłyszenia słowa, bez widoku człowieka, przetrwał kilka tygodni. Nie miał kalendara, nie mierzył czasu, nie znał jego pory, gdy pewnego wieczoru znowu zapukano do jego okna. Otworzył drzwi, przez które weszli mężczyzna i kobieta, którzy pozdrowiwszy go, położyli na stole dwie spore paczki. Oboje mieli głowy w czapkach futrzanych, od-

słaniających im tylko oczy. Joachima po mowie poznał. Kobieta szybko wywinęła się z futer i ukazała się osiemnastoletnia dziewczyna bujnego wzrostu, wiosennej świeżości i olśniewającej urody. Był to prawdziwy, piękny kwiat rodzaju ludzkiego. Czarne włosy ułożyły się w zwiniętych warkoczach na tyle głowy, a w bezładnym wdzięku, nad twarzą białoróżową, przedziwnie szarmonizowaną, jakgdyby wyrzeźbioną z marzeń genialnego mistrza. Oczy płonęły głębokim ogniem, usta drgały lekkim uśmiechem. Przez chwilę przypatrywała się ciekawie Twince, którego twarz zwykle spokojna, okolona długimi, w pierścieniach na ramiona spadającymi włosami, wyrażała zachwyt.

— Jest to Kala — rzekł Joachim — córka mojej siostry. Przyjechały do nas z Kaukazu.

— Jutro wigilja Bożego Narodzenia, odezwała się dziewczyna, przynieśliśmy ci trochę jedzenia świątecznego.

Twinko stał oczarowany jej widokiem i zaledwie po chwili przypomniał sobie, że trzeba podziękować.

— Rzeczywiście nie wiedziałem o jutrzejszej uroczystości — mówił zmieszany. — Bardzo, bardzo wam dziękuję.

Gdy usiedli, Joachim zagadnął:

— Jakże ci się wydała moja siostrzenica?

— Piękna — odrzekł Twinko.

— I dobra — dodał Joachim. — Patrząc w jej oczy, zdaje mi się, że przez nie widzę w jej duszy Trójkę Świętą. Moja siostra chce ją oddać tobie. Naprzód dlatego, że pomiędzy duchoborcami niema obecnie odpo-

wiedniego dla niej męża, powtóre dlatego, że podoba-
łeś się matce z ducha i ciała. Prawdę powiedziałem,
Kalo?

— Tak — potwierdziła zarumieniona.

— Cóż ty na to, Janie? Podobno odmawiasz.

— Wyjaśniłem moje położenie twojej siostrze. Je-
stem synem shańbionego człowieka, ażeby zatracić je-
go i moje nazwisko, postanowiłem nie żenić się i nie
mieć dzieci. Należymy do dwóch wrogich sobie naro-
dów, małżeństwo z Rosjanką byłoby zdradą względem
mojego, za który podjąłem walkę z waszymi i dosta-
łem się do katorgi. Zresztą Kala, pragnąca i godna
szczęścia w związku z młodzieńcem żywym, świeżym,
nie doznałaby szczęścia z takim, jak ja stygnącym
półtrupem. Szkoda jej dla mnie.

— Nie podzielam twoich pobudek. Naprzód wina
ojca nie plami syna, a ich wspólne nazwisko może tak
samo oznaczać złoczyńcę, jak świętego. Jeżeli zniesła-
wia cię to, że nazywasz się, jak twój ojciec, Twinko, to
również powinno cię zniesławiać i to, że jesteś, jak
twój ojciec, człowiekiem. Podobnie rzecz się ma z na-
rodowością. Kala nie jest prawdziwą Rosjanką nie-
przyjaciółką Polaków. Przeciwnie, pochodzi ona z ple-
mienia kaukaskiego, które także zostało ujarzmione
przez Rosjan. Ale może i to przeszkadza, że jest pra-
wosławną? Otóż jest nią tylko w spisach policyjnych,
w rzeczywistości zaś należy do naszego wyznania.
I ty, chociaż nie mianujesz się duchoborcą, je-
steś nim.

— Mylisz się, Joachimie.

— Nie wierzysz w to, co mówi Pismo Święte?

— Pismo Święte jest tylko dla mnie księgą szanowaną i godną poznania, a dla was objawieniem. Wy je czytacie codziennie, a ja przeczytałem raz i mam dosyć.

— Ale postępujesz tak, jak uczył Chrystus. Czy uznajesz i spełniasz przykazania: nie nadużywać imienia boskiego, nie zabijać, nie kraść, nie cudzołożyć, nie pożądać cudzego dobra, kochać bliźniego?

— Tak.

— Więc czemu się różnisz od nas?

— Wieloma odmianami. Według mnie Chrystus, układając „Ojcze nasz”, wskazał tylko jeden ze sposobów modlitwy, ale nie jedyny. Przedewszystkiem człowiek wierzący nie powinien o nic Boga prosić, bo Bóg sam wie, co mu jest potrzeba i na co zasługuje. Jeśli wszakże ma o coś prosić i za coś dziękować, nie powinien tego czynić w raz na zawsze ustalonej i dla wszystkich jednakowej formie, lecz sam szczerze, odpowiednio do wypadku wyrazić swoją modlitwę. Od-mawianie przepisanej prowadzi do bezmyślnego i wielokrotnego powtarzania, a nawet do obracania wypisanej na krążku z korbą. Jak dziecko skarży się i dziękuje dobremu ojcu, własnymi słowami, tak powinien czynić człowiek w modlitwie do Boga. Niechaj każdy układa sobie pacierz sam.

— Zapominasz, że nie wszyscy ludzie wiedzą, o co błagać należy i jak to błaganie wyrazić.

— Jeśli ludzie rozumieją proszącego, to tem bardziej zrozumie go Bóg. Ale, kochany Joachimie, przerwijmy ten spór religijny, który zawsze nie ma końca. Ja ciebie lubię, ty mnie lubisz i to nam wystarczy do życia w przyjaźni.

— A mnie będziesz lubił? — zapytała Kala, która dotąd przysłuchiwała się rozmowie z widocznym zaciekawieniem.

— Między młodym mężczyzną a młodą kobietą niema przyjaźni, tylko miłość lub obojętność.

— Mógłbyś mnie miłować?

— Już wytłumaczyłem, że my nie dla siebie.

— Więc może nie chcesz, ażebym do ciebie przychodziła?

— Owszem, ale z matką lub z wujem.

— Sama nigdy? Nawet gdy mnie lepiej poznasz?

— Legenda religijna opowiada, że przy każdym człowieku stoją z dwu stron strażę: anioł i djabeł, którzy ciągle walczą o jego duszę. Otóż mój anioł mógłby zbyt zmęczyć się tą walką i ulec. Tego ja nie chcę.

— Bądź zdrow, przyjacielu — rzekł Joachim — i nie gniewaj się na nas, gdy będziemy się starali, ażebyś zmartwychwstał i był szczęśliwym.

Po odejściu gości, Twinko długo szedł myślą za Kalą. Ostatecznie był niezadowolony, że ją spotkał na swej drodze, którą pragnął odbyć do końca w spokoju bez zboczeń i przeskakiwania przepaści.

— Niema cudów. Ja już nie mogę zmartwychwstać — powiedział sobie.

Usiadł przy stole, otworzył pamiętnik i pisał:

„Jak potężne wrażenie sprawia szczerą prostotą! Odwykliśmy zupełnie od prawdy słów i czynów. Jakim człowiek jest rzeczywiście, ani on sam, ani współżyjący z nim nie wiedzą. Jest on bowiem tworem i twórcą kłamstwa. W dzieciństwie okłamują go rodzice, po-

tem okłamuje szkoła, prawa, władze, instytucje, znajomi, przyjaciele, wrogowie—wszyscy i wszystko. Kto to jest bankier, kupiec, przemysłowiec, adwokat, lekarz, nauczyciel, kaznodzieja, dyplomata, ojciec, mąż brat? Mniejsi lub więksi kłamcy. Kto to jest kobieta? Miłośniczka i artystka kłamstwa. Nasze przekonania, zasady, reguły, związki, dążenia oparte są na kłamstwie. Gdyby kłamstwo odjąć od całej sumy kultury, pozostałaby bardzo drobna reszta. Bo coby się stało z naszą wiedzą, wierzeniami, polityką, literaturą, sztuką, rodziną, wszystkimi urządzeniami i stosunkami społecznymi, gdyby z pod ich budowy usunąć podwaliny kłamstwa? Runęłyby natychmiast. Gdyby ludzie nagle przestali kłamać, byłaby to największa i najpłodniejsza w skutki rewolucja. Może ten przewrót dokonana się powoli, ale dokonać się musi, jeżeli ludzkość nie ma wynaturzyć się i zmarnieć w dobrowolnem oszukiwaniu się. Przyszła do mnie prosta, niewinna dziewczyna, która objawiła gotowość zamieszkania ze mną i zapytała, czy ją chcę kochać? Ponieważ to jej zachowanie się było szczere, nieowinięte w kłamstwo, wydało mi się naprzód zuchwałem, prawie bezwstydnem, dopiero gdy otrzeźwiłem się z przesądu — pięknem i szlachetnem. Gdybym nie był człowiekiem zdruzgotanym i niezdolnym do radosnego życia, ukląkłbym przed nią jak przed posłanką Boga, chociaż jest tylko istotą niedotkniętą przez kłamstwo. Czy ona dochowa swą duszę w dziewictwie i nie pokala jej fałszem? Pięknych i czystych ciał jest wiele, pięknych i czystych dusz tak mało, że zaledwie wystarczają na podtrzymanie wiary w ich istnienie“.

Twinko, nieskłonny z natury do filozofowania i zajęty sprawami ziemi albo raczej sprawami swojej ziemi, nie zaglądał przez szparę do nieba i wogóle unikał rozwiązywania zagadnień nierozwiązalnych. Nie był przeto ani religijnym, ani niereligijnym. Dopiero rozmowy z sekciarzami wciągnęły go w tę sferę, do której wznosił się na skrzydłach metafizyki improwizowanej. Ale te wzloty go męczyły i o ile rozkoszował się etyką duchoborców, o tyle nużył się ich teologją która mu nie pozwalała zżyć się z nimi ściśle.

Przerwał pisanie i otworzył przyniesione mu paczki. Były w nich ciasta, kawałki wędzonego mięsa i ryb, suszone owoce i inne jadła.

Poczcwiwcy — myślał — prawdziwi ewangelisci. Dlaczego jest ich na świecie tak mało? Przecie ludzie upadają się dla osiągnięcia szczęścia — a oni, chociaż zacni, są szczęśliwi, gdy żyją tylko z sobą. W duszach ludzkich mogłaby trwać wieczna wiosna, z niezachodzącym nigdy słońcem, a tymczasem trwa mroźna, burzliwa zima w nieskończonej nocy.

Odtąd coraz częściej powracał do tego przedmiotu. Instykt płciowy jest popędem nietylko najsilniejszym zmysłowo, ale najpłodniejszym umysłowo. Kobieta czarująca mężczyznę działa nie tylko na jego wrażliwość miłosną, ale pobudza i ożywia wogóle jego ducha. Nie jest to wcale jej dziełem i zasługą, lecz popędu najbardziej twórczego ze wszystkich. Twinko lubił Sabinę, uwielbiał Łucję, żadna z nich jednak nie wywołała w nim tego ruchu i gwaru myśli, co ta prosta dziewczyna. Widocznie istniała między niemi

tajemna harmonja dusz, jednako nastrojonych. Oboje stanowili często powtarzającą się zagadkę silnego oddziaływania wzajemnie na siebie dwu istot, które w innych kombinacjach albo wcale nie wywierają tego wpływu, albo daleko słabszy. Wprawdzie Kala była nadzwyczajnie piękna, ale również tak nadzwyczajnie prosta, naturalna i tak naiwna, że stanęłaby w galerji rzeźb naga i nie doznawałaby żadnego wstydu, wobec oglądających ją widzów. Wszyscy mężczyźni chcieliby ją posiadać, ale tylko Twinkowie kochać.

Gdy Jan zauważył płomień miłości, wydobywające się z jego duszy ku tej dziewczynie, ogarnęła go trwoga. Co on, Polak, skazany za swój patriotyzm na ktaorgę, pocznie z tem uczuciem dla kobiety, która chociaż tylko imiennie zaliczona do narodu jego wrogów, jako żona w opinji powszechnej rzuciłaby cień przeniwierstwa na jego charakter? Co on pocznie z tem uczuciem wobec postanowienia, które było głównym regulatorem jego życia, zabraniającym mu żenić się i mieć dzieci, ażeby nie przekazywać im sromotnego nazwiska? Powtarzać zaś z Kalą swego stosunku z Sabiną nie chciał, uważałby go bowiem za krzywdę wyrządzoną jej i całej duchoborskiej rodzinie, która okazała mu tyle przyjaźni i zaufania. Postanowił stoczyć bezlitosną walkę z sobą. Przewidywał, że będzie bardzo ciężka i może dla niego zabójcza. Przez kilka tygodni nie odwiedził go nikt z osady duchoborskiej. Przerwały komunikację ostre mrozy i wysoko nasypane śniegi, które na nieutorowanych drogach leśnych uniemożliwiały przejście, zwłaszcza

nocne. W źle opatrzonej i lichy ogrzanej chacie Twin-ko zaziębił się i musiał przeważnie leżeć w łóżku, z którego wstawał jedynie dla podpalenia ognia w kuchence i ugotowania wody na herbatę. Gdy wieczorem weszły do niego Agata i Kala, które w mroku izby nie mogły go dostrzedz, odezwał się:

— Leżę, trochę niezdrowy. Zaraz zaświecę.

Potał zapałkę i dotknął jej płomyk do tkwiącej w drewnianym lichtarzu łojówki. Krążek jasności otoczył jego łóżko.

— Co ci jest — zapytała Agata, położywszy na stole przyniesioną paczkę, podczas gdy Kala wpatrywała się uważnie w jego twarz zgorączkowaną.

— Drobiazg. Od kilku dni męczy mnie katar.

— Katar to z początku małe jajeczko, z którego przez zaniedbanie wylęga się duża choroba. Nie masz żadnej opieki; jeśli nikogo nie będzie przy tobie, zajmie się tobą śmierć. My tu zostaniemy na noc, a jutro przyjdzie Joachim.

— Nie potrzeba, dam sobie radę, a wy zwróćcie na siebie uwagę.

— Odejdziemy przed świtem. Nikt nas nie zobaczy. Teraz żandarmi się nie włóczą.

— Onegdaj był u mnie z zapytaniem, czy chcę podać prośbę o zupełne ułaskawienie. Zrzekłem się, to go rozgniewało. Oni i do was trafiają.

— Niech trafiają, niczego się nie dowiedzą. Jesteśmy ostrożni, jak żórawie.

Kala usiadła przy łóżku i ujęła Twinkę za rękę.

— Nie upieraj się Janie. Jesteśmy twoimi przyja-
ciółmi. O nas się nie bój.

— Owszem, bardzo się boję i to szczególnie o ciebie, Kalo.

— O mnie? Dlaczego?

— Usłuchaj mnie i nie pokazuj się w mieście. Przed tygodniem byłeś tam z matką. I ja tam byłem. Spozstrzegł cię jakiś oficer i zapytał mnie, kto jest ta śliczna panienska. Odpowiedziałem mu, że to mieszczanka nerczyńska, której nazwiska nie znam. Udał się do stojącego na ulicy policjanta. Tymczasem wy gdzieś znikłyście. Biegał wokoło i szalał. Struchlałem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby was znalazł i zaczepił. Mogłoby wypaść nieszczęście. Kochana Kalo, pamiętaj ciągle o tem, że piękna kobieta nigdy nie może się ukryć przed dzikim mężczyzną, który ją zawsze wytropi a oficer rosyjski jest najdzikszy.

— Twinko ma słuszość — wtrąciła Agata.

— Nic mi nie grozi — rzekła Kala z zaiskrzonym wzrokiem. — Oficer rosyjski dopóty jest odważny względem kobiety, dopóki się nie dowie, że ona pochodzi z Kaukazu, bo wie, że ona ma ukryty sztylet i że w walce mogą zginąć oboje, ale nigdy ona sama.

— To mnie wcale nie uspakaja — odparł Twinko — chociażbym uwierzył, że zginą oboje.

— Więc dobrze, nie będę się pokazywała w mieście, ale za to pozwól Janie, ażebym więcej przebywała u ciebie. Ty potrzebujesz mojej usługi, a ja twojego widoku.

— Co powiem i jak wytłumaczę twoją obecność, jeśli do mnie zajrzy żandarm?

— Powinieneś był przewidzieć ten wypadek — mówiła Kala wesoło — i budując dom, zrobić dla mnie kryjówkę. Ale nie kłopotz się. Jest tu jakiś strych, jest przystawiona do niego drabinka. Tylko musisz, kochany pustelniku, wprowadzić zwyczaj zamknięcia drzwi wchodowych.

Oslabienie kataralne, połączone z urokiem, jaki na Twinkę wywierała czarująca młódka, odhartowało jego wolę z uporu. Gdy kobiety zajęły się uporządkowaniem izby i ułożeniem przyniesionych jadel, nie spuszczał z niej wzroku, wyrażającego rosnący zachwyty.

— Czy na Kaukazie wiele jest tak pięknych, jak wasza córka, Agato?

— Dla mnie ona najpiękniejsza — odrzekła matka.

— Są ładniejsze — odezwała się Kala. — U nas uroda kobiet jest tak pospolita, jak winograd.

— A mężczyźni?

— Również dorodni, ale zbyt czarni. Ty bardziej mi się podobasz. Masz jasne, faliste włosy i niebieskie łagodne oczy.

Rozmowa się przerwała, Twinko przymknął powieki i milczał, pogrążony w marzeniu, w którym lekka gorączka rozwijała przed nim fantastyczne obrazy. Powoli zasnął.

Była już północ, kiedy cicho wsunął się do izby Joachim. Poszeptawszy z Agatą, zabrał Kalę i wyszedł.

Gdy Twinko obudził się rano i ujrzał w brzasku półleżącą na ławie Agatę, zaczął zbierać i wiązać rozproszone myśli, niepewny, czy one powstały we śnie,

czy na jawie. Spostrzegłszy, że kobieta nie śpi, za-
pytał:

— Nocowałeś tutaj?

— Tak.

— Czy mnie się tylko śniło, że wczoraj wieczorem
była tu Kala?

— Owszem, była. Joachim, nie wiedząc, że jesteś
chory, zaniepokojony, że nie wracamy, przyszedł
w nocy, kiedy już spałeś i zabrał ją. Jakże się masz?

— Już dobrze. Zaraz wstanę.

— Zaczekaj aż słońce wejdzie. To najlepszy le-
karz. Niech ono cię zobaczy.

— Przez okienko nie zajrzy — odrzekł żartobli-
wie Twinko. — Muszę wyjść na dwór i pokazać
mu się.

— Nie spiesz się, ono jeszcze nie wstało.

Podniosła się, gdy rozpałała ogień na kuchence,
Twinko mówił:

— Powiedz mi, matko, czy wy już tak dobre ro-
dzicie się, czy was uczą dobroci? Takich kobiet nigdy
nie spotkałem i nie przypuszczałem, że istnieją.

— My wszyscy jednacy — odpowiedziała Agata.
Żyjemy tylko z sobą, w oddaleniu od innych ludzi,
unikamy bliższych z nimi stosunków, więc możemy
zachować naszą wiarę, nasze obyczaje i czystość na-
szych duchów. Ty jesteś pierwszym i jedynym czło-
wiekiem nienależącym do naszej religji, z którym się
komunikujemy i którego uważamy za brata.

— Czemże ja na to zasłużyłem?

— Syberja oddawna zaludnia się waszymi męczen-
nikami. My zualiliśmy ich dotąd tylko ze słyszenia.

Ale utrwaliło się między nami przekonanie, że Polak szczęśliwy bywa zwykle grzesznym, a nieszczęśliwy prawie zawsze cnotliwym. Potwierdził to Joachim, przebywając z tobą w katordze. I oto przyłączyliśmy cię do naszej wielkiej rodziny duchoborskiej.

— Czy ona jest rzeczywiście wielka?

— O, tak, chociaż dokładnie zliczyć jej nie można. Wiesz, że od początku świata ludzie najuczciwsi byli prześladowani i tępieni. Kainowie ciągle zabijają Ablów a i Chrystus był ukrzyżowany tylko za to, że miał duszę niepokalaną. Dlatego również są prześladowani i tępieni duchoborcy. Ilu ich cierpi w więzieniach i w rozproszeniu po całym świecie — tego nikt nie wie, jak nie wie nikt, ilu jest was Polaków. My znamy dobrze tylko nasze osady ukryte w Rosji, które porozumiewają się tajemnymi drogami. Mój mąż, który przeszłego roku umarł dobrowolnie, ażeby nie pójść do wojska, był mądrym człowiekiem. On mówił: ludzie zwyczajni — to ciało człowieczeństwa mniej lub więcej chore, a ludzie uczciwi to zdrowe nerwy w tem ciele rozgałęzione, które pomimo oddalenia łączą się z sobą i porozumiewają. Zauważyłeś pewnie, że nasi bracia byli w katordze lepiej zaopatrzeni, niż inni więźniowie, bo nad nimi czuwali niewidzialni i może nawet im nieznanymi współwyznawcy. To samo dzieje się tutaj. Gdy odwiedzisz naszą kolonję, zdziwisz się, jak ona jest dostаточно zagospodarowana. Chociaż nie dopuszczamy do niej nikogo obcego, jesteśmy przygotowani na to, że kiedyś żandarmi nas wysłędzą, rozpędzą i wtrącą do więzień, ale my znowu się połączymy i odrodzimy. Teraz po-

zostawiają nas w spokoju, bo jak nam doniesiono z Rosji, wkrótce wybuchnie wielka wojna z Turcją.

Podczas tej mowy Agata ugotowała kaszę, okrasiała masłem i podała Twince do łóżka.

— Zjedz i posil się. Ty jesteś nie tyle chory, ile wygłodzony. Sam nie umiesz się żywić. Dlatego uradziliśmy, że powinieneś mieć przy sobie stale kobietę dobrą i miłą. Wybraliśmy ci najlepszą. Weź Kalę tymczasem za towarzyszkę a z pewnością zapragniesz z nią się ożenić. Nie będziesz potrzebował cerkwi i popa, my ci damy ślub a uroczysta przysięga złożona w naszym domu modlitwy przed naszą starszyzną jest przyjemniejsza Bogu i trwalsza w życiu, niż uczynione w bałwochwalczych cerkwiach przed pijanymi i chciwymi popami.

— Czy tego życzy mnie i sobie również Kala?

— Przecie ci to wyraźnie powiedziała.

— Ale ona mnie nie zna, zaledwie parę razy widziała.

— Dusze czyste wzajemnie przenikają się i porozumiewają bezsłownie.

— Jesteśmy przekonani, że ty miłujesz Kalę. Wyznaj szczerze.

— Jeszcze nie wiem.

— Dowiesz się wkrótce od samego siebie a wtedy jej powiedz. Ona tu przyjdzie wieczorem. Ja odejdę, tylko ugotuję ci jeszcze rybę, którą sobie odgrzejesz na obiad.

Twinko uczuł nagle przyływ zdrowia. Wstał, ubrał się, urąbał drobnego drzewa. Gdy Agata oparowała rybę, zekł do niej:

— Idź poczciwa Agato do domu, bo słońce już rzuca pierwsze blaski. Sam sobie poradzę z obiadem.

Pomógł jej ubrać się w kozuch, obciśnięty pasem, uściskał za obie ręce i powiedział wzruszony:

— Dziękuję ci dobra matko.

Ten wyraz „matko“, który wysunął mu się z ust nieświadomie, zdradzał nastrój jego uczuć i kierunek myśli w tej chwili. Twinko był charakterem opornym, w obecnym wypadku miał ważne powody do hamowania się, Kala jednak już odbiła się trwałym obrazem w jego sercu, w którym wrażenia ryły się trudno, ale raz zarysowane nie zacierały się łatwo. Przez cały dzień myślał o niej ciągle i oczekiwał jej z niepokojem.

IX.

Przyszła wczesnym wieczorem z Joachimem, zaróżowiona na twarzy od pocałunków mrozu i jak zawsze piękna.

Twinko pragnął i bał się usłyszeć słów, które po przywitaniu wypowiedział duchoborca.

— Przyprowadziłem Kalę, ażeby została u ciebie do następnej nocy. Nie możesz być bez opieki w chorobie.

— Widzicie przecież, że jestem zdrów — mówił Twinko, który nagle uświadomił sobie kłopotliwość położenia.

Usłyszał w duszy ostry wyrzut nałogu przyzwoitości, który obecnie stracił w nim swoją dawną surowość, ale jeszcze go kontrolował.

— Matka powiedziała nam, żeś jeszcze chory — odrzekła Kala — ale jeśli rzeczywiście jesteś zdrów i mnie nie potrzebujesz, odejdę z wujem, tylko trochę odpocznę.

Twinko uczuł nagle strach, jak przed groźbą wielkiej straty.

— Droga Kalo, zrozumiej mnie. Byłbym ci bardzo wdzięcznym za radość, jaką sprawiłabyś mi swoją obecnością, ale nie chcę narażać cię na utrudzenie i — zawahał się — na drażliwość nocowania u samotnego mężczyzny.

Roześmiała się głośno.

— Bądź spokojny. Ani ja nie jestem wstydliwą i uległą panienką, ani ty bezwstydnym i napastliwym uwodzicielem. Ustrzeżemy się sami. Prawda wuju?

Joachim skinął głową.

Szybko rozdziałała się z futra, z którego wyszła gibka, zgrabna, w długą bluzę wełnianą obleczona.

— Wuj zje z nami kolację — mówiła rozniecając ogień, do którego przystawiła garnek z wodą i zaczęła rozrabiać przyniesioną mąkę na kluski.

Twinko nie zdejmował z niej wzroku, słuchając nieuważnie Joachima, który rozmawiał.

— Ludzie i gazety zapowiadają bliską wojnę z Turcją, a podobno i z innymi państwami. Zabijanie się masowe ludzi w sporach, które mogłyby być rozstrzygnięte pokojowo, jest największą hańbą ludzkości. A my od tej hańby, od tej zbrodni mamy się spodziewać wspaniałego daru — wolności. Powszechnie szerzy się przekonanie, że Rosja będzie zgromiona, że car upokorzony zmięknie i przestanie grzeszyć okrucieństwem.

— Gdybyś był tego pewnym — zapytał Twinko — wziąłbyś broń i poszedłbyś bić się?

— Nie, bo wszelkie morderstwo jest występkiem, czy je popełnia złoczyńca, czy żołnierz. Zapominasz przytem, kochany Janie, że wtedy poświęcałbym życie dla tyrana, któremu pomagać nie chcę. Żaden prawdziwy duchoborca w żadnym wypadku nie zabija człowieka.

— Nawet zbója?

— Nawet zbója. Przeciwnik na wojnie jest takim samym zbójem, jak bandyta.

— Gdy napada, ale nie wtedy kiedy się broni.

— Bronisz nie twojego życia, którego napastnik nie potrzebuje, ale jakiegoś dobra, jakiejs korzyści, której on pożąda. Oddaj mu ją dobrowolnie, nie odbierze ci życia.

— A jeżeli tem dobrem, tą korzyścią jest moja wolność, moje szczęście?

— Wolność człowieka, jego szczęście tkwi nie po za nim, ale w nim, w jego duszy. Tego dobra żadna moc nie zdoła mu wydrzeć.

— Jedzenie gotowe — powiedziała Kala, nalewając trzy talerze. — Zostaw wuju Twinkę mnie, ja postaram się go przekonać.

Po kolacji Joachim ucałował siostrzenicę, uściskał rękę Twinki i wychodząc, rzekł do Kali:

— Pilnuj, ażeby się nie zaziębił, bo z oczu mu wiadać, że jeszcze gorączka go nie opuściła.

Rzeczywiście miał rozszerzone źrenice i mocne rumieńce na twarzy. Mogła to być jednak gorączka nie fizyczna, ale uczuciowa.

— Połóż się do łóżka a o mnie się nie troszcz — powiedziała Kala i zgasila świecę.

Zestawiła dwie ławy, rozwinęła przyniesiony worek futrzany i rozebrana wsunęła się w niego po szyję, podesałwszy sobie pod głowę maleńką poduszczykę skórzaną.

Z początku Twinko nie mógł jej dojrzeć w gęstym mroku, powoli jednak oczy jego przystosowały się do ciemności i dostrzegłszy coraz wyraźniej pod

przeciwległą ścianą szary podłużny płat, z którego jak kwiat z kielicha wydobywała się piękna głowa młodej kobiety. Długo w łóżku wpatrywał się w nią podniecony, daremnie usiłując opanować i związać swoje wrażenia, których nigdy przedtem nie doświadczał, bo zrodziły się one w sytuacji, w której nigdy się nie znajdował a nawet jej sobie nie wyobrażał. W tych wrażeniach było wiele idealnego zachwytu, ale zmieszanego ze zmysłowem upojeniem.

— Nie śpisz? — odezwała się Kala, która kilkakrotnie usłyszała jego ruchy i silniejsze oddechy.

— Jeszcze nie — odpowiedział cicho.

— A mnie spać nie dają dziwne widziadła — mówiła. — Przesuwają się przede mną obrazy naszych gór Kaukaskich, do których ciągle tęsknię. Mam tę tęsknotę we krwi. Ojciec mój posiadał winnicę, w której pracował, ale wszystkie wolne chwile spędzał w górach. Co tam robił — nie wiem. Prawdopodobnie szukał przygody, która spotkała mojego dziadka. Ten był góralem i zapamiętałym myśliwcem. Po równinie nie umiał chodzić, bo przyzwyczajony do wspinań się podnosił za wysoko nogi i upadał. Pewnego dnia na wysokim szczycie zastrzelił kozę. Gdy zbliżył się do niej, jeszcze żyła i patrzyła na niego oczami tak smutnymi, że nie mógł wytrzymać jej wzroku. Usiadł obok i tylko od czasu do czasu spoglądał na nią. Jej bolejące oczy mówiły do niego łagodnymi wyrazami żalu i skargi, które przenikały jego serce coraz dotkliwszym bólem. Wreszcie koza skończyła. Nagle ujrzał dobywający się z jej ciała biały obłoczek jej postaci, który zawisł nad nią i odlatując

w przestrzeni wyszeptał łagodnym ludzkim głosem: „miłuj”. Odtąd już nigdy nie polował, chociaż ciągle przebywał w górach i zapewniał, że tam obcował z niewidzialnymi duchami, które uczyły go mądrości życia. Według niego dusze zmarłych dzieci wchodziły w zwierzęta mieszkające na wysokich górach, dusze ludzi dobrych tworzą czyste powietrze szczytów, a dusze ludzi złych — miazmatyczne powietrze dolin. Żyjący oddychają atmosferą zmarłych, która na wyżynach daje im zdrowie a na nizinach choroby.

— Czy twój ojciec w to również wierzył? — zapytał Twinko.

— O, tak. Dlatego uciekł z tego świata. Gdy go miano wziąć do wojska na 25 lat, poszedł na najwyższy szczyt naszych gór, tam położył się na lodowcu i zamarł. Znaleźliśmy go dopiero po kilku miesiącach i tam pogrzebali w śniegu. Odwiedzaliśmy go — po roku był tak niezmienny, jak gdyby tego dnia umarł.

Zamilkli — on pogrążony w rozmyślaniu nad tą opowieścią, ona we wspomnieniach. Wreszcie Kala zawołała po polsku:

— Dobranoc, Janie.

Twinko drgnął zdziwiony, bo dotąd mówiła tylko po rosyjsku.

— Ty znasz mój język?

— Uczę się — odrzekła z uśmiechem. — Niedługo będziemy rozmawiali po polsku. Dobranoc, przyjacielu.

Były te wyrazy tak miłą dla Twinki niespodzianką, że omal nie wyskoczył z łóżka i nie ucałował dziewczyny. Odpowiedział jej miękko:

— Dobranoc, kochana Kalo.

Silne wrażenia płoszyły mu sen do rana. Kala wstała wcześniej, ubrała się w mroku i rozpałała ogień. On również szybko się ubrał i zaczął jej pomagać w przygotowaniu śniadania. Oboje przy tem żartowali, śmieli się i rzucali na siebie spojrzenia czułe. Dzień przeszedł im na zajęciach gospodarczych i rozmowach, w których coraz szerzej otwierali swoje dusze.

Wieczorem przyszła Agata. Przypatrzyła się bardzo uważnie córce, której twarz widocznie dała jej uspakajającą odpowiedź na badawcze pytanie, bo rzekła:

— Bóg był między wami.

Ku wielkiemu jednak jej zdziwieniu, Twinko prosił, ażeby Kala powróciła z matką na noc do domu.

— Jestem zupełnie zdrow — mówił — a ona mężczy się spaniem na twardych ławach.

— Młoda jest — odrzekła Agata — nie potrzebuje wygody.

— Zresztą — dodał Twinko — ciągle się obawiam odwiedzin żandarma.

Nie przytoczył powodu, który był dla niego może najważniejszym — odczuwania zbyt silnych wrażeń i męczącego hamowania swych pragnień.

Kala nie odzywała się wcale i prawdopodobnie podzielała pobudki Jana. Ona także czuła się zmęczoną.

Gdy obie kobiety, pożegnawszy go serdecznie, odeszły, doznał naprzód pewnej ulgi, a następnie dotkliwego braku istoty, która była rozkoszą jego oczu i słodczą jego duszy.

Dawno już nie otwierał zeszytu, któremu powie-

rzał swoje myśli. Teraz go wyjął z szuflady stolika i pisał:

„Jak mało wystarcza człowiekowi wiedzy dla uwierzenia, że posiada jej tyle, ile potrzebuje i że po nią nie ma żadnej rzeczy godnej poznania. Nam europejczykom zdaje się, że nasze typy i rodzaje ludzi wyczerpują całą różnorodność ludzką i że te jej odmiany, które istnieją po za naszym obrębem, są tylko okazami zwyrodniałemi. Uważając swój gatunek za normę i miarę, nie przypuszczamy, ażeby jakiś inny był równy naszemu a tem bardziej, ażeby był od niego doskonalszym. Ci poczciwi sekciarze z duszami tak czystymi, że niepodobna w nich dostrzec najmniejszego mętu, uważani są w świecie tak zwanej największej kultury za nieokrzesanych prostaków, oślepiionych przesądami, niezdolnych wytrzymać blasku jej światła; tymczasem moralnie wznoszą się oni na taką wysokość, jakiej wzrokiem nie dosięgają najidealniejsi kulturnicy. Czy z Joachimem i Agatą mogą się porównać europejscy dobrodzieje i dobrodziejki? A Kala? Ile uroszczeń, kłamstw, obłudy, samolubstwa i nieprawości okazałaby wykształcona i wytresowana panna, obdarzona jej urodą, wdziękiem i przyrodzonym bogactwem jej duszy! Czy zechciałaby i zdołała bez wstydu i upadku przepędzić dnie i noce z samotnym młodym mężczyzną? Człowiek, oddalając się od zwierzęcia z wielką dla siebie szkoda pozbył się kilku cennych jego przymiotów, nade wszystko zaś prostoty i szczerości, którą zastąpił kłamstwem i udawaniem”.

Ktoś zastukał z zewnątrz. Twinko przerwał pisa-

nie i otworzył drzwi. Wszedł żandarm. Rozejrzał się po izbie i zapytał:

— Pan sam?

— Jak pan widzi.

— Ja tylko chcę sprawdzić, czy do pana nie zachodził zbieg z katorgi, którego poszukujemy.

— Nikt u mnie nie był.

— Nawet duchoborcy. Oni tu przecież osiedli niedaleko. Czy pan zna drogę do nich?

— Znam tylko drogę do miasta. Żadnej innej.

— Panu nie nudno samemu?

— A gdyby było nudno, to panowie postaraliby się mnie rozweselić?

— Mógłby się pan przenieść do Nerczyńska. Rząd złagodniał, pozwala.

— Dziękuję za łaskę, tu mi lepiej.

— Wiadomo nam, że uwijają się po okolicy agitatorzy, którzy chcą wywołać bunt na Syberji, ażeby rządowi utrudnić wojnę. Czy u pana nie byli?

— Po co?

— Oni szukają stosunków i pomocników.

— Nie mam żadnych stosunków i nikomu nie mogę być pomocnikiem.

— Dlaczego duchoborcy zamieszkali w puszczy?

— Jestem osiedleńcem przytwierdzonym do miejsca, z którego wolno mi wydalać się tylko do Nerczyńska, a pan zadaje mi pytania, jak gdybym był policjantem, krążącym po okolicy i obowiązany ją badać. Ja mogę pana tylko objaśnić, co się dzieje w tej chacie i na przyległym do niej kawałku ziemi, którą uprawiam. Każda wrona wie więcej ode mnie.

— To prawda. Przepraszam.

Odchodząc zatrzymał się na progu i powiedział:

— Jutro w Nerczyńsku odbędzie się uroczyste nabożeństwo za zdrowie chorego cesarza. Niech pan pójdzie do cerkwi. To będzie przez władze dobrze widziane.

Stanął przed chatą i rozejrzał się wokoło, ale oprócz konturów drzew na śniegu i gęsto po niebie rozsianych gwiazd niczego więcej nie dostrzegł.

— Czy on też ma wódkę? — pomyślał, idąc ku miastu.

Twinko zatrwożył się temi odwiedzinami, które o godzinę wcześniej mogły były narazić kobiety na spotkanie z żandarmami. Zwłaszcza możliwość odkrycia nocującej u niego Kali przeraziła go. Był tak rozstrojony, że narazie nie ułożył sobie żadnego stałego planu, rozumiał tylko, że musi obmyśleć sposób, zabezpieczający przyjaciół od ujawnienia się w jego domu. Gdy wyobraził sobie, że Kala, która zwróciła w mieście uwagę swoją nadzwyczajną urodą, mogła być aresztowaną pod pozorem jakiejś winy a rzeczywiście dla dogodzenia żądzy jakiegoś napaśnika, ściśnięte serce uderzało mu w piersi młotem. Niecierpliwie oczekiwał przybycia kogokolwiek dla ostrzeżenia.

Nazajutrz wieczorem zjawił się Joachim, któremu opowiedział o wizycie żandarma i swojej obawie. Uradzono, ażeby przez pewien czas nie pokazywał się u niego nikt z duchoborców.

X.

Wlokły się przez zimę dnie nudne, smutne, puste i tęskne. Joachim odwiedzał Twinkę rzadko, Agata rzadziej a Kala wcale. Ta strata dokuczała mu najbardziej, zwłaszcza, że w jego sercu rozrastało się głębokie uczucie dla tej dziewczyny, której szczerą i czystą prostotę działały na niego szczególnie, dotąd mu nieznanym urokiem.

Listy do braci i Kobrycza wysyłał coraz rzadsze, coraz krótsze i coraz mniej utyskujące. Próżnię samotnego życia zapełniał rozmyślaniami i zapisywaniem tych myśli w pamiętniku.

„Gdybym teraz powrócił do dawnych warunków, nie umiałbym w nich żyć i musiałbym przypomnieć sobie dawne pojęcia, zasady i upodobania. Nadewszystko nie umiałbym żyć rzeczywistością. Kto nią się karmi i znajduje w niej smak, podobny jest do świni, która zadawała się tem, co wyrzyje w ziemi i nie podnosi nigdy głowy w górę. I tu rzeczywistość jest wstrętą, ale w nią nie wrastam, nie uważam jej za miłą atmosferę dla mojej duszy. Jest to błoto, które mnie obryzguje, ale go się strzegę, z niego się omywam i nie pozostawiam go na sobie jako powłokę mojego ciała. Czem mnie czaruje Kala? Pięknością? Widziałem równie piękne. Rozumem? Widziałem równie rozumne. Dobrocią? Widziałem równie dobre. Zachwyca

mnie naturalnością i szczerością swojej istoty. Jest taką, jaka się urodziła. Nie ma nic sztucznego, nic podrobionego. W niej po raz pierwszy poznałem kobietę prawdziwą, nieprzekształconą ani wychowaniem, ani obyczajem, ani urodą. Jakże ona w tej swojej prawdzie jest urocza! Czy będzie moją? Między mną a nią stoi wysoki mur, którego ja nie mam ani siły obalić, ani odwagi przeskoczyć”.

Mając wiele czasu wolnego od zajęć gospodarczych, przerabiał w myśli najrozmaitsze tematy i zapisywał w pamiętniku nietylko uwagi, związane z jego życiem, ale zupełnie od niego odezwane.

„Kobiety są daleko mniej warte, niż ich cena podawana w kursach giełdowych opinji świata. Ale w szacowaniu ich popełniamy błąd i niesprawiedliwość, mierząc ich wartość skalą mężczyzn. Postępujemy tak, jak gdybyśmy oceniali pawie miarą indyka dlatego, że również podnosi w górę ogon i rozpościera jego pióra wachlarzowo. Mężczyzna i kobieta są to istoty zupełnie różne. Jeżeli organizacja wszelkich zbiorowisk ludzkich nie ma na celu szczęścia jednostek, to nie ma żadnego sensu. Wszelki ustrój współżycia ludzi jest dobry, gdy się składa z jednostek, dobrych, wszelki jest zły, gdy się składa ze złych. Ten tylko organizm jest zdrow, którego komórki są zdrowe. Duchoborcy mają słuszość, starając się doskonalić duszę człowieka, a nie układ stosunków ludzkich. Żadna rewolucja, żadna reforma, żadna ustawa nie może zapewnić ludziom szczęścia, jeśli go nie wytwarzają ich własne dusze. Kalo, jasna gwiaz-

do, ukaż się. Ty mi tworzysz dzień, bez ciebie ogarnia mnie noc”.

Jakgdyby usłyszała to wezwanie, przysłała mu przez matkę kilka słów napisanych po polsku.

„Ludzie głoszą, że wschodzi słońce i że wkrótce zobaczymy się w jego świetle”.

Znaczenia tych słów nie zrozumiał tylko odczuł ich tajemny urok. Agata umiała go zaledwie objaśnić, że Kala tęskni do niego i cieszy się tem, co ludzie opowiadają. Co opowiadają?

Zaciekawiony udał się do miasta. Był mroźny poranek lutowy. Powietrze jak gdyby skrzepło i stwardniało w zawieszone nad ziemią morze przejrzystego lodu. Na rynku spostrzegł gromadki ludzi rozprawiających szeptem, przestraszonych i ucieszonych. Zbliżał się do nich kolejno, nie mogąc uchwycić wyrazów związanych. Nareszcie z jednej dobiegła go mowa głośniejsza:

— Umarł podobno dobrowolnie, ze zmartwienia, że wojnę przegrał. Wszyscy zapewniają, że następca tronu nie pójdzie po drodze ojca.

Twinko domyślił się: umarł car Mikołaj. W tych kilku wyrazach nie mieści się cały ogrom wrażenia, jakie wywarła ta śmierć niespodziewana, upragniona i przerażająca. Była to błyskawica z hukiem wstrząsającego gromu, był to trzask walącego się płonącego gmachu, było to odwalenie się kamienia z milionów piersi zgniecionych i zduszonych. Trzydziestoletnie panowanie okrutnego tyrana, który z pogńębienia, męki i smutku poddanych czerpał swoją radość, który każdą chwilę swego życia i każdy

ruch swej władzy usiłował zużytkować na ich torturę, wpoilo w nich wiarę, że on jest niezmożonym, nieśmiertelnym, nietykalnym dla żadnej choroby i że może odejść tylko na wyraźny rozkaz boski. Mikołaj, nie mógł umrzeć zwyczajnie a umarł. Co to się stało, czy to jest prawdą, czy nastąpiło jakieś złamanie w prawidłowości świata? Twinko nie był przeniknięty tą wiarą niewolników straszego cara, a jednak wiadomość o jego nagłym zgonie wstrząsnęła nim gwałtownie. Bo przecie zginął jego kat, sprawca jego prawnego zgonu.

Po powrocie do domu, zastał w nim Joachima z Kalą, którzy nie czekając nocy, przybiegli z wiadomościami o śmierci tyrana. Dochoborcy byli przekonani, że nowy car nie będzie ich prześladował z zjadłością dawnego i że wogóle zaniecha karania przestępców politycznych. Rozradowana tą nadzieją Kala, rzuciła się na szyję Twinki i ucałowała go.

— Będziemy wolni—mówiła ze łzami w oczach.— Ale ty Janie nie rozstaniesz się z nami — prawda?

Twinko milczał. Nie mógł powstrzymać wiru myśli i ułożyć ich w jakieś stałe postanowienie.

— Poczekajmy z radością — rzekł, zdjawszy ze swej szyi ręce dziewczyny, które zatrzymał w swoich. — Carowie rosyjscy, są nienasyчени w samowładztwie.

Pomimo tego ostrzeżenia rozmawiali wesoło, drwiąc z żandarmów, niewiedzących jeszcze, na jakie tropy puści ich nowy monarcha.

— Bez żadnej obawy zostanę dziś u ciebie — powiedziała Kala.

Twinko uczuł podwójny dreszcz — lęku i uciechy. Nie sprzeciwił się.

Po odejściu Joachima Kala zajęła się przygotowaniem obiadu, żartując z Twinką, który mało się odzywał, tylko wodził za nią oczami, zbierając niemi wdzięki, które ona rozsypywała każdym swoim ruchem, każdym słowem i każdym spojrzeniem. Mówiła ciągle.

— Nie wiem, jak uradzą starsi. Ja wolałabym tu zostać. Kaukaz jest cudowny, pragnęłabym nigdy go nie opuszczać, ale tam rząd strasznie dokucza góralom, lubiącym swobodę, a popi duchoborcóm, nieuczyszczającym do cerkwi. Najgorzej jest ładnym kobietom. Wszyscy urzędnicy i oficerowie na nie polują, ścigają, porywają, gwałcą. Mnie matka trzymała zamkniętą w dzień i tylko wychodziła ze mną w nocy. Od dwóch lat nie widziałam słońca, gór, drzew i kwiatów, żyłam jak ćmy i nietoperze. A i nasi mężczyźni są niedobrzy. Przy spotkaniu z nimi zdawało mi się, że jestem myszą a oni kotami. Żaden z nich nie jest podobny do ciebie. Wuj Joachim twierdzi, że w nich także przebywa Bóg, ale ja tego nie widziałam. Oprócz duchoborców z żadnym nie odważyłam się przebyć minuty w odosobnieniu a u ciebie nocuję. Bo ty jesteś jak Kościół Trójcy. Czy tacy są wszyscy Polacy? Nie? Ale zapewne wielu. Jak to miło żyć między wami. W tej chwili przyszła mi doskonała myśl. Nie będę nocowała u ciebie, ale ty będziesz nocował u nas. Pójdziemy oboje wieczorem do naszej osady. Wuj już dawno chciał cię zaprosić. Teraz gdy żandarmi nie są tak

czujni, nic ani tobie, ani nam nie grozi. No, nie namyślaj się, odprowadzisz mnie, poznasz naszą kolonję. Ach, jaka w niej będzie radość, gdy cię zobaczą! Powiedz, pójdziesz?

— Pójdę — odrzekł Twinko.

Kala przyskoczyła, objęła jego głowę i patrząc zalotnie w jego oczy, mówiła:

— My cię wszyscy kochamy, a najbardziej ja. Wierzysz?

— Wierzę — odrzekł drżącymi ustami.

Chciał ją objąć, ale cofnął stężoną rękę, nagle powstrzymaną jakimś wewnętrznym zakazem.

Zjedli obiad rozweseleni i zaledwie mrok się zaczął, wyruszyli w drogę. Kala, uczepiona ramienia Twinki, nie przestawała śmiać się, jak ucieszone dziecko, rzucając na jego twarz błyski swych czarujących oczu.

Osada duchoborców, oddalona o kilka wiorst i zatopiona w gęstym lesie, składała się z pięciu drewnianych, mocnych domów z przyległymi do nich budynkami. Wszystkie okna, szczelnie zamknięte okiennicami, nie przepuszczały z wewnątrz żadnego promienia światła, tylko lekki szmer słów nieprzerywanych. Kala zapukała we drzwi pięciokrotnie. Zastukały śpieszne kroki, otworzyła drzwi Agata. Zobaczywszy przybyłych krzyknęła:

— Oboje!

Wbiegło do sieni kilka osób, między niemi Joachim, który chwycił Twinkę w objęcia, przycisnął do piersi i długo trzymał szepcząc:

— Witamy cię, witamy całym sercem.

Obszerna, wybielona i wymyta do olśniewającej czystości izba napełniona była mężczyznami i kobietami a wśród nich siedział przy małym stole kilkunastoletni chłopiec, brat Kali, przed którym leżał otwarty zeszyt. Wszyscy powstali i pozdrowili wchodzących głębokim ukłonem ze słowami:

— Niech będzie pochwalony Bóg, który w was przebywa.

Twinko odpowiedział równem pozdrowieniem.

— Nie nazwę go i nie powiem, kim on jest, — rzekł Joachim — bo go znacie.

Między obecnymi Twinko dostrzegł towarzyszków z katorgi, których powitał osobno uściskiem rąk.

— Zastałeś nas, drogi Janie — powiedział Joachim — przy odczytywaniu życiorysu Świętego Polaka, pod tem tylko imieniem był znany w katordze oremburskiej, do której został wysłany za udział w Konfederacji Barskiej. Uwolniony od ciężkich robót mieszkał w odludnej ziemiance, którą sobie wykopał w tajdze. Widział go mój dziad, skazany na tę samą katorgę za naszą wiarę i opisał jego żywot na tych kartach, które przechowujemy i często odczytujemy dla utrzymania w czystości dusz naszych.

— Nie przerywajcie czytania — rzekł Twinko — ja chętnie posłucham.

Młodzieniec, w którym można było dostrzedz odblask piękności siostry, zaczął miłym głosem czytać opowieść. Święty Polak, chociaż prowadził życie pustelnicze, nie unikał ludzi i chętnie z nimi obcował, ale najwięcej przebywał ze zwierzętami. Gdy był sam, przed jego ziemianką zbierały się reny, wilki,

zające, lisy, gronostaje, sobole, rozmaite swojskie i dzikie zwierzęta, które pozostawały w zupełnej zgodzie a rozpierzchały się kryły, spostrzegłszy zbliżającego się obcego człowieka. Towarzyszyły mu gromada, gdy chodził po polu lub lesie. Odwiedzali go ciekawi i czciciele. Uczył on, że każdy człowiek wydaje szczególną woń, której inni ludzie nie odczuwają, ale odczuwają zwierzęta i do niej stosują swoje zachowanie się. Są jednostki, które dla nich mają miły zapach — do tych one się garną i tych się nie boją. Według niego wszystko, co żyje, mówi, ale tych niezliczonych języków zwyczajny człowiek nie rozumie. Kiedyś jednak wszystkie stworzenia, nie wyłączając roślin, będą się porozumiewały; wtedy przestaną z sobą walczyć i wzajemnie się tępić. Wszelka modlitwa obraża Boga, bo go pomniejsza i uważa za niewiedzącego, co się dzieje na świecie i czego ludziom potrzeba. Skoro Bóg jest wszechwiedzącym i wszechmocnym, nie należy go o niczem zawiadamiać i o nic prosić. Ponieważ człowiek nie może przeniknąć nawet drobnej cząstki tajemnic wszechświata, przeto największą jego mądrością jest uczciwość, tworzenie harmonji współzycia i współdziałania z innymi ludźmi i całym istnieniem. Chrystus ciągle się odradza w wybranych ludziach i ciągle bywa w nich umęczony. Obecnie odradza się w Polakach. Gdy Święty Polak, umarł, nad jego mogiłą śpiewały w dzień ptaki, a w nocy zbierały się zwierzęta, które wydawały żałosne głosy.

— My nie dzielimy całej nauki Świętego Pola-

ka — rzekł Joachim po skończeniu czytania — ale go czcimy.

Zgromadzeni zaczęli szczegółowo rozbiierać tę naukę i pomimo drobnych różnic w poglądach zgodzili się na to, że Święty Polak był wzorem człowieka.

Następnie podjęto pytanie, czego można oczekiwać od nowego monarchy. Nikt nie dał stanowczej odpowiedzi a Joachim zamknął rozprawę oświadczeniem:

— Wszyscy carowie byli prześladowcami wolnej myśli i wiary. Będzie zapewne jej wrogiem również obecny. Ale jakimkolwiek się okaże, wyznawcy i obrońcy tej wolności pozostaną niezmienni. Oni są niezmożeni i nieśmiertelni.

Księżyc już przeszedł duży kawał drogi na niebie, gdy zakończono dysputę. Zebrani rozeszli się do swoich domów, pozostali tylko Joachim, Agata, dwójce jej dzieci i Twinko. Kala odprowadziła go do sąsiedniej izby, w której miał nocować z jej bratem, Markiem, który czytał żywot Świętego Polaka.

Na pożegnanie powiedziała mu:

— Wszyscy pragniemy, ażebyś od nas nigdy nie odszedł, chyba — dodała filuternie po chwili — ze mną.

— Czy nie potrzeba ci czego? — zapytał Marek, gdy ułożyli się do snu.

— Nie — odrzekł Twinko.

— Kala gniewałaby się na mnie, gdybym ci nie usłużył.

— Kala umie się gniewać?

— No, tak, jak gołąb.

Twinko wstał jeszcze przed brzaskiem. Ale gdy wymykał się cicho, ażeby nie obudzić nikogo, usłyszał w mroku po za sobą lekkie kroki i szept:

— Odchodzisz?

— Ty Kala?

— Ja.

— Już nie śpisz?

— Nie spałam — z radości. — Do widzenia, Janie.

Uczuł przysuwającą się do niego rękę, którą pochwycił i ucałował.

— Będziesz do nas przychodził?

— Będę, droga.

Szedł przez las w rozkosznym zamyśleniu. Wtulone w niebo gwiazdy nie rozświecały ciemności i nie wskazywały mu drogi, której nie zapamiętał dokładnie. Znał tylko ogólny jej kierunek. Gdy zdawało mu się, że powinien już być niedaleko swojego domu, spostrzegł, że zanurza się w coraz bardziej zwartą gęstwinę. Oczywiście zbłądził. Posuwanie się dalej na oślep groziło niebezpieczeństwem zarówno od mrozu, jak od włóczących się po puszczy dzikich zwierząt. Nic nie objaśniało go gdzie się znajduje. Zrozumiał, że jedynym wyjściem było cofnięcie się nazad po własnych śladach. Rozlewająca się po śniegu jasność świtu pozwoliła mu je odnaleźć. Powrócił aż do miejsca, z którego już mógł dojrzeć osadę duchoborców. Na szczęście w miękim śniegu zauważył ścieżkę wydeptaną dwiema parami nóg — swoich i Kali. Idąc tym szlakiem, wpatrywał się z przyjemnością w odciski drobnych stopek dziewczyny. Teraz już nie zmylił drogi. Widział ją coraz

wyraźniej, bo słońce wysunęło się na krawędź ziemi i strzelało przez drzewa pierwszymi promieniami. Na odkrytej polanie ujrzał zdala mężczyznę stojącego przed chatą. Przyśpieszył kroku zdumiony. Był to żandarm, który go zapytał podejrzliwie:

— Pan skąd tak rano?

— Nic dziwnego. Upatrywałem w lesie drzewa na stodółkę. Ale co pan tu robi o tej porze?

— Po służbie. Kazano zawiadomić osiedleńców, ażeby dziś stawili się w naszej kancelarji dla wysłuchania manifestu cesarskiego. I pan wezwany.

— Cóż to za manifest?

— Nie wiem. Zmarzłem na gnat. Czy pan nie ma gorącej herbaty?

— Mogę mieć.

Weszli do chaty. Gdy Twinko rozpałał ogień, żandarm chodząc i tnpiąc dla rozgrzania nóg, mówił:

— Obowiązki żandarmskie są ciężkie, ale przyjemne, bo wykonywane z miłości dla cara. Każdy monarcha rosyjski, ma jakąś wielką cnotę. Mikołaj Pawłowicz — to ojciec surowy, ale sprawiedliwy, jak Bóg. Jego następca, Aleksander Mikołajewicz do-bry i miłosierny, jak syn Boży, on lituje się nawet nad najnędniejszym robakiem. On i was Polaków miłuje, chociaż się buntujecie. Duchoborcy odwiedzają pana?

— Nie.

— To lisy, unikają ludzi i kryją się w norach. Ale my ich wykurzymy.

Twinko rozumiał tę gadaninę. Żandarm przyzwyczajony do tajemnicy, nie powiedział wyraźnie, że

car Mikołaj umarł i Aleksander wstąpił na tron, bo do ujawnienia tego wypadku miała prawo tylko władza. On poprzestał na sławieniu monarchy. Nagana dla duchoborców z pewnością oznaczała jakąś dla nich niełaszkę.

Żandarm wypił trzy szklanki herbaty z gryzionym kawałkiem cukru, podziękował i przypomniawszy Twince nakaz stawienia się, wyszedł.

Plac przed urzędem żandarmskim zaroił się wczesnie osiedleńcami. Byli między nimi przestępcy rozmaitego gatunku, którzy przeszli katorgę lub skazani tylko na pobyt w Syberji, rozmaitej narodowości i wiary, wszystkie okazy tej wielkiej arki ludzkiej, która nazywa się Rosją. Jedni wyglądali zdrowo i dostatnio, drudzy chorowicie i ubogo. Jedni byli podnieceni, drudzy obojętni. Jedni oczekiwali czegoś z niepokojem, drudzy tylko z ciekawością.

Wyszedł pułkownik żandarmów, który z progu zawołał:

— Niech żyje najjaśniejszy pan Aleksander Mikołajewicz!

Okrzyk ten niektórzy powtórzyli głośno, inni cicho a inni nie odezwali się wcale. Tym, którzy nie odkryli głów, żandarmi zrzucili czapki.

— Najjaśniejszy pan — mówił pułkownik — czcąc pamięć rodzica spoczywającego w Bogu i chcąc rozpocząć panowanie objawieniem dobroci i miłosierdzia nawet najnędniejszym ze swoich poddanych, raczył skazańcom darować część lub całą karę. Ta łaska monarsza odmierzona będzie każdemu według jego grzechu, wycierpianej pokuty i okazanej skru-

chy. Każdy z was pojedynczo dowie się o swoim przeznaczeniu.

Wchodzili do kancelarji kolejno, i wychodzili jedni z radością, drudzy z pogębieniem lub przekleństwem. Twinko nie śpieszył się. Gdy stanął przed pułkownikiem, dowiedział się od niego, że pozwolono mu opuścić Syberję i zamieszkać gdziekolwiek w Rosji europejskiej z wyjątkiem poprzedniego miejsca pobytu i Królestwa Polskiego. Przyjął tę wiadomość obojętnie.

— Pan się nie cieszy? — zapytał go zdziwiony pułkownik.

— Dla mnie już za późno na uciechę — odrzekł i wyszedł z kancelarji.

Na placu potworzyły się grupki żywo rozprawiając. Do Twinki zbliżył się mężczyzna w poszarpanym kożuchu i zrudziałej czapce, z nogami obwiniętymi w brudne szmaty, związane łykiem, z twarzą ostro wykrojoną, chudą, bladą, ruchliwą, inteligentną. Przemówił po polsku:

— Co pan dostał.

— Ułaskawienie.

— Ja również. Wraca pan do kraju?

— Nie zaraz.

— Wiem, ma pan gospodarstwo niedaleko Nerczyńska. Ja nie mam nic. A podróż do Polski dużo kosztuje.. Zresztą nie warto wracać. Tam najcięższą pracą wyrobisz nędzę.

— Tu dzieje się panu lepiej?

— Mogłoby się dziać lepiej, gdybym miał trochę pieniędzy...

— Na co?

— Na przybory. Nie będę krył przed panem, bo wszyscy o tem wiedzą. Byłem grawerem, zostałem wysłany do katorgi za podrabianie pieniędzy. To doskonały interes, wymaga tylko wielkiej ostrożności, której ja nie zachowałem. Teraz byłbym mądrzejszy.

— Wstydź się pan tej mądrości.

— Niech się wstydzi moskiewski policjant, ale nie polski patryjota.

— Co pan pleciesz!

— To, co jest prawdą i zasługą. Przecież pieniądze są rosyjskie. Wyrabiając fałszowane, zuboża się skarb rządowy. Nadto zgromadziwszy wielkie sumy, można przekupić wszystkich urzędników, nabyć broń, urządzić powstanie, wyzwolić Polskę. Przecie i pan tego chciałeś...

— Nie za pomocą fałszowanych pieniędzy.

— W walce z wrogiem każdy środek jest godziwy.

— Nie każdy, a pański byłby nie tylko niegodziwy, ale i bezskuteczny. Podrabiana moneta nie szkodzi rządowi, który przeciwko niej się zabezpiecza, krzywdząc łatwowiernych ludzi, którzy ją przyjmują.

— I ci ludzie niech składają ofiary na ołtarzu ojczyzny.

— Żegnam pana i radzę zaniechać oszustwa, które już raz pana zgubiło.

— Drugi raz nie zgubi. Niech pan tylko pożycz mi kilkanaście rubli na narzędzia i materiały. Oddam, jak jestem prawy Polak i uczciwy człowiek.

Twinko nie odpowiedział i oddalił się. Usłyszał za sobą wypowiedziane po rosyjsku:

— Wot krugłyj durak!

Udał się do domu. Między myślami które go zajęły w drodze wsunęło się pytanie:

— Duchoborców nie wezwano. Czy manifest ich wyłączył z ułaskawienia?

Joachim, który wieczorem odwiedził go z siostrzenicą, potwierdził mu ten domysł. Dowiedział się bowiem, że wolno im będzie jedynie, jeśli o to poproszą, wysiedlić się zagranicę. Kala zaniepokojona temi wiadomościami, pozostała u Twinki, ażeby go wybadać, jak zamierza skorzystać z ułaskawienia. Gdy po kolacji usiedli przy stole a on milczał zamyślony, zapytała go, siląc się na mowę polską.

— Opuścisz nas, Janie?

On popatrzył długo w jej zatrwożone oczy, siadł przy niej, opasał ręką jej kibić i rzekł:

— Chcesz zostać moją żoną?

Ona położyła głowę na jego piersi i wybuchnęła płaczem.

— Chcę, chcę, pragnę tego więcej, niż życia.

— To nią będziesz — powiedział, objawszy rękami jej głowę, którą pokrył pocałunkami.

— Naprawdę? — spytała odchylając głowę i błagając odpowiedzi zażawionemi i miłującemi oczami — powtórz jeszcze, powtórz.

— Jeśli mnie kochasz, będziesz moją żoną.

— Ach, mój drogi, gdyby wszyscy ludzie tego żądali, gdybyś ty wymagał, gdybym ja sama pragnęła, gdyby nawet Bóg rozkazał, żeby cię nie kochać —

nie mogłabym. Moja dusza niewiele nauki dostała, ale dużo zdobyła sobie sama rozmyślaniami. Wierzę, że serce ludzkie pozostaje pod władzą najwyższej mocy, która panuje nad wszystkimi siłami, która zgina wszelką wolę i łamie wszelki opór, której żadna potęga oprzeć się nie może. Ta moc objawiła mi: będziesz go kochała każdym drgnięciem twego serca, będziesz go kochała w szczęściu i nieszczęściu, zdrowiu i chorobie, w triumfie i upadku, zwycięzcy i zwyciężonego, będziesz go kochała nawet wtedy, kiedy utraci wszystko to, za co go pokochałaś. Taka jest moja miłość.

Twinko słuchał tego wyznania, jak pieśni anioła, której dotąd nie słyszał. Ona po przerwie mówiła dalej.

— Rozważ, czy wytrzymasz tę moją miłość, czy jej płomienie cię nie spalą, czy udręczony przez nią nie będziesz chciał od jej żaru się usunąć lub go ostudzić. Pomyśl, że ja ci zabiorą wszystkie chwile twojego życia, że zaciążę na każdym ruchu twojej woli, że cię pochłonę i nie zostawię z siebie nic dla świata. Zastanów się nad tem niebezpieczeństwem, a jeżeli ono wyda ci się groźnem, porzuć Kalę, uciekaj i pozostaw ją, ażeby sama spłonęła w ogniu swojej nieszczęsnej miłości.

— Wszystko to, co powiedziałaś — odrzekł Twinko wzruszony — nie tylko mnie nie przestrasza, ale owszem rzuca w moją przyszłość blask olśniewający. Twoje słowa są promieniami szczęścia, z których się złoży słońce mojego życia. Wiem mi i ufaj. Nic więcej powiedzieć sobie nie potrzebujemy. Od dziś życie nie będzie twojem i mojem, lecz naszym.

Związała ręce na jego szyi, przyciskała i odejmo-
wała twarz od jego piersi, pieściła go i dziękowała
pocałunkami. Chociaż milczeli, ciała i dusze ich dłu-
go jeszcze rozmawiały z sobą dreszczami rokoszy
i uczuciami radości.

— Zapewne już jest bardzo późno — powiedział
Twinko, zdejmując łagodnie ze swej szyi ręce Kali.

Rozpostarł na ławach worek skórzany, w który
ona, zdjawszy tylko trzewiki, wsunęła się nieroze-
brana. On obcałował jej głowę i również ubrany
spoczął na łóżku. Długo przebijał ciemność zwróco-
nym ku niej wzrokiem.

— Ach, Kalo droga — rzekł wreszcie — jak ja
pragnę w tej chwili pójść do ciebie!

— I ja. Dobranoc, mój najmilszy.

Zasnęli, albo raczej zamarzyli się do rana.

Rano umówili się, że ona pójdzie do osady a on
do miasta dla wyrobienia sobie paszportu i że wie-
czorem spotkają się u Joachima.

XI.

Twinko złożonywszy podanie w policji, udał się na pocztę. Tam oddano mu trzy listy, jeden z 3.000 rubli. Powrócił śpiesznie do domu, zaciekawiony tą niezwykle obfitą korespondencją. Otworzył naprzód pieniężny. Od braci. Pisali oni:

„Zapewne z urzędu otrzymałeś już radosną wiadomość o ułaskawieniu. Ponieważ tymczasem nie wolno ci jeszcze zamieszkać z nami i nie wiemy, jakie miejsce wybierzesz i co zamierzasz, przeto posyłamy ci 3.000 rb., które otrzymaliśmy przy zakończeniu dzierżawy Leniszek ze sprzedaży inwentarza i które zachowaliśmy w banku do twego powrotu. Domyślasz się, ile radości ten powrót wlewa w serca nasze i twoich przyjaciół. Harmonizuje ona z weselem całego społeczeństwa, uszczęśliwionego wspólną myślności nowego monarchy, zapowiadającą ważne łaski nietylko dla Cesarstwa, ale i dla Królestwa. To też od wstąpienia jego na tron trwa u nas nieprzerwane święto, rzec można — nieustający śmiech wesołości. Żałoba po zmarłym cesarzu powstrzymuje jeszcze bale publiczne, ale prywatne odbywają się ciągle. Pani Grodkowa, która cieszy się szczerze ze zmiany twego losu i kazała pozdrowić cię serdecznie, pomimo poważnej tuszy, zwiększonej nadzieją czwartego błogosławieństwa, tańczy zapa-

miętale, jak gdyby zrzuciła z siebie wszystkie lata popanieńskie.

I my cieszymy się nie tylko ogólnem, ale i osobistym szczęściem.. Przyznano nam bowiem dostawy zboża i sukna dla wojska z obietnicą oficera, który będzie je odbierał, że za dwa procent od należności będzie przyjmował wszelki towar, nawet w najgorszym gatunku. Nakoniec wydobędziemy się z naszej biedy i może nawet szybko odzyskamy dawny dostatek. Nie martw się drogi bracie twoją przyszłością: gdy my będziemy mieli, będziesz miał i ty, chociażbyśmy nawet zdjęli z siebie przysięgę nietworzenia rodziny. Nazwisko Twinków przez ciebie tak wspaniale oczyszczone, już dziś posiada inne znaczenie. Ściskamy cię najczulej, donieś nam natychmiast o twojem postanowieniu”.

Jan zmiął papier i rzucił pod komin. Twarz wykrzywiła mu się wstrętem, z ust spadały oderwane od myśli wyrazy.

— Łaski tyrana i krzywdziciela... Ogólna wesołość... Dostawy przekupne... Brr!

Wstrząsnął się i otworzył drugi list od Kobrycza. „Jasiu kochany, ptaku wypuszczony z klatki, przez dziewięć lat nieużywane skrzydła trochę ci zdrętwiały, ale w swobodnym locie odzyskają dawną sprawność. Wyfruń co prędzej do nas, którzy oczekiwaliśmy cię ze smutkiem, a teraz z radością. Nie wążp, odmłodniejesz, jak odmłodniałem ja i wszyscy rodacy. Chciałbym w tej chwili porwać cię w objęcia, uścisnąć, potem nalać kieliszek wina i wypić toast na cześć szczęśliwej przyszłości. Nie wiem,

gdzie ci pozwolą na popas. Postaramy się, ażeby nie-
daleko od swojego gniazda i nie na długo. Zawiado-
miony zaraz do ciebie polecę, chociażbym miał
ukraść mojemu Towarzystwu Wyścigów Konnych
najlepszego wierzchowca. Jestem tak rozradowany,
że pierwszy raz w życiu ucałowałem obie ręce na-
szej starej prezesowej (dotąd czyniłem to tylko
z młodemi moskiewkami), a księciu prezesowi powie-
działem: może nadszedł czas, w którym patryjocie pol-
skiemu będzie przyjemnie nazwać się wiernym pod-
danym cesarza rosyjskiego. *G a u d e a m u s i g i t u r.*
Twój wierny przyjaciel“.

Ten papier również Twinko zmiął i rzucił. Otworzył list trzeci — od syna z adresem na kopercie in-
ną ręką.

„Kochany papa — pisał chłopiec niezgrabnemi,
polsko - rosyjskimi literami i fantastyczną ortogra-
fją. Jak skoro doniesiesz, gdzie będziesz żył, zaraz
do ciebie przyjadę, tylko przyslij pieniędzy na drogę,
bo matka nie ma, a może ma, tylko dać nie chce
i gdzieś chowa. Chociaż ja już nie chodzę do szkoły,
bo umiem czytać i pisać, przydałby się bywшему
uczniowi mundur. Luby papa, kiedy cię wypuszczą
z turmy, wybierz takie miejsce, gdzie byłby las i rze-
ka. Ryby łowić już umiem, a strzelać łatwo się nau-
czę, kiedy mi kupisz fuzję. Kup koniecznie konia, bo
ja już dobrze jeżdżę bez siodła. Nie obawiaj się, aże-
bym nie zginął w podróży. Ja już raz jeździłem z to-
warzyszami łódką po jeziorze przez trzy dni. Matka
płakała a mnie nic się nie stało i jeszcze przywiozłem
jej dwa szczupaki. Twój kochający syn Tazio“.

Dopisek:

„Pan Podlaski nie wie o tym liście, bo może nie pozwoliłby go wysłać. Pieniądze na markę dała mi mama dobrowolnie”.

I ten papier zmięty rzucił Twinko do poprzednich.

— Teraz moja droga — pomyślał — jest prosta i jasna.

Podjął leżące na podłodze listy i spalił.

Po południu udał się do kolonji duchoborców. Joachim i Agata już wiedzieli o jego zamiarze połączenia się z Kalą.

— Do cerkwi prawosławnej się nie zwrócę — rzekł — kościoła katolickiego tu niema, zresztą jemu nie wolno uprawnić naszego związku. Więc zawieram go przed wami.

Zastanowił się i po chwili przemówił uroczyście po polsku:

— Ślubuję Kali miłość niewyczerpaną, niezmienną i dożywotnią. Przysięgam przed wami, że jej nie zdradzę i nie opuszczę, że będę nie tylko jej mężem, ale troskliwym opiekunem i wiernym przyjacielem. Wszystko dobro będzie naszym wspólnym dobrem, wszelka radość naszą wspólną radością, wszelki smutek naszym wspólnym smutkiem. Jeśli nad światem istnieje duch, który nim rządzi i przed którym dusze ludzkie otwarte są ze wszystkich tajemnic, on wie, że składam przysięgę szczerą i że jej nigdy nie złamię.

Kala ujęła go za rękę, drżącym głosem powiedziała również po polsku:

— Jego ślub jest również moim ślubem i jego przysięga moją przysięgą.

Twarze Joachima i Agaty oblały się łzami.

— Błogosławi was z nieba duch ojca Kali — wyszeptała matka. — On się cieszy waszym związkiem i waszem szczęściem. Bo wy będziecie szczęśliwi.

— Godni są tego — dodał jej brat.

— Nie wemę dziś Kali z sobą — rzekł Twinko — bo obawiam się odwiedzin żandarma, który przyjdzie zapewne z powinszowaniem mi swobody i otrzymania za to odpowiedniej wdzięczności. Nadto jutro rano muszę pośpieszyć do miasta dla zdobycia podwójnego paszportu, co wymagać będzie targu, kłamstwa i łapówek. Wreszcie trzeba kupić rzeczy, potrzebne do długiej podróży.

— Dokąd pojedziecie? — spytała trwożliwie Agata.

— Opowiem wam później.

Kala odprowadziła męża w głąb lasu. Odchodziła go i doganiała kilkakrotnie, wreszcie ucałowawszy go i pożegnawszy wesołym płaczem, wróciła do domu.

Zaledwie otworzono biuro policji, Twinko udał się do wskazanego mu urzędnika. Rzeczywiście rozpoczął się targ, długi i twardy, zwłaszcza gdy Twinko zażądał paszportu dla siebie i dla żony, która jakoby przyjechała po niego z Rosji. Urzędnik wiedział, że Twinko był kawalerem i że żona do niego nie przyjechała a nadto — co było okolicznością najważniejszą — że otrzymał z poczty znaczną sumę. Skończyło się na stu rublach i paszport podwójny był gotów.

— Dokąd pan jedzie? — zapytał urzędnik.

— Za Amur. Nie wybrałem sobie jeszcze miejsca do handlu.

— Życzę powodzenia. Tam można łatwo zarobić onę dobrze zmienić. Wybór kobiet duży. Tam byn i żeniłem się tyle razy, że ledwie duszę żywą rwiozłem.

Przy wyjściu czekał żandarm, który go odwiedzał który otrzymał za to upominek w postaci kilku bli.

W mieście zakupił Twinko nieco konserw spożywych i przyborów do podróży, które odniósł do swedomu. Zebrał niektóre rzeczy, spakował, usiadł zy stole i pisał:

„Kochani bracia. Listy od was z pieniędzmi, od obrycza i syna otrzymałem. Za dobrą chęć okazała mi życzliwości i pomocy serdecznie wam dzięku

Ale moja droga jest nie ta, na której pragniecie nie zobaczyć i powitać. Człowiek, żyjący tylko eczywistością, która zawsze bywa mniej lub więcej szpetną i upadlającą, jest albo głupim, albo nikemnym, albo nieszczęśliwym. Ja żadnym z nich być nie mogę ani z natury, ani z przeznaczenia. Dlatego nie powrócę do ojczyzny i do was. Musiałbym bowiem doznawać ciągłego bólu i wstrętu z powodu wielkiej różnicy pomiędzy tem, co bym widział a czego bym pragnął. Kocham Polskę, kocham moich rodaków, kocham was i tę moją miłość chcę palić, w niej do końca życia wytrwać. Niewątpliwie nie osłabiłbym ją w sobie osłabił, albo nawet zupełnie racił, gdybym patrzył na rzeczywistość, na Polskę pochyloną do stóp cara, na moich rodaków olśnionych jego łaskami, na was wyciągających ku niemu ręce po jałmużnę. Wyruszam stąd w daleką i nieo-

kreślona przestrzeń. Będę jechał, płynął lub szedł, dopóki nie znajdę takiej odległej ustroni, z której nie dojrzę Polski rzeczywistej i będę mógł wpatrywać się w wymarzoną i umiłowaną. Ażeby żaden cień smutnej wiadomości nie padł na ten słoneczny obraz mojego ideału, nie ujawnię wam miejsca mojego pobytu. Tylko niekiedy doniosę o mojem szczęściu, do którego przyczyni się istota związana z mojem przyszłym życiem, tak niepokolana w czystości swoich uczuć, jak przyszła na świat.

Nie gańcie mnie za tę ucieczkę. Nie mogąc żyć i działać w rzeczywistości, którą bym ciągle zamącał moją przekornością, mogę służyć ojczyźnie tylko oddaloną miłością. Żegnam was i Kobrycza wdzięcznym sercem, Jam już z nazwiska nie—Twinko, lecz Polski”.

Do Kobrycza napisał:

„Moi bracia usprawiedliwią mnie przed tobą, dlatego ciebie nie zobaczę i nie podziękuję osobiście za twoje przyjacielskie uczucia i usługi”.

Do syna:

„Ojciec twój umarł dla ciebie, możesz go jednak wskrzesić, gdy będziesz uczciwym człowiekiem i Polakiem”.

Przed wieczorem udał się do kolonji. Kala oczekiwała na niego w lesie. Weszli do domu roześmiani. Jan opowiedział żonie, Joachimowi i Agacie o wszystkim, co zrobił, odczytał im list do braci, który nastroił ich rzewnym smutkiem. Kala wpatrywała się w męża wzrokiem rozczulonego dziecka.

— Ale my będziemy wiedzieli gdzie zamieszkacie.

— Oczywiście — odrzekł Jan. — Pojedziemy na wschód, do morza. Tam, przedostaniemy się jakimś wybiegiem, zapewne okupem przez granicę, wsiądziemy na okręt angielski, który nas zawiezie może na jedną z wysp Oceanu Spokojnego, może do Ameryki, może do Indyj, gdzieś, gdzie będziemy mogli osiąść wśród ludzi prostych i dobrych, niezarażonych obłudą i przewrotną kulturą europejską. Chodzi tylko o to, jak przejechać Syberję.

— Dam wam mocnego konia z mocnym wozem— odezwał się Joachim. To będzie najwygodniej i najtaniej. Sprzedacie je w porcie.

Zaczęli rozbierać szczegóły podróży i obmyślać potrzebne w niej zapasy. Po naradzie, która się przeciągnęła w późną noc, Agata odprowadziła nowożeńców do pokoju, przeznaczonego im na sypialnię. Gdy zostali sami, splekli się w długim uścisku, mieszając pocałunki z szeptami. Czynili to również, ułożywszy się do snu, który nie zdołał oderwać ich ust i zamknąć powiek do rana.

Przez dwa dni wykończono przygotowania. Jan przywiózł wszystkie rzeczy ze swej chaty, którą wraz z pozostawionymi sprzętami darował Joachimowi.

Była wygwieżdżona, na niebie i rozjaśniona na wschodzie, napełniona ciepłem i wonnem powietrzem noc wiosenna, gdy stanął przed domem w jednego konia zaprzężony wóz, w którym upakowano rzeczy i po czułych pożegnaniach wsiedli Jan i Kala. Gdy ruszył, z drgających łzawem rozrzewnieniem ust wypadł najstraszniejszy wyraz mowy ludzkiej przy bolesnych rozstaniach:

— Nigdy.

Prawdopodobnie Jan i Kala Polscy zawiadomili Agatę i Joachima o miejscu swego stałego pobytu.

W opuszczonym domu pozostała żałoba, której smutek łagodził się pociechą.

Bracia Twinkowie otrzymali kopertę, ostemplowaną przez pocztę okrętową Oceanu Indyjskiego z kartą bez adresu, tylko z słowami:

„Zdała widzę Polskę w majestacie, chwale, blasku i piękności“.

Rzeczywiście widział, — swoje pragnienie.

KONIEC.

Warszawa — Krzewnia, 1928 r.



JAN PARANDOWSKI

NIEBO W PŁOMIENIACH

Znakomity pisarz podjął temat, nietknięty dotychczas w naszej literaturze, mianowicie: przełom religijny w duszy siedemnastoletniego chłopca, z którego to wielkie przeżycie robi myślącego człowieka. To co dotychczas było traktowane pobieżnie, „Niebo w płomieniach” przedstawia w głębokim i śmiałym zarysie psychologicznym, ukazując przejmujący rozwój utraty wiary i budowy nowego światopoglądu. Nie wiele znajdzie się w literaturze dzieł, któreby miały tak wysoki poziom intelektualny.

Wokół tego zasadniczego tematu grupują się inne motywy, wśród których na pierwsze miejsce wybija się czarująca pieśń miłosna dwojga młodych ludzi. Akcja toczy się w przedwojennym Lwowie, ukazując odrębność życia tej stolicy „koronnego kraju”, obraz społeczeństwa i wielki urok jednego z najpiękniejszych miast w Polsce.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

FRYDERYK KULLESCHITZ

REJS DOKOŁA ŚWIATA

KSIĄŻKA OSIĄGNĘŁA

NAGRODĘ LITERACKĄ (MARYNISTYCZNĄ)
IM. JERZEGO SZARECKIEGO W KWIETNIU 1936 R.

...Z artystyczną wnikliwością w duszę czytelnika podszedł do nas z dalekich przestrzeni mórz i oceanów, młody autor, Fryderyk Kulléschitz, uczestnik niedawnego rejsu „Daru Pomorza”. Książka jego p. t. „Rejs dokoła świata” jest przesycona wrażliwością uczuciowego rodzaju. Zawiera dużo reminiscencyj z literatury i odznacza się bystrością epickich spostrzeżeń, przełożonych na nutę serca. F. Kulléschitz znany jest z fragmentów książki, drukowanych w „Kurjerze Porannym”. Teraz jego wrażenia z wysp Hawajskich, Japonji, czy też piękne refleksje poetyckie z wyspy Mauritius krainy tkliwego romansu Pawła i Wirginji w powieści Bernardin de Saint Pierre, ożywają zebrane razem, jak rozwinięty w desenie kolorowy wachlarz. Książka F. Kulléschitza — może wbrew intencjom autora, który starał się ograniczyć do obiektywizmu reportażysty — przedstawia dużą wartość literacką. Pogłębia ją znajomość psychologii ludzi morza i celne docieranie do istoty zagadnień społecznych.

„Rejs dokoła świata”, jako utwór marynistyczny, odznacza się ponadto znajomością techniki nawigacyjnej i wiedzy żeglarskiej oraz dokładnością terminologii. Książka zdradza rzetelny talent; cechuje ją prawdziwie artystyczne wyczucie morza, jego kolorytu i nastrojów...

Janusz Stępowski

„Robinsonada morska”. (Ze szkicu literackiego, wygłoszonego w Polskim Radjo, dnia 7 stycznia 1936 r.).

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

MIKOŁAJ BIERDIAJEW

NOWE ŚREDNIOWIECZE

Jeden z najgłębszych myślicieli rosyjskich, przedstawiciel współczesnej filozofji religijnej daje w „Nowem Średniowieczu” wnikliwą syntezę dzisiejszej rzeczywistości.

Wpływ tej książki na Zachodzie był ogromny. U wielu myślicieli niemieckich, francuskich, szwajcarskich spotykamy się z ujęciem podstawowych zagadnień filozoficznych, opartem o przesłanki Bierdiajewa.

„Nowe Średniowiecze” jest próbą uchwycenia przemian społeczno - kulturalnych niejako u źródeł i wytłumaczenia ich zgodnie z założeniami filozofji idealistycznej, mającej wyraźny systemat prawd i szukającej związku człowieka z Bogiem.

„Nowe Średniowiecze” jest książką niezwykłą. Łączy się tam trafność sądu z głębią spojrzenia filozoficznego, z intuicją, wynikłą na tle ogromnej kultury i erudycji autora.

Możnaby o książce tej powiedzieć krótko: mądra, ciekawa i ultra nowoczesna.

Sposób patrzenia Bierdiajewa jest nawskroś nowoczesny, wybiega on daleko poza chwilę dzisiejszą i tkwi w dalekiej przyszłości, której sens umie uchwycić swoją genialną wyobraźnią filozoficzną.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

F

3.359